

Zostałam przeklęta Mam niezwykły dar

Tahereh Mafi

DOŚCIWYK SUN III



Tahereh Mafi

Dotyk Julii

„Nie możesz mnie dotknąć – szepczę.
Kłamię – oto, czego mu nie mówię.
Możesz mnie dotknąć – oto, czego nigdy nie powiem.
Proszę, dotknij mnie – oto, co chcę powiedzieć”.

Nikt nie wie, dlaczego dotyk Julii zabija.
Bezwzględni przywódcy Komitetu Odnowy chcą wykorzystać moc dziewczyny,
aby zawładnąć światem. Julia jednak po raz pierwszy w życiu się buntuje. Zaczyna
walczyć, bo u jej boku staje ktoś, kogo kocha.

Zostałam przeklęta
Mam niezwykły dar

Jestem potworem
Mam nadludzką moc

Mój dotyk zabija
Mój dotyk to moja siła

Jestem narzędziem zniszczenia
Będę walczyć o miłość



1

Spędziłam w zamknięciu już **264** dni.

Towarzystwa dotrzymują mi tylko niewielki notatnik, uszkodzone pióro i liczby w mojej głowie. **1** okno. **4** ściany. **1,5** metra kwadratowej powierzchni. **26** liter alfabetu w języku, którym nie mówiłam przez **264** dni odosobnienia.

Minęło **6336** godzin, odkąd dotykałam innej ludzkiej istoty.

- Przydzielamy ci ~~współwięźnia~~ współlokatora - powiedzieli.

- ~~Mamy nadzieję~~ że tutaj zgnijesz Za dobre sprawowanie - powiedzieli.

- ~~Psychol, jak ty~~ Koniec odosobnienia - powiedzieli.

Są sługusami Komitetu Odnowy. Inicjatywy, której zadaniem miała być pomoc naszemu pogrążonemu w chaosie społeczeństwu. To ci sami ludzie, którzy wywlekli mnie z domu rodziców i zamknęli w zakładzie dla obłąkanych za coś, na co nie mam wpływu. Nikogo nie obchodzi, że nie wiedziałam, do czego jestem zdolna. Że nie wiedziałam, co robię.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Wiem tylko, że ktoś przywiózł mnie tutaj białą furgonetką i że zajęło mu to 6 godzin i 37 minut. Wiem, że byłam przykuta kajdankami do siedzenia. Potem przypięto mnie pasami do krzesła. ~~Wiem, że moi rodzice nie zadali sobie trudu, żeby się ze mną pożegnać.~~ Wiem, że nie płakałam, kiedy mnie zabierano.

Wiem, że codziennie wali się niebo.

Za oknem słońce wpada do oceanu, rozchlapując na wodzie brązowe, czerwone, żółte i pomarańczowe plamy. Milion liści ze stu różnych gałęzi zrywa się, trzepocząc obietnicą lotu. To słowa rzucone na wiatr. Podmuch łapie ich zwiędłe skrzydła tylko po to, żeby siłą ściągnąć je na ziemię i porzucić zapomniane. Depczą po nich stacjonujący tu żołnierze.

Nie ma już tyłu drzew co przedtem. Tak mówią naukowcy. Mówią, że nasz świat był kiedyś zielony. Nasze chmury miały biały kolor. Nasze słońce zawsze dawało właściwy rodzaj światła. Zachowałam mgliste wspomnienia tamtego świata. Nie pamiętam zbyt wielu rzeczy, które były przedtem. Teraz jedynym pewnym istnieniem jest dla mnie to, które zostało mi dane. Jestem echem tego, co było kiedyś.

Przyciskam dłoń do niewielkiej szyby i czuję, jak zimno bierze ją w znajome objęcia. Obie jesteśmy samotne, obie istniejemy jako znak nieobecności czegoś innego.

Chwytam za swoje prawie bezużyteczne pióro z resztką atramentu, który nauczyłam się oszczędzać. Spoglądam na nie i zmieniam zdanie. Rezygnuję z wysiłku, jakiego wymaga zapisywanie. Dzielenie z kimś celi nie byłoby złe. Rozmowa z żywym człowiekiem mogłaby pomóc. Ćwiczę głos, układam wargi wokół znajomych słów, teraz obcych moim ustom. Ćwiczę cały dzień.

Jestem zaskoczona, że nie zapomniałam ludzkiej mowy.

Zwijam notatnik i wpycham go w szczelinę w ścianie. Siadam na przykrytych szmatą sprężynach, które służą mi za łóżko. Czekam. Kołyszę się w przód i w tył i czekam.

Czekam zbyt długo i zapadam w sen.

Kiedy się budzę, mam przed sobą 2 oczu, 2 wargi, 2 uszu, 2 brwi.

Dławię w sobie krzyk, pragnienie ucieczki, paralizujący strach, który obezwładnia moje kończyny.

- Jesteś chchchch.....

- A ty jesteś dziewczyną. - Unosi brew.

Prostuje się, odsuwając się od mojej twarzy. Śmieje się, ale nie uśmiecha, a mnie chce się płakać. Rozpaczliwie uciekam przerażonym wzrokiem do drzwi, które próbowałam otworzyć już tyle razy, że straciłam rachubę. Zamknęli mnie z chłopakiem. Z chłopakiem.

Dobry Boże.

Próbują mnie zabić.

Zrobili to celowo.

Żeby się nade mną znęcać, dręczyć mnie, sprawić, żebym już nigdy nie przespała nocy. Współwięzień ma przedramiona wytatuowane do łokci. W łuku brwiowym brakuje kolczyka, który musieli mu skonfiskować. Ciemnoniebieskie oczy, ciemnobrązowe włosy, wyraźna linia szczęki, silna, smukła sylwetka. ~~Nieziemski~~. Niebezpieczny. Przeróżający. Straszny.

Śmieje się, a ja staczam się z łóżka i uciekam w róg pomieszczenia.

Przygląda się nędznej poduszce na wolnym łóżku, które wepchnęli tu dzisiaj rano. Cienki materac, wytarty koc

wystarczający może do przykrycia górnej części jego ciała. Spogląda na moje łóżko. Spogląda na swoje łóżko.

Jedną ręką zsuwa je razem. Stopą przesuwając dwie metalowe ramy na swoją stronę pokoju. Wyciąga się na obu materacach, zagarnia moją poduszkę, strzepuje ją i wkłada sobie pod głowę. Zaczynam drżeć.

Zagryzam wargi i próbuję ukryć się w ciemnym kącie.

Ukradł moje łóżko, mój koc, moją poduszkę.

Została mi goła podłoga.

Zostanie mi goła podłoga.

Nigdy mu się nie przeciwstawię, nie pozwolę mi na to własne przerażenie, paraliż, paranoja.

- Więc jesteś... kim właściwie? Wariatką? Dlatego tutaj jesteś?

~~Nie jestem wariatką.~~

Unosi się trochę, żeby zobaczyć moją twarz. Znowu się śmieje.

- Nie zrobię ci krzywdy.

~~Chcę mu wierzyć.~~ Nie wierzę mu.

- Jak masz na imię? - pyta.

~~Nie twój interes. Jak ty masz na imię?~~

Słyszę, jak wzdycha rozdrażniony. Słyszę, jak wierci się na łóżku, którego połowa dotąd była moja. Nie śpię całą noc. Kolana podciągam pod brodę, ramionami owijam ciasno swój drobny szkielet, zaciągam zasłonę długich brązowych włosów.

Nie będę spała.

Nie mogę spać.

Nie mogę znowu słuchać tych krzyków.

Czuję zapach porannego deszczu.

Pokój jest pełen ciężkiej woni mokrego kamienia. Wilgotne powietrze czuć ziemią. Biorę głęboki oddech i idę na palcach do okna tylko po to, żeby przycisnąć nos do chłodnej powierzchni szkła. Poczuc, jak mój oddech zasnuwa szybę mgłą. Zamknąć oczy, słuchając miękkiego szumu deszczu gnanego wiatrem. Tylko krople deszczu przypominają mi, że chmury mają bijące serca. Że ja także je mam.

Krople deszczu nie przestają mnie zadziwiać.

Myślę o tym, jak spadają, jak płaczą im się stopy, łamią nogi. Zapominają spadochronów, wypadając z nieba ku niepewnemu końcowi. To tak, jakby ktoś opróżniał kieszenie, nie dbając o to, gdzie spadnie ich zawartość, nie przejmując się, że krople pękają, uderzając o ziemię, że rozpryskują się na chodniku. Że ludzie przeklinają dni, w które krople ośmielają się stukać o ich drzwi.

Ja jestem kroplą deszczu.

~~Rodzice wyrzucili mnie z kieszeni i zostawili, żebym wyparowała na chodniku.~~

Okno mówi mi, że jesteśmy niedaleko gór i z pewnością w pobliżu wody, ale w dzisiejszych czasach wszystko jest w pobliżu wody. Nie wiem tylko, po której jesteśmy stronie. W którym kierunku spoglądamy. Mrużę oczy w świetle wczesnego poranka. Chociaż ktoś podniósł słońce i znowu przypiął je szpilką do nieba, ono każdego dnia wisi trochę niżej niż poprzedniego. Jest jak zaprzątnięty innymi sprawami ojciec, który nie wie połowy rzeczy o swoim potomstwie. Nigdy nie widzi, jak wpływa na nie jego nieobecność. Jak się zmieniamy pod wpływem ciemności.

Nagły szelest oznacza, że Współwięzień się obudził.

Obracam się gwałtownie, jakby znowu przyłapano mnie na kradzieży jedzenia. Zdarzyło się to tylko raz, a rodzice mi nie uwierzyli, kiedy im powiedziałam, że to nie dla mnie. Tłumaczyłam, że chciałam ocalić dzikie koty mieszkające za rogiem, ale ich zdaniem nie mam w sobie tyle ludzkich uczuć, żeby troszczyć się o kota. Nie ja. Nie ~~coś takiego~~ ktoś taki jak ja. Ale przecież nigdy nie wierzyli w to, co mówiłam. To właśnie dlatego tutaj jestem.

Współwięzień przygląda mi się.

Zasnął kompletnie ubrany. Ma na sobie błękitny T-shirt i bojówki koloru khaki z nogawkami wepchniętymi w czarne buty sięgające do połowy łydki.

Moje ciało okrywa martwa bawełna, moją twarz - czerwień róż.

Jego oczy przesuwają się po moim ciele. Ich powolny ruch sprawia, że łomocze mi serce. Chwytam płatki róż, kiedy opadają z moich policzków, płyną wokół mego ciała, okrywając mnie czymś, co w dotyku przypomina brak odwagi.

Przestań mi się przyglądać.

Przestań dotykać mnie wzrokiem i trzymaj ręce przy sobie, i proszę... i proszę... i proszę...

- Jak masz na imię? - Gdy przekrzywia głowę, grawitacja pęka na pół.

Jestem zawieszona w chwili. Mrugam, zamykając oddech w butelce.

On się przesuwa, a moje oczy rozpryskują się na tysiące cząstek, odskakujących rykoszetem od ścian pokoju, rejestrujących milion ujęć, milion chwil. Migoczące obrazy wyblakłe ze starości, zamrożone myśli unoszące się niebezpiecznie w martwej przestrzeni, wir wspomnień, który szatkuje moją duszę. ~~Przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałam.~~

Jeden gwałtowny oddech strząsa mnie z powrotem do rzeczywistości.

~~Koniec snów na jawie.~~

- Dlaczego tu jesteś? - pytam pęknięć w betonowej ścianie. 14 pęknięć w 4 ścianach o tysiącu odcieni szarości. Podłoga, sufit: z każdej strony betonowa płyta. Żałosna konstrukcja łóżka: ze starych rur wodociągowych. Mały kwadrat okna: szyba zbyt gruba, żeby dało się ją rozbić. Tracę nadzieję. Tracę ostrość widzenia, bolą mnie oczy. Mój palec kreśli leniwą ścieżkę na zimnej posadzce.

Siedzę na podłodze. Czuć tu lodem, metalem i brudem. Współwięzień usadowił się naprzeciwko mnie z podwiniętymi nogami. Jego buty są tylko trochę zbyt błyszczące jak na to miejsce.

- Boisz się mnie. - Jego głos jest bezbarwny. Moje palce przypominają sobie kształt pięści.

- Boję się, że się mylisz.

Może i kłamię, ale to nie jego interes.

Prycha. Dźwięk odbija się echem w zastygłym powietrzu między nami. Nie podnoszę głowy. Nie napotykam jego świdrującego wzroku. Smakuję stęchłe, zużyte powietrze

i wzdycham. Gardło mam zablokowane czymś znajomym, czymś, co nauczyłam się przełykać.

2-krotne pukanie do drzwi przywołuje do porządku moje emocje.

On też natychmiast się prostuje.

- Nikogo tam nie ma - mówię. - To tylko nasze śniadanie. Po 264 śniadaniach nadal nie wiem, z czego się składają.

To bezkształtna, śmierdząca chemią mamałyga zawsze podawana w ekstremalnych wersjach. Czasem za słodka, czasem za słona, zawsze obrzydliwa. Najczęściej jestem zbyt głodna, żeby dostrzec różnicę.

Słyszę, jak po chwili wahania rusza do drzwi. Odślania niewielki otwór i wygląda na świat, którego już nie ma.

- Cholera! - Właściwie to rzuca tacę przez dziurę w drzwiach, pociera dłonią o koszulę. - Cholera, cholera. - Zwija palce w pięść i zaciska szczęki.

Oparzył się. Ostrzegłabym go, gdyby zechciał mnie słuchać.

- Trzeba odczekać przynajmniej trzy minuty, zanim dotknie się tacy - mówię do ściany. Nie patrzę na niewyraźne blizny zdobiące moje drobne dłonie, na ślady poparzeń, którym nikt nie zapobiegł. - Myślę, że robią to specjalnie - dodaję cicho.

- Więc dzisiaj ze mną rozmawiasz?

Wścieka się. Zanim odwróci wzrok, dostrzegam błysk w jego oczach i zdaję sobie sprawę, że jest przede wszystkim zakłopotany. To twardy facet. Zbyt twardy, żeby popełniać głupie błędy w obecności dziewczyny. Zbyt twardy, żeby okazywać ból.

Zaciskam usta i patrzę przez mały kwadrat szyby, który nazywają oknem. Nie ma już zbyt wielu zwierząt, ale słyszałam o ptakach. Słyszałam, że one latają. Może pewnego dnia uda mi się jakiegoś zobaczyć. W dzisiejszych czasach ludzie

snują historie tak szalone, że prawie nikomu nie można wierzyć, ale już kilka osób mówiło mi, że naprawdę widziało lecącego ptaka w ciągu ostatnich kilku lat. Więc patrzę przez okno.

Dzisiaj zobaczę ptaka. Będzie biały, ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę. Będzie latał. Dzisiaj zobaczę ptaka. Będzie biały, ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę. Będzie latał. Dzisiaj...

Jego dłoń.

Na mnie.

2 opuszki

2 palców przez niecałą sekundę muskają ubranie na moim ramieniu. Każdy mięsień, każde ścięgno mojego ciała jest napięte i związane na supeł. Czuję, jak węzły zaciskają mi się na kręgosłupie. Stoję. Nie ruszam się. Nie oddycham. Może jeśli już nigdy się nie poruszę, to uczucie będzie trwało wiecznie.

~~Od 264 dni nikt mnie nie dotknął.~~

Czasem wydaje mi się, że moja samotność eksploduje, rozsadzając mnie od środka. Czasem zastanawiam się, czy wypłakanie, wykrzyczenie albo wyśmianie tego obłędu może w czymkolwiek pomóc. Czasem pragnienie dotyku, bycia dotykaną, czucia jest tak silne, że porywa mnie do jakiegoś innego wszechświata, a tam, stojąc na krawędzi przepaści, nabieram pewności, że spadnę i nikomu nigdy nie uda się mnie znaleźć.

To wydaje się prawdopodobne.

Krzyczę od lat, ale nikt mnie nigdy nie usłyszał.

- Nie jesteś głodna? - Jego głos jest teraz niższy, pobrzmiwa w nim troska.

~~Od 264 dni umieram z głodu.~~

- Nie. - To słowo to niewiele więcej niż urwany oddech, który wymknął się z moich ust. Odwracam się, choć nie powinnam. Patrzy na mnie. Przygląda mi się uważnie. Ma lekko

rozchylone usta, jego ramiona zwisają bezwładnie, a rzęsy powstrzymują zmieszanie.

Czuję się tak, jakbym dostała w brzuch.

Jego oczy. To coś w jego oczach.

~~To nie on nie on nie on nie on nie on.~~

Zamykam świat. Na klucz. Przekręcam klucz do oporu.

Czerń kryje mnie w swoich fałdach.

- Hej...

Moje oczy pękają jak 2 rozbite okna, wypełniając mi usta szkłem.

- Co jest? - Na próżno sili się na beznamiętny ton, nerwowo udaje apatię.

Nic.

Skupiam się na przezroczystym kwadracie wciśniętym pomiędzy mnie a moją wolność. Pragnę roztrzaskać ten betonowy świat i natychmiast o nim zapomnieć. Chcę być większa, lepsza, silniejsza.

~~Chcę być wściekła wściekła wściekła a...~~

Chcę być ptakiem, móc odlecieć.

- Co piszesz? - odzywa się znowu Współwięzień. ~~Te słowa to wymiociny.~~

~~To drżące pióro to mój piszelek. Ta kartka to muszla klozetowa.~~

- Dlaczego nie odpowiadasz? - Jest za blisko za blisko za blisko.

Nikt nigdy nie jest wystarczająco blisko.

Wstrzymuję oddech i czekam, aż odejdzie, jak wszyscy w moim życiu. Skupiam wzrok na oknie i obietnicy tego, co mogłoby się zdarzyć. Obietnicy czegoś większego, donioślejszego, jakiejś przyczyny wzbierającego we mnie szaleństwa, jakiegoś wytłumaczenia mojej nieumiejętności zrobienia czegokolwiek bez rujnowania wszystkiego. Dzisiaj zobaczę ptaka. Będzie biały, ze złotymi prążkami na głowie,

przypominającymi koronę. Będzie latał. Dzisiaj zobaczę ptaka. Będzie...

- Hej...

- Nie możesz mnie dotknąć - szepczę.

Nie mówię mu: kłamię. Nigdy mu nie powiem: możesz mnie dotknąć. Chcę powiedzieć: proszę, dotknij mnie.

Coś się dzieje, kiedy ludzie mnie dotykają. Dziwne rzeczy. Złe rzeczy.

Martwe.

Nie pamiętam ciepła niczyich objęć. Moje ramiona są obolałe od lodu nieuchronnej samotności. Moja własna matka nie mogła mnie przytulić. Ojciec nie mógł ogrzać moich zlodowaciałych rąk. Żyję w pustym świecie.

Cześć.

Świecie.

Zapomnisz mnie.

Puk, puk.

Współwięzień zrywa się na nogi. Czas na prysznic.

Drzwi się otwierają, odsłaniając otchłań.

Nie ma za nimi kolorów, światła ani nadziei na cokolwiek innego niż groza. Żadnych słów. Żadnych wskazówek. Tylko otwarte drzwi, które za każdym razem oznaczają to samo.

Współwięzień ma pytania.

- Co, u licha? - Patrzy to na mnie, to na złudzenie ucieczki. - Wypuszczają nas?

~~Nigdy nas nie wypuszczą.~~ - Pora na prysznic.

- Prysznic? - Jego głos jest teraz bez wyrazu, choć wciąż przeplatany ciekawością.

- Niemamy zbyt wiele czasu-mówię. -Musimy się spieszyć.

- Czekaj, co jest? - Wyciąga rękę w kierunku mojego ramienia, ale się odsuwa. - Tam nie ma światła, nie widać nawet, dokąd idziemy...

- Szybko. - Skupiam wzrok na podłodze. - Złap za brzeg mojej bluzki.

- O czym ty mówisz...

W oddali słychać alarm. Jego buczenie przybliża się z każdą sekundą. Wkrótce cała cela drży od ostrzegawczego

dźwięku, a drzwi niepostrzeżenie z powrotem się zamykają. Chwytam za jego koszulkę i ciągnę go za sobą w czerń.

- Nic. Nie. Mów.

- Al...

- Nic- syczę.

Szarpięciem za ubranie każę mu iść za sobą i zaczynam brnąć po omacku przez labirynt szpitala dla umysłowo chorych. ~~To rodzaj domu, ośrodek dla trudnej młodzieży, dla zaniedbanych dzieci z patologicznych rodzin, bezpieczne schronienie dla niezrównoważonych psychicznie.~~ To więzienie. Karmią nas byle czym, a nasze oczy nigdy nie oglądają siebie nawzajem. Widzą tylko rzadkie przebłyski światła wkradającego się przez oszklone szczeliny, które udają okna. Noce są dziurawione wrzaskami, przeciągłymi szlochami, jękami i pełnym udręki krzykiem - głosami śmiertelników złamanych siłą lub decyzją, której nigdy nie poznam. Pierwsze 3 miesiące spędziłam w towarzystwie własnego smrodu. Nikt mi nie pokazał, gdzie są łazienki i prysznice. Nikt mi nie wyjaśnił, jak to wszystko działa. Nikt ze mną nie rozmawia, chyba że ma mi do przekazania złe wieści. Nikt mnie nigdy nie dotyka. Chłopcy i dziewczęta nigdy się nie spotykają.

Z wyjątkiem wczorajszego dnia.

Nie ma mowy o zbiegu okoliczności.

Moje oczy zaczynają się przyzwyczajać do sztucznej osłony nocy. Idę po omacku nierównym korytarzem. Współwięzień nie odzywa się ani słowem. Jestem niemal dumna z niego. Jest ode mnie prawie o trzydzieści centymetrów wyższy, jego

ciało jest zбите i twarde, a mięśnie silne. Musi być mniej więcej w moim wieku. Świat jeszcze go nie złamał. Cóż za wolność nieświadomości.

- Co...

Szarpię trochę mocniej za jego koszulkę, żeby go uciszyć. Nie sprawdziliśmy jeszcze korytarzy. Jak na kogoś, kto mógłby mnie pokonać i palcem, budzi we mnie dziwnie opiekuńcze instynkty. Nie zdaje sobie sprawy, jak bezbronnym czyni go jego nieświadomość. Nie zdaje sobie sprawy, że mogliby go zabić bez żadnego powodu.

Postanowiłam się go nie bać. Uznałam, że jego zachowanie jest bardziej niedojrzałe niż naprawdę niebezpieczne. ~~Wygląda tak znajomo tak znajomo tak znajomo~~. Znałam kiedyś chłopaka o tak samo błękitnych oczach. Wspomnienia nie pozwalają mi go nienawidzić.

Może chciałabym mieć przyjaciela.

Jeszcze tylko **2** metry do miejsca, gdzie szorstka ściana robi się gładka, a potem skręcimy w prawo. Pół metra pustki dzieli nas od drewnianych drzwi z zepsutą klamką i garścią drzazg. Jeszcze **3** uderzenia serca i upewniam się, że jesteśmy sami. Jeszcze **1** krok i popycham drzwi do wewnątrz. **1** ciche skrzypnięcie i szczelina się rozszerza, ukazując moje wyobrażenie tego miejsca.

- Tędy - szepczę.

Ciągnę go w stronę rzędu pryszniców i wygrzebuję wszystkie kawałki mydła, które utkwily w odpływie. Znajduję **2**, jeden dwa razy większy od drugiego.

- Daj rękę - mówię do ciemności. - Jest śliskie. Tylko go nie upuść. Niełatwo o mydło, mieliśmy dzisiaj szczęście.

On nic nie mówi przez kilka sekund i zaczynam się martwić.

- Jesteś tam jeszcze? - Zastanawiam się, czy to była ta pułapka. Czy o to chodziło. Może wysłali go po to, żeby mnie zabił

pod osłoną ciemności w tym małym pomieszczeniu. Nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, co zamierzają ze mną zrobić w tym zakładzie, nigdy nie wiedziałam, czy uznali zamknięcie mnie za wystarczające rozwiązanie, ale zawsze brałam pod uwagę, że mogą mnie zabić. To wydawało się prawdopodobne.

Nie mogę powiedzieć, że bym na to nie zasługiwała.

Ale jestem tutaj za coś, czego nie chciałam zrobić. Najwyraźniej nikogo nie obchodzi, że to był wypadek.

~~Moi rodzice nigdy nie próbowali mi pomóc.~~

Nie słyszę szumu wody i serce mi zamiera. To miejsce rzadko jest pełne ludzi, ale zwykle jest tu 1 lub 2 osoby. Dochodzę do wniosku, że albo mieszkańcy zakładu słusznie są uważani za obłąkanych i nie mogą trafić do łazienki, albo zwyczajnie mają to w nosie.

Z trudem przełykam ślinę.

- Jak ci na imię? - Jego głos jednocześnie przecina powietrze i strumień mojej świadomości. Czuję jego oddech znacznie bliżej niż do tej pory. Serce mi wali i nie wiem dlaczego, ale nad nim nie panuję. - Dlaczego nie chcesz powiedzieć, jak ci na imię?

- Trzymasz dłoń otwartą? - pytam. Mam sucho w ustach, mówię ochryłym głosem.

Powolutku przesuwam się do przodu, a ja boję się oddychać. Jego palce ocierają się o sztywny materiał jedynej ubrania, jakie mam. Udaje mi się wypuścić powietrze. Dopóki nie dotyka mojej skóry. Dopóki nie dotyka mojej skóry. Dopóki nie dotyka mojej skóry. W tym cała tajemnica.

Mój cienki T-shirt tyle razy był prany w twardej wodzie w tym budynku, że przypomina sztywny worek. Upuszczam większy kawałek mydła na dłoń Współwięźnia i cofam się na palcach.

- Odkręcę ci wodę - wyjaśniam ostrożnie, starając się nie podnosić głosu, aby nie usłyszeli mnie pozostali.

- Co mam zrobić z ubraniem? - Jego ciało jest wciąż zbyt blisko mojego.

Mrugam w ciemności **1000** razy.

- Musisz je zdjąć.

Śmieje się, choć przypomina to raczej oddech kogoś rozbawionego.

- Wiem, chodzi mi o to, co mam z nim zrobić, kiedy będę się mył?

- Spróbuj go nie zamoczyć. Bierze głęboki oddech.

- Ile mamy czasu?

- Dwie minuty.

- Jezu, dlaczego od razu nie powiedziałaś... Odkręcam jednocześnie jego kran i swój. Jego skargi giną pod nierównym ostrzałem z ledwie działających natrysków.

Moje ruchy są mechaniczne. Robiłam to tyle razy, że zapamiętałam najbardziej efektywne metody szorowania, spłukiwania i wykorzystania mydła potrzebnego do umycia ciała i włosów. Nie ma ręczników, więc sztuka polega na tym, żeby strzepnąć z powierzchni skóry jak najwięcej wody. Jeśli się tego nie zrobi, długo porządnie się nie wyschnie i przez kolejny tydzień można umrzeć na zapalenie płuc. Wiem coś o tym.

Dokładnie po **90** sekundach wykręcam włosy i wślizguję się z powrotem w swój obszarpany strój. Tenisówki to jedyna z posiadanych przeze mnie rzeczy, która jest w dość dobrym stanie. Niezbyt wiele się tutaj chodzi.

Współwięzień natychmiast idzie w moje ślady. Cieszę się, że szybko się uczy.

- Złap za brzeg mojej koszulki - instruuję go. - Musimy się spieszyć.

Jego palce muskają mnie po plecach przez nieskończenie długą chwilę i muszę przygryźć wargę, żeby stłumić intensywność tego odczucia. Prawie zamieram w bezruchu. Nikt nigdy nie zbliża rąk do mojego ciała.

Muszę iść szybko, żeby jego palce zostały w tyle. Potyka się, próbując mnie dogonić.

Kiedy na nowo siedzimy zamknięci w znajomej klaustrofobii 4 ścian, Współwięzień bez przerwy na mnie patrzy.

Siadam w rogu i zwijam się w sobie. On nadal ma moje łóżko, mój koc, moją poduszkę. Wybaczam mu jego niewiedzę, ale jest jeszcze za wcześnie, abyśmy zostali przyjaciółmi. Może zbyt pochopnie mu pomogłam. Może jest tu tylko po to, żeby zatruć mi życie. Ale jeżeli nie będzie mi ciepło, rozchoruję się. Mam mokre włosy, a koc, w który je zwykle zawijam, wciąż jest po jego stronie pokoju. Może wciąż się go boję.

Oddycham zbyt gwałtownie, za szybko kieruję wzrok na światło pochmurnego dnia. Współwięzień okrywa mi ramiona 2 kocami.

1 mój.

1 jego.

- Przepraszam, że jestem takim dupkiem - szepcze do ściany. Nie dotyka mnie, a ja jestem ~~rozczarowana~~ szczęśliwa. ~~Chciałabym, żeby to zrobił~~ Nie powinien. Nikt nigdy nie powinien mnie dotknąć.

- Jestem Adam - mówi powoli. Wraca, żeby posprzątać. Jedną ręką pcha moje łóżko z powrotem na moją stronę.

Adam.

Jakie ładne imię. Współwięzień ma ładne imię. To imię zawsze mi się podobało, ale nie pamiętam dlaczego.

Nie tracąc czasu, wspinam się na ledwie przykryte sprężyny materaca. Jestem tak wyczerpana, że prawie nie czuję, jak metalowe spirale wbijają mi się w skórę. Nie spałam od ponad 24 godzin. „Adam to ładne imię”, to ostatnia rzecz, o jakiej udaje mi się pomyśleć, zanim wyczerpanie unieruchamia moje ciało.

Jestem zrana zimnym potem, mój mózg zalewają fale nieopisanego bólu. Wzrok mam utkwiony w okręgach czerni, które rozpuszczają się w ciemności. Nie mam pojęcia, jak długo spałam. Nie mam pojęcia, czy wystraszyłam Współwięźnia swoimi snami. Czasami głośno krzyczę.

Adam na mnie patrzy.

Biorę głęboki oddech i udaje mi się podnieść. Naciągam na siebie koce i w tej samej chwili zdaję sobie sprawę, że ukradłam jego jedyne przykrycie. Nawet nie przyszło mi do głowy, że on może marznąć dokładnie tak samo jak ja. Drzę. Jego ciało tkwi nieruchomo pośród nocy, zarys silnej sylwetki odcina się na tle czerni. ~~Nie mam pojęcia, co powiedzieć.~~ Nie ma nic do powiedzenia.

- Te krzyki nigdy nie milkną, prawda? ~~Krzyki to dopiero początek.~~

- Nie - poruszam ustami prawie bezgłośnie. Lekki rumieniec oblewa mi twarz i cieszę się, że jest za ciemno, żeby on mógł to zauważyć. Musiał słyszeć moje krzyki.

Czasami marzę o tym, żeby nigdy nie musieć spać. Czasami myślę, że jeśli będę bardzo, bardzo cicho, jeśli przestanę się poruszać, wszystko się zmieni. Że jeśli zastygnę nieruchomo, zastygnie również ból. Czasem nie poruszam się całymi godzinami. Ani o centymetr.

Jeśli czas się zatrzyma, nie będzie się mogło wydarzyć nic złego.

- Nic ci nie jest? - W głosie Adama pobrzmiewa troska. Przyglądam się pięściom u jego boków, bruździe między

brwiami, napięciu szczęk. Osoba, która ukradła moje łóżko i mój koc, to ten sam człowiek, który dzisiejszej nocy z nich zrezygnował. Jeszcze kilka godzin temu tak pewny siebie i beztroski, teraz jest ostrożny i milczący. Przeraza mnie, że to miejsce mogło go tak szybko złamać. Zastanawiam się, co usłyszał, kiedy spałam.

Chciałabym móc go ochronić przed tym koszmarem.

Coś się tłucze, z oddali dobiega pełen udręki krzyk. Pokoje są pogrzebane głęboko w betonie, ściany są grubsze niż podłogi i sufity razem wzięte, aby uniemożliwić dźwiękom ucieczkę. Jeśli dociera do mnie głos czyjejs męczarni, to znaczy, że cierpienie musi być nie do wytrzymania. Każdej nocy są dźwięki, których nie słyszę. Każdej nocy zastanawiam się, czyja będę następna.

- Nie jesteś szalona.

Natychmiast otwieram oczy. Siedzi z przekrzywioną głową, jego wzrok jest skupiony i jasny pomimo spowijającego nas mroku. Bierze głęboki oddech.

- Myślałem, że tutaj każdy jest szalony - ciągnie. - Myślałem, że zamknęli mnie ze świruską.

Gwałtownie zaciągam się tlenem.

- Zabawne. Ja też. i

2

3 sekundy.

Po 3 sekundach na jego twarzy nagle pojawia się uśmiech, tak pełen rozbawienia, tak odświeżająco szczery, że uderza w moje ciało jak piorun. Czuję klucie w oczach, uginają się pod mną kolana. Od **265** dni nie widziałam uśmiechu.

Adam wstaje.

Daję mu jego koc.

Bierze go tylko po to, żeby owinąć nim szczelniej moje ciało, a ja nagle czuję w piersi ucisk, jakby moje płuca zostały nadziane na szpikulec i ściśnięte razem. Właśnie postanawiam nie ruszać się przez całą wieczność, kiedy on się odzywa.

- Co się stało?

~~Moi rodzice przestali mnie dotykać, kiedy nauczyłam się raczkować. Nauczyciele pozwolili mi uczyć się samej, żebym nie mogła zrobić krzywdy innym dzieciom. Nigdy nie miałam~~

~~przyjaciela. Nigdy nie zaznałam ukojenia w objęciach matki, czułości ojcowskiego pocałunku. Nie jestem szalona.~~

-Nic.

Kolejne 5 sekund.

- Mogę usiąść obok ciebie?

~~To byłoby cudowne.~~

-Nie.

Znowu wpatruję się w ścianę.

On zaciska i rozluźnia szczęki. Przesuwa ręką po włosach i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie ma na sobie koszulki. W pokoju jest tak ciemno, że mogę wychwycić same zarysy i kontury jego sylwetki. Księżyc ma do dyspozycji tylko małe okienko, aby oświetlić pomieszczenie, ale to mi wystarcza, żeby obserwować, jak mięśnie jego ramienia naprężają się z każdym ruchem i nagle zaczynam płonąć. Płomienie liżą moją skórę, wybuch gorąca rozszarpuje mi żołądek. Każdy centymetr jego ciała jest czystą mocą, każdy fragment skóry dziwnie promienieje w ciemności. W ciągu 17 lat życia nigdy nie widziałam nikogo takiego jak on. Nigdy nie rozmawiałam z chłopcem w moim wieku. ~~Bo jestem potworem.~~

Zaciskam powieki, chciałabym móc je zaszyć.

Słyszę skrzypnięcie łóżka, jęk sprężyn, kiedy on siada. Rozpruwam powieki i przyglądam się podłodze.

- Musi ci być okropnie zimno.

- Nie. - Głębokie westchnienie. - Właściwie czuję się rozpalony.

Zrywam się na nogi tak szybko, że koce spadają na podłogę.

- Jesteś chory? - Szukam oznak gorączki na jego twarzy, ale nie ośmielam się zbliżyć. - Kręci ci się w głowie? Bolać cię stawy? - Próbuję przypomnieć sobie, jakie miałam objawy, kiedy moje własne ciało przykuło mnie na tydzień do łóżka. Mogłam co najwyżej doczołgać się do drzwi i upaść twarzą w jedzenie. Nie wiem, jak udało mi się przeżyć.

- Jak ci na imię?

Zadaje to pytanie już **3** raz.

- Może jesteś chory - to wszystko, co mogę powiedzieć.

- Nie jestem chory. Po prostu jest mi gorąco. Zazwyczaj nie śpię w ubraniu.

Motyle w moim żołądku wpadają w ogień. Moje ciało trawi jakieś niewytłumaczalne upokorzenie. Nie wiem, gdzie podziąć oczy.

Głęboki oddech.

- Wczoraj byłem palantem. Potraktowałem cię jak dupek i jest mi przykro. Nie powinienem był tak się zachowywać.

Ośmielam się spojrzeć mu w oczy.

Mają idealny odcień kobaltu, są niebieskie jak kwitnący sianak, czyste, głębokie i zdecydowane. Jego szczeka jest nieruchoma, a na twarzy rysuje się ostrożność. Myślał o tym przez całą noc.

- W porządku.

- Więc nie powiesz mi, jak masz na imię? - Nachyla się, a ja zamieram.

Roztapiam się. Topnieję.

- Julia - szepczę. - Mam na imię Julia.

Jego usta miękną w uśmiechu, który łamie mi kręgosłup. Powtarza moje imię, jakby jego brzmienie go bawiło. Dostarczało mu rozrywki. Sprawiało mu przyjemność.

~~Przez 17 lat nikt nie wymawiał mojego imienia w ten sposób.~~

Nie wiem, kiedy to się zaczęło.

Nie wiem, dlaczego to się zaczęło.

Nie wiem nic o niczym poza krzykiem.

Krzykiem mojej matki, kiedy zrozumiała, że nie może już mnie dotykać. Krzykiem ojca, kiedy zdał sobie sprawę, co zrobiłam matce. Krzykiem rodziców, kiedy zamknęli mnie w pokoju i powiedzieli, że powinnam być im wdzięczna. Za to, że mnie żywią. Za to, że tak humanitarnie traktują coś, co nie może przecież być ich dzieckiem. Za centymetr, którego używają, żeby odmierzyć bezpieczną odległość.

Powiedzieli, że zrujnowałam im życie. Odebrałam im szczęście. Sprawiałam, że moja matka porzuciła nadzieję na kolejne dzieci.

Pytali, czy widzę, co zrobiłam. Czy widzę, że wszystko zrujnowałam.

Tak bardzo chciałam naprawić to, co zniszczyłam. Każdego dnia próbowałam być taka, jak chcieliby, żebym była. Nieustannie starałam się być lepsza, choć właściwie nigdy się nie dowiedziałam, jak to osiągnąć.

Teraz już wiem, że naukowcy się mylą. Ziemia jest płaska.

Wiem to, ponieważ zepchnięto mnie z jej krawędzi, choć przez 17 lat próbowałam się jej trzymać. Próbowałam wspiąć się z powrotem, ale pokonanie grawitacji graniczy z cudem, kiedy nikt nie chce podać ci ręki.

Kiedy nikt nie chce ryzykować, dotykając cię.

Dzisiaj pada śnieg.

Beton jest lodowaty i twardszy niż zwykle, ale wolę mrozy od dusznej wilgoci letnich dni. Lato jest jak garnek do duszenia mięsa - doprowadza świat do wrzenia, podnosząc temperaturę stopień za stopniem. Obiecuje historię z milionem szczęśliwych przymiotników, a potem, zamiast obiadu, serwuje śmierdzące pomyje. Nie cierpię gorąca i lepkiego, spoczonego brudu, które po sobie zostawia. Nie znoszę tego niefrasobliwego znużenia słońca, zbyt zajętego samym sobą, aby zauważyć niekończące się godziny, które spędzamy w jego obecności. Słońce jest aroganckie, odwraca się do nas plecami, kiedy tylko się nami zmęczy.

Księżyc jest lojalnym towarzyszem.

Nigdy nie odchodzi. Zawsze jest na miejscu, przygląda się, oddany, widzi nas w naszych jasnych i ciemnych chwilach, nieustannie się zmienia, zupełnie jak my. Każdego dnia jest nową wersją siebie. Czasami słaby i wąty, innym razem silny i pełen światła. Księżyc rozumie, co to znaczy być człowiekiem.

Niepewny. Samotny. Poorany kraterami niedoskonałości.

Patrzę przez okno tak długo, aż tracę poczucie czasu. Wyciągam rękę, żeby złapać płatek śniegu, i moja pięść zaciska się w lodowatym powietrzu. Pusta.

Chciałabym móc wystawić przez okno pięść przyczepioną do mojego nadgarstka. Żeby tylko coś poczuć. Żeby poczuć się człowiekiem.

- Która godzina?

Przez chwilę trzepoczę powiekami. Jego głos wciąga mnie z powrotem do świata, o którym próbuję zapomnieć.

- Nie wiem - odpowiadam.

Nie mam pojęcia, która jest godzina. Nie mam pojęcia, jaki jest dzień tygodnia, jaki miesiąc ani nawet czy powinna teraz być jakaś konkretna pora roku.

Właściwie pór roku już nie ma.

Zwierzęta wymierają, ptaki nie latają, trudno jest uzyskać jakiegokolwiek plony, kwiaty prawie nie istnieją. Na pogodzie nie można polegać. Czasami w zimowe dni jest ponad **30** stopni ciepła. Czasem śnieg pada zupełnie bez powodu. Nie da się wyhodować wystarczająco dużo roślin, aby wyżywić ludzi, nie mówiąc o paszy dla zwierząt. Nie jesteśmy w stanie zapewnić ludziom żywności, której potrzebują. Ludzie wymierali w alarmującym tempie, kiedy władzę przejął Komitet Odnowy, zapewniając, że ma rozwiązanie. Zwierzęta były tak wygłodzone, że zjadłyby wszystko, a ludzie zjedliby zwierzęta karmione trucizną. Zabijaliśmy się, próbując utrzymać się przy życiu. Pogoda, rośliny, zwierzęta i przeżycie naszego gatunku są z sobą nierozzerwalnie związane. Żywiły nasz ekosystem. Wykorzystywaliśmy zwierzęta. Wykorzystywaliśmy innych ludzi.

Liderzy Komitetu Odnowy obiecywali poprawę sytuacji. Ale chociaż ludzie odczuli pod nowymi rządami nieznaczną

ulgę, w rezultacie więcej z nich straciło życie od strzału z broni palnej niż z powodu pustego żołądka. Jest coraz gorzej.

- Julio.

Moja głowa podskakuje.

Jego spojrzenie jest ostrożne, zatroskane, badawcze. Odwracam wzrok. On odchrząkuje.

- Więc... hm... karmią nas tylko raz dziennie?

Tym pytaniem posyła nasze oczy w stronę niewielkiego otworu w drzwiach.

Podciągam kolana do piersi i łapię równowagę na materacu. Kiedy siedzę zupełnie, zupełnie nieruchomo, prawie udaje mi się zignorować metal, który wbija mi się w ciało.

- Jeśli chodzi o jedzenie, nie ma żadnej reguły - mówię. Mój palec wyrysowuje nowy wzór na szorstkim materiale koca. - Zwykle jest coś rano, ale niczego poza tym nie można być pewnym. Czasami... mamy szczęście. - Moje oczy szybko przesuwiają się w stronę szyby dziurawiącej ścianę. Róże i czerwienie wpadają przez nią do pokoju i wiem, że to początek nowego początku. Początek tego samego końca. Nowego dnia.

~~Może dzisiaj umrę.~~

Może zobaczę lecącego ptaka.

- A więc to wszystko? Otwierają nam drzwi raz dziennie, żebyśmy załatwili swoje sprawy, a jeśli będziemy mieli szczęście, to może nas nakarmią? To wszystko?

Ptak będzie biały, ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę. Będzie latał.

- To wszystko.

- Nie ma... terapii grupowej? - Prawie się śmieje.

- Przed twoim pojawieniem się przez dwieście sześćdziesiąt cztery dni nie wypowiedziałam ani słowa.

Jego milczenie mówi tak wiele. Gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym dotknąć poczucia winy, które urosło na jego barkach.

- Na jak długo tu trafiłaś? - pyta w końcu.

~~Na zawsze.~~ - Nie wiem. - Jakiś mechaniczny dźwięk skrzypi/jęczy/wibruje w oddali. Moje życie to 4 ściany, utracone możliwości wylane w formy do betonu.

- Co z twoją rodziną? - W jego głosie rozbrzmiewa prawdziwy smutek, zupełnie jakby już znał odpowiedź na swoje pytanie.

~~Co wiem o swoich rodzicach? Nie niani pojęcia, gdzie oni są.~~

- Dlaczego tutaj jesteś? - pytam własnych palców, żeby uniknąć jego spojrzenia. Przystudiowałam swoje dłonie tak dokładnie, że znam każdy guz skaleczenie siniak znaczące skórę. Drobne dłonie. Szczupłe palce. Zwijam je w pięści i otwieram, żeby rozładować napięcie. On nadal nie odpowiada.

Podnoszę wzrok.

- Nie jestem obłąkany. - To wszystko, co mówi.

- Każdy tak mówi. - Przekrzywiam głowę i kręcę nią ledwie zauważalnie. Zagryzam wargi. Nie mogę powstrzymać oczu od ucieczki za okno.

- Dlaczego wciąż wyglądasz na zewnątrz?

Nie przeszkadzają mi jego pytania, naprawdę. Tylko że to dziwne mieć obok siebie kogoś, z kim można rozmawiać. To dziwne zużywać energię na poruszanie ustami, formułowanie słów koniecznych do tłumaczenia swoich czynów. Nikt jeszcze nie okazał mi tyle zainteresowania. Nikt nie przyglądał mi się na tyle uważnie, żeby się zastanawiać, dlaczego

wyglądam przez okno. Nikt nigdy nie traktował mnie jak kogoś równego sobie. Ale oczywiście on nie wie, że jestem potworem, że skrywam tajemnicę. Zastanawiam się, kiedy skupi się na ratowaniu własnego życia.

Zapomniałam odpowiedzieć na pytanie, więc wciąż mi się przygląda.

Zakładam za ucho kosmyk włosów, a potem zmieniam zdanie.

- Dlaczego stale mi się przyglądasz?

Jego oczy są jak okulary mikroskopu wpatrzone w komórki mojej egzystencji. Uważne, ciekawskie.

- Myślałem, że jedynym powodem, dla którego zamknęli mnie z dziewczyną, było to, że jesteś szalona. Myślałem, że próbują mnie torturować, każąc mi dzielić przestrzeń z psychopatką. Myślałem, że jesteś moją karą.

- To dlatego ukradłeś mi łóżko. - Żeby zademonstrować swoją władzę. Żeby zaznaczyć terytorium. Żeby zaatakować pierwszy.

Spuszcza wzrok. Splata i rozplata dłonie, a potem pociera kark.

- Dlaczego mi pomagałaś? Wiedziałaś, że nie zrobię ci krzywdy?

Liczę palce, żeby się upewnić, że wciąż tam są. -Nie.

- Nie pomogłaś mi czy nie wiedziałaś, że nie zrobię ci krzywdy?

- Adam. - Moje wargi otaczają kształt jego imienia. Jestem zaskoczona, jak bardzo kocham to łatwe, znajome staczanie się dźwięku z języka.

Siedzi prawie tak samo nieruchomo jak ja. W jego oczach pojawiają się jakieś nowe emocje, których nie rozpoznaję. -Tak?

- Jak tam jest? - pytam, wypowiadając każde słowo ciszej niż poprzednie. - Na zewnątrz? ~~W prawdziwym świecie.~~ Czy jest gorzej?

Ból szpeci jego doskonale wyrzeźbioną twarz. Mija kilka uderzeń serca, zanim odpowiada. Wygląda przez okno.

- Szczerze? Nie wiem, czy lepiej być tu czy tam.

Podążam za jego wzrokiem w kierunku szyby oddzielającej nas od rzeczywistości i czekam, aż jego wargi się rozdziela, czekam, aż przemówi. A potem próbuję skupić uwagę na jego słowach, skaczących we mgle zasnuwającej mi głowę, pokrywającej moje zmysły parą, zasłaniającej mi oczy, zachmurzającej koncentrację.

- Wiedziałaś, że to był międzynarodowy ruch? - pyta Adam.

- Nie, nie wiedziałam - odpowiadam.

Nie mówię mu, że zostałam wywleczona z domu **3** lata temu. Nie mówię mu, że stało się to dokładnie **7** lat po tym, jak liderzy Komitetu Odnowy zaczęli szerzyć swoją propagandę, i **4** miesiące po tym, jak przejęli kontrolę nad wszystkim. Nie mówię mu, jak mało wiem o naszym nowym świecie.

Adam mówi, że Komitet Odnowy ma wpływy w każdym kraju, że tylko czekają na dogodny moment, a wtedy ich ludzie wszędzie przejmą kontrolę. Mówi, że wszystkie tereny nadające się do zamieszkania zostały podzielone na **3333** sektory, a każdy z nich jest obecnie kontrolowany przez innego Człowieka Władzy.

- Wiedziałaś, że nas okłamali? - pyta Adam.

Czy wiesz, że ludzie Komitetu Odnowy mówili nam, że ktoś musi przejąć kontrolę, że ktoś musi ratować społeczeństwo, że ktoś musi przywrócić pokój? Czy wiesz, że według nich konieczne do tego było uciszenie wszystkich głosów opozycji?

Wiedziałaś o tym? O to właśnie pyta mnie Adam.

I tu właśnie kiwam głową. Tu przytakuję.

Tę część pamiętam. Gniew. Rozruchy. Wściekłość.

Zamykam oczy w podświadomym wysiłku, aby wyprzeć złe wspomnienia, ale skutek jest odwrotny. Protesty. Wiece. Krzyk walczących o przetrwanie. Widzę kobiety i dzieci umierające z głodu, domy leżące w gruzach, spaloną ziemię, której jedynym owocem są gnijące ciała ofiar. Widzę trupy trupy trupy i czerwień i purpurę i rdzę i wtarty w ziemię najintensywniejszy odcień ulubionej szminki mojej matki.

Śmierć tak szybko zabiera wszystko.

- Komitet Odnowy usiłuje utrzymać kontrolę nad ludźmi - mówi Adam.

Mówi, że ludzie Komitetu Odnowy starają się walczyć z buntownikami, którzy nie chcą się podporządkować nowemu reżimowi. Komitet Odnowy dąży do tego, by zakorzenić się jako nowa forma rządów w każdym państwie.

I wtedy zastanawiam się, co się stało z ludźmi, których codziennie widywałam. Co się stało z ich domami, ich rodzicami, ich dziećmi. Zastanawiam się, ilu z nich zostało pogrzebanych.

Ilu z nich zostało zamordowanych.

- Niszczą wszystko - mówi Adam, a jego głos nagle rozbrzmiewa uroczyście w ciszy. - Wszystkie książki, przedmioty, wszelkie ślady ludzkiej historii. Mówią, że to jedyny sposób, aby wszystko naprawić. Mówią, że musimy zacząć od nowa. Że nie możemy popełniać tych samych błędów co poprzednie pokolenia.

2-krotne pukanie

do drzwi i oboje zrywamy się na nogi ściągnięci gwałtownie z powrotem do tego ponurego świata.

Adam unosi brwi.

- Śniadanie?

- Odczekaj trzy minuty - przypominam mu. Dobrze nam idzie ukrywanie głodu, dopóki pukanie do drzwi nie okaleczy naszej godności.

Głodzą nas celowo.

- Tak - jego usta układają się w delikatny uśmiech. -Wiem. Gorące. - Czuję powiew powietrza, kiedy rusza do przodu.

Ja jestem posągiem.

- Nadal nie rozumiem - mówi cicho. - Dlaczego tu jesteś?

- Dlaczego zadajesz tyle pytań?

Odległość między nami wynosi może **30** centymetrów i tyle dzieli mnie od samozapłonu.

- Twoje oczy są takie głębokie - mówi. - Takie spokojne. Chcę wiedzieć, o czym myślisz.

- Nie powinieneś - głos mi się łamie. - Nawet mnie nie znasz. Śmieje się. Śmiech zapala światło w jego oczach.

- Nie znam cię. -Nie.

Kręci głową. Siada na łóżku.

- Jasne. Oczywiście, że nie. -Co?

- Masz rację. - Jego oddech się zatrzymuje. - Może jestem szalony.

Cofam się **2** kroki.

- Może jesteś.

Znowu się uśmiecha, a ja chciałabym zrobić mu zdjęcie. Chciałabym patrzeć na kontur jego ust przez resztę swojego życia.

- Wyobraź sobie, że nie.

- Ale nie chcesz powiedzieć, dlaczego tu jesteś - rzucam zaczepnie.

- Ty też nie.

Padam na kolana i wyszarpuję tacę z otworu. W dwóch blaszanych kubkach paruje nieokreślona substancja. Adam siada na podłodze naprzeciwko mnie.

- Śniadanie - mówię, przysuwając mu jego porcję.

6

1 słowo, 2 wargi, 3 4 5 palców zaciśniętych w 1 pięść. 1 róg pokoju, 2 rodziców, 3 4 5 powodów, żeby się ukryć. 1 dziecko, 2 oczu, 3 4 17 lat strachu.

Złamana miotła, dwie wściekłe twarze, gniewne szepty, zamki w moich drzwiach.

Spójrz na mnie -oto chciałabym cię poprosić. Porozmawiaj ze mną raz na jakiś czas. Znajdź lek na te łzy, bo naprawdę chciałabym odetchnąć. Choć raz w życiu.

Minęły 2 tygodnie.

2 tygodnie tej samej rutyny 2 tygodnie samej rutyny. 2 tygodnie ze Współwięźniem, ~~który jest zbyt bliski dotknięcia~~ ~~mnie~~, który mnie nie dotyka. Adam przystosowuje się do systemu. Nigdy nie narzeka, nigdy nie dzieli się zbyt wieloma informacjami, nadal zadaje zbyt wiele pytań.

Jest dla mnie miły.

Siedzę przy oknie i patrzę na deszcz i liście, i płatki śniegu zderzające się z sobą. Zawracają, tańcząc na wietrze, wykonują

układy taneczne dla niczego niepodważających mas. Żołnierze tupią tupią tupią w deszczu, deptając butami liście, które opadły, i śnieg. Ich ręce w rękawicach trzymają broń mogącą unicestwić miliony możliwości. Nie zawracają sobie głowy zawracaniem sobie głowy pięknem spadającym z nieba. Nie rozumieją wolności polegającej na tym, że czuje się na skórze dotyk wszechświata. Jest im wszystko jedno.

Chciałabym napełnić swoje usta deszczem, napakować śniegu do kieszeni. Chciałabym obrysować palcem żyłki w liściu, który spadł z drzewa, i poczuć na nosie smagnięcia wiatru.

Zamiast tego ignoruję rozpacz sklejającą mi palce i wypatruję ptaka, którego widziałam tylko w snach. Kiedyś ptaki latały, tak mówią. Zanim zniszczono powłokę ozonową, zanim zanieczyszczenia zmieniły żywe istoty w coś ~~straszne~~ innego. Mówią, że pogoda nie zawsze była tak nieprzewidywalna. Że istniały ptaki, które wzbijały się w niebo jak samoloty.

Wydaje się nieprawdopodobne, aby małe zwierzę mogło osiągnąć coś równie złożonego jak ludzka inżynieria, ale taka możliwość jest zbyt kusząca, aby ją zwyczajnie zignorować. Przez dokładnie **10** lat śniłam wciąż o tym samym ptaku szybującym po tym samym niebie. Był biały, ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę.

To jedyny z moich snów, który niesie z sobą spokój.

- Co piszesz?

Spoglądam na jego silną sylwetkę, na niewymuszony uśmiech na twarzy. Nie wiem, jak udaje mu się zachować ten uśmiech. Zastanawiam się, czy zdoła utrzymać go w takim kształcie - to szczególne zakrzywienie ust. Taki uśmiech może zmienić ludzkie życie. Zastanawiam się, co będzie czuł za miesiąc, i na samą myśl o tym przebiega mnie dreszcz.

Nie chcę, żeby tak skończył.

Pusty.

- Hej. - Bierze cienki koc z mojego łóżka i kuca obok mnie, pośpiesznie okrywając moje chude ramiona. - Wszystko w porządku?

Próbuję się uśmiechnąć. Postanawiam nie odpowiadać na jego pytanie.

- Dzięki za koc.

Siada obok mnie, opierając się o ścianę. Jego ramiona są tak blisko, zbyt blisko ~~nigdy nie będą dostatecznie blisko~~. Ciepło jego ciała ogrzewa mnie bardziej, niż mógłby mnie ogrzać jakikolwiek koc. Czuję ból w stawach. Przejmującą tęsknotę, rozpaczliwe pragnienie, którego nigdy nie mogłam zaspokoić. Moje ciało błaga o coś, na co nie mogę pozwolić.

~~Dotknij mnie.~~

Zerka na notatnik w mojej ręce, na uszkodzone pióro w zaciśniętej pięści. Zamykam notes i zwijam w rulon. Wsuwam go do szczeliny w ścianie. Wpatruję się w pióro w swojej dłoni. Wiem, że on na mnie patrzy.

- Piszesz książkę? -Nie.

Nie, nie piszę książki.

- Może powinnaś.

Odwracam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, i natychmiast tego żałuję. Dzieli nas niecałe **10** centymetrów, a ja nie mogę się ruszyć, ponieważ ciało odmawia mi posłuszeństwa. Wszystkie moje mięśnie twardnieją, kolejne kręgi kręgosłupa zmieniają się w kostki lodu. Wstrzymuję oddech. Moje szeroko otwarte oczy zostały uwięzione, pochwycone przez intensywność jego spojrzenia. Nie mogę odwrócić wzroku. Nie potrafię się wycofać.

O.

Boże.

Jego oczy.

Okłamywałam się, tak bardzo chciałam zaprzeczyć czemuś, co nie jest możliwe.

Znam go znam go znam go znam go. Chłopak, ~~który mnie nie pamięta~~ którego kiedyś znałam.

- Chcą unicestwić język angielski - mówi cichym, ostrożnym głosem.

Usiłuję złapać oddech.

- Chcą stworzyć wszystko od nowa - ciągnie. - Na nowo zaprojektować. Zniszczyć to, co mogło być przyczyną naszych problemów. Uważają, że potrzebujemy jednego, uniwersalnego języka - zniża głos. Spuszcza wzrok. - Chcą wszystko unicestwić. Wszystkie języki świata.

- Nie - głos więźnie mi w gardle. Ciemne plamy zasnuwają mi pole widzenia.

- Naprawdę. -Nie.

Tego nie wiedziałam. Podnosi wzrok.

- To dobrze, że prowadzisz notatki. Pewnego dnia to, co robisz, będzie nielegalne.

Zaczynam się trząść. Moje ciało walczy nagle z całym wirum wspomnień, mój mózg jest atakowany przez świat, który tracę, i boleśnie raniony przez tego chłopaka, który mnie nie pamięta. Pióro zatacza się, spadając na podłogę, a ja tak mocno naciągam koc, że za chwilę go podrę. Lód przecina mi skórę, w żyłach krzepnie przerażenie. Nie sądziłam, że będzie aż tak źle. Nie myślałam, że ludzie Komitetu Odnowy mogą się posunąć tak daleko. Unicestwiają kulturę, piękno, różnorodność. Nowi mieszkańcy naszego świata zostaną zredukowani do liczb łatwych do wymiany, usunięcia, zniszczenia za nieposłuszeństwo.

Tracimy nasze człowieczeństwo.

Owijam ramiona kocem, ale dreszcze oblepiają mnie jak kokon, nie przestają terroryzować mojego ciała. Przeraza mnie brak kontroli nad sobą. Nie mogę się uspokoić.

Nagle czuję na plecach jego rękę.

Jego dotyk parzy mi skórę przez warstwy tkaniny, oddycham tak gwałtownie, że prawie pękają mi płuca. Zostaję pochwycona przez przeciwne prądy chaosu, tak bardzo pragnę ~~tak bardzo pragnę tak bardzo pragnę~~ być blisko, tak bardzo pragnę być daleko. Nie wiem, jak się od niego odsunąć. Nie ~~chcę się od niego odsunąć~~.

Nie chcę, żeby się mnie bał.

- Hej - jego głos jest taki delikatny taki delikatny taki delikatny. Jego ramiona są silniejsze niż całe moje ciało. Przyciąga do siebie moją otuloną postać, a ja się rozwiewam. Dwa trzy cztery pięćdziesiąt tysięcy odłamków uczuć kłuje mnie w serce, topnieje, zmieniając się w krople ciepłego miodu, które leczą blizny na mojej duszy. Koc jest jedyną barierą pomiędzy nami. Adam przyciąga mnie coraz bliżej, ciaśniej, mocniej, aż słyszę uderzenia serca głęboko w jego piersi, a stal jego ramion przecina wszystkie więzy, które mnie krępują. Jego ciepło topi sople lodu w moim wnętrzu, topnieję topnieję topnieję, moje powieki trzepoczą, by wreszcie opaść zamknięte, a po mojej twarzy płyną strumienie cichych łez. Chciałabym, żeby jego ciało zastygło, teraz, kiedy mnie obejmuje.

- W porządku - szepcze. - Wszystko będzie dobrze. Prawda jest zazdrosną, porywczą kochanką, która nigdy

nie śpi, oto, czego mu nie mówię. Nigdy nie będzie dobrze.

Trzeba wszystkich pozrywanych włókien moich mięśni, żebym mogła oderwać się od niego. Robię to, bo nie mam wyjścia. ~~Dla jego własnego dobra~~. Kiedy się odsuwam, czuję szpikulce przebijające mi plecy. Koc zaplątuje mi się wokół nóg i o mało nie upadam, a Adam znowu wyciąga do mnie ręce.

- Julio.

- Nie wolno ci mnie dotykać. - Mój oddech jest płytki i niezbyt miarowy, moje palce drżą tak bardzo, że zaciskam je w pięść. - Nie wolno ci mnie dotykać. Nie wolno. - Moje oczy zwracają się ku drzwiom.

On zrywa się na równe nogi.

- Dlaczego?

- Po prostu ci nie wolno - szepczę do ścian.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? Cały dzień siedzisz w kącie, piszesz w swoim notesie i patrzysz na wszystko, tylko nie na moją twarz. Masz tak dużo do powiedzenia kartce papieru, a nie zauważasz mojej obecności, chociaż jestem obok ciebie. Julio, prosz ę... -Wyciąga rękę w stronę mojego ramienia, a ja się od niego odwracam. - Dlaczego nawet na mnie nie spojrzysz? Nie zrobię ci krzywdy...

~~Nie pamiętasz mnie. Nie pamiętasz, że przez 7 lat chodziliśmy do tej samej szkoły.~~ Nie pamiętasz mnie.

- Nie znasz mnie - mój głos jest spokojny, bezbarwny, moje kończyny bez czucia, jak amputowane. - Od dwóch tygodni dzielimy celę, a ty sobie myślisz, że mnie znasz, ale tak naprawdę nic o mnie nie wiesz. Może jestem szalona.

- Nie jesteś - mówi przez zaciśnięte zęby. - W i e s z, że nie jesteś.

- Więc może ty - mówię ostrożnie, powoli. - Bo jedno z nas jest.

- Nieprawda...

- Powiedz mi, dlaczego tutaj jesteś? Co robisz w domu wariatów, skoro to nie jest twoje miejsce?

- Zadaję ci to pytanie, odkąd tu jestem.

- Może zadajesz zbyt wiele pytań.

Słyszę jego głośnie westchnienie. Śmieje się gorzko.

- Jesteśmy jedynymi naprawdę żywymi ludźmi w tym miejscu, a ty też chcesz mnie odrzucić?

Zamykam oczy i skupiam się na oddechu.

- Możesz ze mną rozmawiać. Tylko mnie nie dotykaj. 7 sekund ciszy włącza się do rozmowy.

- Może ja chcę cię dotykać.

Niedowierzanie przebija moje serce na wylot na **15 000** sposobów. Lekkomyślność jest pokusą, pragnę pragnę pragnę rozpaczliwie tego, czego nigdy nie będę mogła mieć. Odwracam się do niego plecami, ale pozwalam kłamstwu wylewać się z moich ust.

- Może ja nie chcę. Wydaje chrapliwy dźwięk.

- Tak bardzo się mnie brzydzisz?

Obracam się tak zaskoczona jego słowami, że się zapominam. Wpatruje się we mnie surowo, zaciskając szczęki i pięści. Jego oczy są jak dwa wiadra deszczówki, głębokie, czyste, świeżo napełnione.

Bolało.

- Nie wiesz, o czym mówisz. - Nie mogę oddychać.

- Nie możesz nawet odpowiedzieć na proste pytanie, co? -kręci głową, odwracając się do ściany.

Moja twarz została odlana w formie obojętności, ręce i nogi mam wypełnione gipsem. Nic nie czuję. Jestem niczym. Mam w sobie pustkę, nigdy się nie poruszę. Patrzę na szparę w podłodze obok swojego buta. Będę się w nią wpatrywała bez końca.

Koce opadają na podłogę. Świat traci ostrość, moje uszy przekazują dźwięki z innego wymiaru. Zamykam oczy, moje myśli dryfują, wspomnienia kopią mnie w serce.

Znam go.

Tak bardzo się starałam przestać o nim myśleć.

Tak bardzo się starałam zapomnieć jego twarz.

Tak bardzo się starałam wyrzucić z pamięci te niebieskie
niebieskie niebieskie oczy, ale znam go znam go znam go.

Minęły **3** lata, odkąd ostatni raz go widziałam.

Nigdy nie mogłabym zapomnieć Adama.

A on już zapomniał mnie.

Pamiętam telewizory, kominki i porcelanowe umywalki. Pamiętam bilety do kina, parkingi i luksusowe wersje samochodów terenowych. Salony fryzjerskie, wakacje, żaluzje w oknach, dmuchawce i zapach świeżo wybrukowanego podjazdu. Reklamy pasty do zębów, kobiety na wysokich obcasach i mężczyźni w garniturach. Pamiętam listonoszy, biblioteki, boysbandy, balony i choinki na Boże Narodzenie.

*Pamiętam, że kiedy miałam **10** lat, nie dało się już ignorować niedoborów żywności, a wszystko zrobiło się tak drogie, że ludzie nie byli w stanie przeżyć.*

Adam się do mnie nie odzywa.

Może tak będzie lepiej. Może nadzieja na naszą przyjaźń nie miała sensu, może lepiej, żeby myślał, że go nie lubię, niż żeby myślał, że lubię go za bardzo. Coś przede mną ukrywa, może jakiś ogromny ból. Jego tajemnice mnie przerażają. Nie chce powiedzieć, dlaczego tutaj jest. Choć ja również nie mówię mu zbyt wiele.

~~A jednak a jednak a jednak.~~

Ostatniej nocy wspomnienie jego ramion wystarczało mi, żeby odegnąć krzyki. Ciepło troskliwych objęć, siła mocnych dłoni trzymających razem wszystkie części mojego ciała, ulga i wymazanie tylu lat samotności. Nie jestem w stanie odwdziaczyć mu się za to, co mi dał.

Dotknięcie Julii jest praktycznie niemożliwe.

Nigdy nie zapomnę strachu w oczach mojej matki, cierpienia na twarzy ojca, ich przerażenia. Ich dziecko było jest potworem. Opętanym przez diabła. Opanowanym przez siły ciemności. Złym. Odrażającym. Leki, badania, sposoby znane medycynie zawiodły. Zawiódł krzyżowy ogień psychologicznych pytań.

- Ona jest jak odbezpieczona broń wpuszczona między ludzi
- mówili nauczyciele.

- Nigdy czegoś podobnego nie widzieliśmy - mówili lekarze.

- Powinno się ją usunąć z waszego domu - mówili policjanci.

~~- Nie ma sprawy - powiedzieli moi rodzice.~~

Miałam 14 lat, kiedy wreszcie się mnie pozbyli. Stali z boku i patrzyli, jak wyprowadzano mnie z domu pod zarzutem morderstwa, choć nawet nie wiedziałam, że mogę je popełnić.

Może na świecie jest bezpieczniej, kiedy jestem zamknięta. Może Adam będzie bezpieczniejszy, jeśli mnie znienawidzi. Siedzi teraz w rogu, podpierając twarz pięściami.

Nigdy nie chciałam go zranić.

Nigdy nie chciałam zranić jedynej osoby, która nigdy nie chciała zranić mnie.

Drzwi otwierają się z hukiem i do celi wpada 5 ludzi z karabinami wycelowanymi w nasze piersi.

Adam zrywa się na równe nogi, ja stoję jak skamieniała. Zapominam o oddychaniu. Nie widziałam tylu ludzi od tak dawna, że wprawiają mnie w całkowite osłupienie. Powinnam teraz krzyczeć.

- RĘCE DO GÓRY, NOGI SZEROKO, GĘBY NA KLÓDKĘ. NIE RUSZAĆ SIĘ, TO WAS NIE ZASTRZELIMY.

Nadal stoję w bezruchu. Powinnam się poruszyć, powinnam podnieść ręce, powinnam rozstawić nogi, powinnam pamiętać o oddychaniu. Ktoś chyba odcina mi głowę.

Ten, który wykrzykuje rozkazy, uderza mnie w plecy kolbą karabinu. Upadam, uderzając kolanami o podłogę. Wreszcie kosztuję tlenu zaprawionego krwią. Wydaje mi się, że Adam coś krzyczy, ale ogłusza mnie dotkliwy ból, niepodobny do niczego, czego dotąd doświadczyłam. Jestem całkowicie unieruchomiona. - Czego nie rozumiesz, kiedy słyszysz „gęba na KLÓDKĘ”? Zerkam ukradkiem i dostrzegam lufę karabinu 5 centymetrów od twarzy Adama.

- WSTAWAJ. - But z metalowym noskiem kopie mnie w żebra, szybko, mocno, głucho. Przełykam wyłącznie zdławione jęki wstrząsające moim ciałem. - Powiedziałem WSTAWAJ. - Mocniej, szybciej, silniej, jeszcze jeden but trafia mnie w brzuch. Nie jestem w stanie nawet krzyknąć.

~~Wstań, Julio, wstań. Jeśli nie wstaniesz, zabije Adama.~~

Dźwigam się na kolana i od razu zataczam się na ścianę za moimi plecami. Chwiejąc się, odzyskuję równowagę. Podniesienie rąk okazuje się większą torturą, niż sądziłam, że mogę znieść. Moje organy są obumarłe, kości połamane, moja skóra, poprzesywana szpilkami i igłami bólu, zamieniła się w sito. W końcu przyszli mnie zabić.

Dlatego umieścili w mojej celi Adama.

Ponieważ ja ją opuszczam. Adam jest tutaj, bo mnie nie będzie, bo zapomnieli zabić mnie w porę, bo moje chwile

minęły, bo moje 17 lat to dla tego świata zbyt wiele. Zabijają mnie.

Zawsze zastanawiałam się, jak to się stanie. ~~Zastanawiam się, czy moi rodzice poczują ulgę.~~ Ktoś się śmieje.

- Co za śmieć!

Nie wiem, czy mówią do mnie. Ledwie udaje mi się skupić na tym, żeby utrzymać ręce w górze.

- Ona nawet nie płacze - dodaje ktoś inny. - Normalnie dziewczyny już by błagały o litość.

Ściany zaczynają krwawić, zabarwiając czerwienią sufit. Zastanawiam się, jak długo będę w stanie wstrzymać oddech. Nie potrafię rozróżnić słów, nie mogę zrozumieć dźwięków, które słyszę, krew pulsuje mi w głowie, a moje usta zamieniają się w dwa bloki betonu, między którymi nie da się zrobić szczeliny. W plecy wbija mi się karabin, pchając mnie do przodu. Podłogi zapadają się w górę. Moje stopy wloką się w kierunku, którego nie potrafię określić.

Mam nadzieję, że szybko mnie zabiją.

Otwarcie oczu zajmuje mi **2** dni.

Obok stoi menażka z wodą i menażka z jedzeniem, a ja sięgam po nie drżącymi rękami i wdycham ich zimną zawartość. Tępy ból łamie mi kości, dławi mnie rozpaczliwa suchość w gardle. Nic nie wydaje się złamane, ale jedno spojrzenie pod koszulkę wystarcza, aby się przekonać, że ból jest prawdziwy. Siniaki kwitną na żółto i na niebiesko, ich dotykanie jest torturą, a leczenie na pewno potrwa długo.

Adama nigdzie nie ma.

Jestem uwięziona w bryle samotności - **4** ściany, nie więcej niż **3** metry w każdą stronę. Powietrze zakrada się do środka wyłącznie przez niewielki otwór w drzwiach. Właśnie zaczyna terroryzować mnie własna wyobraźnia, kiedy ciężkie metalowe drzwi otwierają się z trzaskiem. Strażnik z **2** karabinami na piersi mierzy mnie wzrokiem.

- Wstawaj.

Tym razem się nie waham.

Mam nadzieję, że przynajmniej Adam jest bezpieczny. Mam nadzieję, że nie skończy tak jak ja.

- Za mną. - Głos strażnika jest zachrypnięty i niski, jego szare oczy nieodgadnione. Wygląda na jakieś **25** lat, blond włosy ma obcięte na jeża, rękawy koszuli podwinięte do łokci, wojskowe tatuaże wiją się po jego przedramionach, zupełnie jak u Adama.

Och. Boże. Nie.

Adam wchodzi, mijając blondyna, i lufą wskazuje na wąski korytarz.

- Ruszaj się.

~~Adam mierzy do mnie z karabinu. Adam mierzy do mnie z karabinu.~~ Adam mierzy do mnie z karabinu.

Jego oczy są obce, szkliste i dalekie, bardzo, bardzo odległe.

Jestem czystą nowokainą, pozbawionym czucia światem niczego, wszystkie wrażenia, emocje odeszły na zawsze.

Stałam się szeptem, którego nigdy nie było.

Adam jest żołnierzem. ~~Adam chce, abym umarła.~~

Teraz, kiedy wszystkie moje odczucia zostały amputowane, wpatruję się w niego otwarcie, mój ból jest odległym krzykiem oddzielonym od ciała. Moje stopy poruszają się do przodu z własnej inicjatywy, usta mam zaciśnięte, ponieważ nigdy nie będzie słów mogących opisać tę chwilę.

Śmierć wydaje się upragnionym wyzwoleniem od tych ziemskich rozkoszy, których dane mi było zaznać.

Nie wiem, jak długo szłam, zanim kolejny cios w plecy mnie obezwładnił. Mrugam na widok jasnego światła, niewidzianego od tak dawna. Moje oczy zaczynają łzawić, mrużę je,

broniąc się przed fluorescencyjnymi lampami oświetlającymi duże pomieszczenie. Prawie nic nie widzę.

- Julia Ferrars - jakiś głos detonuje moje nazwisko. Ciężki but przyciska moje plecy i nie mogę podnieść głowy, żeby zobaczyć tego, który mówi. - Weston, przyciemnij światła i puść ją. Chcę zobaczyć jej twarz. - Rozkaz jest chłodny i twardy jak stal, niebezpiecznie spokojny, wypowiedziany bez wysiłku, potężny.

Światło zostaje zredukowane do poziomu, który jestem w stanie znieść. Odcisk buta pozostaje wycięty w moich plecach, ale nie ma go już na moim ciele. Podnoszę głowę i wzrok.

Natychmiast uderza mnie jego młody wiek. Nie może być wiele starszy ode mnie.

To oczywiste, że czymś dowodzi, chociaż nie mam pojęcia czym. Jego skóra jest doskonała, nieskazitelna, linia jego szczęki ostra i silna. Jego oczy mają najbledszy odcień szmaragdu, jaki kiedykolwiek widziałam.

Jest piękny.

Jego krzywy uśmiech to czyste zło.

Siedzi na czymś, co w jego wyobrażeniu jest tronem, ale w rzeczywistości to zwyczajne krzesło przy wejściu do pustego pokoju. Jego garnitur jest idealnie wyprasowany, blond włosy fachowo uczesane, jego żołnierze są idealnymi ochroniarzami.

Nienawidzę go.

- Więc jesteś uparta. - Jego zielone oczy prawie nie stanowią bariery dla światła. - Nie chcesz współpracować. Nawet dla swojego współwięźnia nie byłaś miła.

Wzdrygam się mimowolnie. Płomień zdrady rumieni moją szyję.

Zielonooki niespodziewanie wygląda na rozbawionego, a ja nagle czuję się zażenowana.

- Czyż to nie interesujące? - Pstryka palcami. - Kent, podejdź tu, proszę.

Moje serce przestaje bić, kiedy pojawia się Adam. ~~-Kent. Nazywam się Adam Kent.~~

Płonę od stóp do głów. Adam natychmiast pojawia się u boku Zielonookiego, ale pozdrawia go jedynie oschłym skinieniem głowy. Może w rzeczywistości przywódca nie jest wcale taki ważny, jak mu się wydaje.

- Tak jest - mówi Adam.

Tyle myśli płacze mi się w głowie, że nie mogę rozsypać tego zaciskającego się na węzeł szaleństwa. Powinnam była się zorientować. Słyszałam plotki o żołnierzach mieszkających wśród cywili, donoszących władzom o wszystkim, co wyda im się podejrzane. Ludzie znikali codziennie. Nikt nigdy nie wrócił.

A jednak wciąż nie rozumiem, po co wysłali Adama, żeby mnie szpiegował.

- Wygląda na to, że zrobiłeś na niej wrażenie.

Mrużę oczy, przyglądając się mężczyźnie na krześle tylko po to, żeby stwierdzić, że jego garnitur zdobią maleńkie kolorowe łątki. Odznaczenia wojskowe. Jego nazwisko jest wyszyte na klapie marynarki: Warner.

Adam nic nie mówi. Nie patrzy w moją stronę. Jego ciało jest wyprostowane, dwa metry-boskich smukłych mięśni, silna i nieruchoma sylwetka. Te same ramiona, które mnie obejmowały, są teraz kaburą śmiertelnej broni.

- Nic nie masz do powiedzenia w tej sprawie? - mówi Warner, zerkając na Adama, po czym odwraca głowę w moją stronę. Światło tańczy w jego rozbawionych oczach.

Adam zaciska zęby. -Nie.

- Oczywiście - mówi Warner, nagle znudzony. - Dlaczego właściwie oczekuję, że będziesz miał coś do powiedzenia?

- Zamierzacie mnie zabić? - słowa wymykają się z moich ust, zanim udaje mi się je przemyśleć, i czyjś karabin uderza mnie znowu w kręgosłup. Upadam z łamiącym się jękiem, dyszę, leżąc na brudnej podłodze.

- To nie było konieczne, Rolandzie. - Głos Warnera jest przesycony pełnym kpiny rozczarowaniem. - Przypuszczam, że na jej miejscu sam bym się nad tym zastanawiał.

Cisza.

- Julio?

Udaje mi się podnieść głowę.

- Mam dla ciebie propozycję.

9

Nie jestem pewna, czy dobrze słyszę.

- Masz coś, czego chcę. - Warner nadal mi się przygląda.

- Nie rozumiem - odpowiadam.

Bierze głęboki oddech, wstaje i zaczyna przemierzać pokój. Wciąż nie każe Adamowi odmaszerować.

- W pewnym sensie jesteś moim ulubionym projektem
- Warner uśmiecha się do siebie. - Bardzo długo analizowałem twoje akta.

Nie mogę znieść jego napuszonego, zadowolonego z siebie kroku. Chciałabym zniszczyć uśmiech na jego twarzy. Warner przystaje.

- Chcę cię mieć po swojej stronie.

- Co? - wydaję z siebie łamiący się, zaskoczony szept.

- Jest wojna - mówi trochę niecierpliwie. - Może potrafisz poskładać fragmenty.

- Nie...

- Znam twoją tajemnicę, Julio. Wiem, dlaczego tutaj jesteś. Całe twoje życie zostało udokumentowane w szpitalnych kartotekach, skargach do władz, chaotycznych sprawach

sądowych, publicznych żądaniach, żeby cię zamknąć. -Chwila ciszy wystarcza, żebym udławiła się przerażeniem, które mam w gardle. - Zastanawiałem się nad tym długo, najpierw chciałem się upewnić, że naprawdę nie jesteś chora psychicznie. Odosobnienie nie było właściwie dobrym testem, chociaż poradziłaś sobie całkiem nieźle. - Raczy mnie uśmiechem, który mówi, że powinnam być mu wdzięczna za pochwałę. - Wysłałem Adama, aby przeprowadzić ostatni sprawdzian. Chciałem się upewnić, że nie jesteś niestabilna, że potrafisz nawiązać podstawowy kontakt i porozumiewać się z ludźmi. Muszę przyznać, że jestem całkiem zadowolony z rezultatów.

Ktoś mnie obdziera ze skóry.

- Adam, jak się wydaje, odegrał swoją rolę odrobinę zbyt perfekcyjnie. Jest dobrym żołnierzem. Właściwie jednym z najlepszych.

Warner zaszczyca go spojrzeniem, a potem uśmiecha się do mnie.

- Ale nie martw się, nie wie, do czego jesteś zdolna. W każdym razie jeszcze nie.

Rozdrapuję panikę, przetykam cierpienie, błagam samą siebie o niepatrzenie w jego stronę, ale nie udaje mi się ~~nie udaje mi się nie udaje mi się~~ Adam kieruje na mnie spojrzenie w tym samym ułamku sekundy, w którym ja zerkam na niego, ale odwraca je tak szybko, że nie jestem pewna, czy sobie tego nie wyobraziłam.

Jestem potworem.

- Nie jestem tak bezduszny, jak myślisz - ciągnie Warner ze śpiwną intonacją. - Jeśli tak lubisz jego towarzystwo, mogę ci je załatwić. - Wskazuje między mnie i Adama. -Jako stały przydział.

- Nie - szepczę.

Warner krzywi usta w beztroskim uśmiechu.

- O, t a k. Ale bądź ostrożna, ślicznotko. Jeśli zrobisz coś... brzydkiego... będziemy musieli cię zastrzelić.

Szczypce do cięcia drutu wbijają mi się w serce. Adam nie reaguje na słowa Warnera. Wykonuje swoją pracę.

Ja jestem numerem, misją, łatwym do zastąpienia obiektem. Nie jestem nawet wspomnieniem w jego umyśle. Jestem niczym.

Nie spodziewałam się, że jego zdrada pogrzebie mnie tak głęboko.

- Jeśli przyjmiesz moją ofertę - Warner przerywa moje rozmyślenia - będziesz żyła tak jak my. Będziesz jedną z n a s, a nie jedną z n i c h. Twoje życie zmieni się na zawsze.

- A jeśli nie przyjmę? - pytam, opanowując swój głos w samą porę, zanim załamie się pod wpływem strachu.

Warner wygląda na szczerze rozczarowanego. Z niepokojem splata ręce.

- Tak naprawdę nie masz wyboru. Jeśli staniesz po mojej stronie, zostaniesz wynagrodzona. - Zaciska usta. - Ale jeśli wybierzesz nieposłuszeństwo? Cóż... Myślę, że uroczo wyglądasz z wszystkimi częściami ciała na swoim miejscu, prawda?

Oddycham z takim trudem, że drzę na całym ciele.

- Chcesz, żebym dla ciebie torturowała ludzi? Jego twarz rozjaśnia olśniewający uśmiech.

- Byłoby cudownie. Świat krwawi.

Nie mam czasu na sformułowanie odpowiedzi, bo on zwraca się do Adama.

- Pokaż jej, co traci, dobrze?

Adam odpowiada o jedno uderzenie serca za późno.

- Słucham?

- To rozkaz, żołnierzu. - Oczy Warnera są skierowane na mnie, jego usta drgają od powstrzymywanej wesołości. - Trzeba ją złamać dla jej własnego dobra. Jest trochę zbyt zaciorna.

- Nie możecie mnie dotknąć - cedzę przez zaciśnięte zęby.

- Nieprawda - odpowiada śpiewnie. Rzuca Adamowi parę czarnych rękawic. - Będziesz tego potrzebował - szepcze konspiracyjnie.

- Jesteś potworem. - Mój głos jest zbyt spokojny, ciało wypełnia nagła wściekłość. - Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz?

- To, moja droga, byłoby marnotrawstwo. - Robi krok naprzód, a ja zdaję sobie sprawę, że jego ręce są przezornie obleczone w białe skórzane rękawice. Jednym palcem unosi mój podbródek. - Poza tym szkoda byłoby takiej ładnej buzi.

Kiedy próbuję odwrócić głowę, ten sam okuty metalem but wbija mi się w kręgosłup, a Warner przytrzymuje moją twarz. Powstrzymuję krzyk.

- Nie szarp się, kochanie. Tylko utrudnisz sobie życie.

- Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle. Warner zaciska szczęki. Podnosi rękę, żeby powstrzymać

kogoś od zastrzelenia mnie, kopnięcia w śledzionę albo rozplątania mi czaszki, nie mam pojęcia.

- Walczysz po niewłaściwej stronie. - Prostuje się. - Ale to możemy zmienić. Adam! - mówi głośno. - Nie spuszcza jej z oka. To twoje nowe zadanie.

- Tak jest.

Adam wkłada rękawice, ale nie dotyka mnie.

- Puść ją, Rolandzie. Zajmę się resztą.

But znika. Usiłuję wstać, niczemu się nie przyglądając. Nie będę myślała o czekającym mnie koszmarze. Ktoś kopie mnie od tyłu w kolana i prawie przewracam się na ziemię.

- Ruszaj się - warczy głos za moimi plecami. Podnoszę głowę i zdaję sobie sprawę, że Adam już wychodzi. Mam iść za nim.

Dopiero gdy znowu ogarnia nas ślepotą korytarzy zakładu dla umysłowo chorych, zatrzymuje się.

- Julio.

~~Jedno łagodne słowo, a moje stawy stają się powietrzem.~~ Nie odpowiadam.

- Weź mnie za rękę - mówi.

- Nigdy - udaje mi się wykrztusić pomiędzy kolejnymi porcjami tlenu. - Nigdy.

Ciężkie westchnienie. Czuję, jak przesuwają się w ciemności i wkrótce jego ciało znajduje się zbyt blisko, tak rozbijająco blisko mojego. Jego ręka dotyka dolnej części moich pleców.

Prowadzi mnie korytarzami ku nieznanemu celowi. Każdy centymetr mojego ciała oblewa się rumieńcem. Trzymam się prosto, powstrzymuję się przed osunięciem w jego ramiona.

Odległość, którą pokonujemy, jest znacznie większa, niż się spodziewałam. Kiedy Adam wreszcie się odzywa, przypuszczam, że zbliżamy się do celu.

- Wyjdziemy na zewnątrz - słyszę w pobliżu swojego ucha. Muszę zacisnąć pięści, żeby powstrzymać dreszcze i palpacje serca. Tak bardzo rozprasza mnie dźwięk jego głosu, że prawie nie rozumiem, co mówi. - Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć.

Głośny wdech to moja jedyna odpowiedź. Nie byłam na zewnątrz od prawie roku. Jestem podekscytowana aż do bólu, ale od tak dawna nie czułam na skórze naturalnego światła, że nie wiem, czyje zniosę. Nie mam wyboru.

Najpierw uderza we mnie powietrze.

Nasza atmosfera nie jest może w szczytowej formie, ale po tylu miesiącach spędzonych w betonowym kącie nawet zużyty tlen naszej umierającej planety smakuje jak ambrozja. Nie nadążam z oddychaniem. Wypełniam płuca tym uczuciem. Robię krok w delikatną bryzę i chwytam wiatr przepływający między moimi palcami.

Rozkosz nie przypomina niczego, co w życiu zaznałam.

Powietrze jest chłodne i rześkie. Odświeżająca kąpiel w namacalnej nicości, która piecze mnie w oczy i szczypie w skórę. Słońce jest dziś wysoko, oślepia mnie, odbijając się od niewielkich płatów śniegu, które utrzymują ziemię zamarzną. Nic nie widzę przez szparki między powiekami opadającymi pod ciężarem jasnego światła, ale ciepłe promienie otulają moje ciało jak kurtka uszyta na miarę, jak objęcia czegoś większego niż człowiek. Mogłabym zastygnąć na zawsze w tej właśnie chwili. Przez jedną nieskończoną sekundę czuję się wolna.

Dotyk Adama to prawdziwy wstrząs przywracający mnie do rzeczywistości. Prawie wyskakuję z siebie, gdy on chwyta mnie w talii. Muszę błagać własne ciało, żeby przestało się trząść.

- Wszystko w porządku?

Zaskakują mnie jego oczy. To te same oczy, które zapamiętałam, błękitne i bez dna, jak najgłębsze rejony oceanu. Jego dłonie otaczają mnie ~~delikatnie tak delikatnie~~.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał - kłamię.

- Nie masz wyboru. - Nie patrzy na mnie.

- Zawsze jest wybór.

Przeczesuje ręką włosy i przetyka pustkę w gardle.

- Chodź ze mną.

Znajdujemy się na otwartej przestrzeni, na małym poletku pokrytym warstwą martwych liści, porośniętym umierającymi drzewami, które małymi łyczkami popijają z ziemi topniejący śnieg. Ten krajobraz, choć spustoszony przez wojnę i zaniedbany, wciąż jest najpiękniejszą rzeczą, jaką widziałam od bardzo dawna. Maszerujący żołnierze przystają, żeby popatrzeć, jak Adam otwiera przede mną drzwi samochodu.

To nie samochód. To transporter opancerzony.

Patrzę na masywne metalowe cielsko i próbuję wdrapać się do środka, kiedy Adam nagle staje za mną. Chwyta mnie w pasie, a ja wydaję stłumiony okrzyk, kiedy sadza mnie na siedzeniu.

Chwilę później jedziemy w milczeniu. Nie mam pojęcia dokąd.

Wyglądam przez okno, przypatrując się wszystkiemu.

Pożeram, spijam i chłonę najdrobniejsze szczegóły ruin, linii horyzontu, opuszczonych domów, pogiętych kawałków metalu i odłamków szkła, którymi usiana jest okolica. Świat wydaje się nagi, pozbawiony życia i ciepła. Nie ma nazw ulic ani znaków drogowych - ani jedno, ani drugie nie są właściwie

potrzebne. Nie ma publicznego transportu. Wszyscy wiedzą, że samochody są teraz produkowane przez jedną firmę i sprzedawane po absurdalnie wyśrubowanych cenach.

Tylko nielicznym wolno posiadać ten środek ucieczki.

~~Moi rodzice~~. Ludność została rozszana po naszym zrujnowanym kraju. Kręgosłup krajobrazu stanowią budynki przemysłowe: to wysokie, prostokątne, metalowe pudełka nafaszerowane maszyną. Maszyną, której przeznaczeniem jest wzmacniać armię i Komitet Odnowy, niszczyć na masową skalę ludzką cywilizację.

Węgiel/Smoła/Stal

Szarość/Czerń/Srebro

Rozmazane na horyzoncie kolory dymu skapują na breję, która kiedyś była śniegiem. Wszędzie w przypadkowych stertach leżą śmieci, spustoszoną okolicę porastają łąty pożółkłej trawy.

Tradycyjne domy naszego starego świata stoją opuszczone, z powybijanymi oknami, zawalonymi dachami. Resztki czerwonej, zielonej i niebieskiej farby przybrały zgaszony odcień, dopasowany do barw naszej przyszłości. Teraz mijamy bloki mieszkalne niedbale wzniesione na spustoszonej ziemi i zaczyna mi wracać pamięć. Przypominam sobie, że one miały być tymczasowe. Przypominam sobie tych kilka miesięcy, zanim mnie zamknęli, wtedy zaczęli je budować. Te małe, zimne kwatery miały wystarczyć do czasu, gdy uda się dopracować wszystkie szczegóły nowego planu, tak mówili ci z Komitetu Odnowy. Tylko do chwili, gdy uda się wszystkich podporządkować. Kiedy ludzie przestaną protestować i zaczną zdawać sobie sprawę, że zmiany są dla ich d o b r a, dla d o b r a ich dzieci, dla d o b r a ich przyszłości.

Pamiętam, że były zasady.

Żadnych niebezpiecznych złudzeń, żadnych leków na receptę. Po nas nadejdzie nowe pokolenie składające się

z samych zdrowych jednostek. Chorych trzeba odizolować. Starych trzeba się pozbyć. Niespokojnych oddać do szpitali dla umysłowo chorych. Tylko silni powinni przetrwać. Tak.

Oczywiście.

Koniec z głupimi językami, głupimi opowieściami, głupimi obrazami nad gzymsem głupiego kominka. Koniec z Bożym Narodzeniem, koniec z Chanuką, koniec z ramadanem, koniec z diwali. Dość gadania o religii, wierze, osobistych przekonaniach. Osobiste przekonania to coś, co omal nas wszystkich nie zabiło, tak mówili.

Przekonania, priorytety, preferencje, uprzedzenia i ideologie nas podzieliły. Zwiodły nas. Zniszczyły nas.

Należało porzucić egoistyczne potrzeby, zachcianki i pragnienia. Należało wykreślić z kanonu ludzkich zachowań chciwość, zbytnią pobłażliwość i obżarstwo. Rozwiązanie mogła przynieść samokontrola, minimalizm, spartańskie życie, jeden prosty język i całkiem nowy słownik pełen słów, które każdy mógłby zrozumieć.

To miało nas uratować, uratować nasze dzieci, ludzkość, tak mówili.

Odnowienie Równości. Odnowienie Człowieczeństwa. Odnowienie Nadziei, Uzdrawienie i Szczęście. URATUJCIE NAS! DOŁĄCZCIE DO NAS!

POMÓŻCIE W ODNOWIE SPOŁECZEŃSTWA!

Plakaty ciągle jeszcze wiszą poprzyklejane na murach.

Wiatr je szarpie, ale papier wydaje się zdeterminowany, aby pozostać na dawnym miejscu, i łopocze, uderzając o stalowe i betonowe konstrukcje, na których został rozklejony.

Niektóre plakaty nadal są przyklepione do wystrzelających prosto z ziemi słupów, na których szczycie teraz umocowano głośniki. Głośniki alarmujące ludzi o nadciągających niebezpieczeństwach, które niewątpliwie ich otaczają. Ale świat wokół jest dziwnie cichy.

Przechodnie idą powoli wśród lodowatej aury, do pracy w fabryce i na poszukiwanie pożywienia dla swoich rodzin. Nadzieja tego świata wykrwawia się z lufy karabinu.

To tylko pojęcie, o które tak naprawdę nikt już nie dba.

Kiedyś ludzie pragnęli nadziei. Chcieli myśleć, że wszystko może się ułożyć. Chcieli wierzyć, że znowu będą mogli przejmować się plotkami, wakacjami i pójściem na przyjęcie w sobotni wieczór. Więc Komitet Odnowy obiecał przyszłość zbyt idealną, aby mogła się ziścić, ale szarzy obywatele byli zbyt zrozpaczeni, aby w nią nie uwierzyć. Nigdy nie zdali sobie sprawy, że zapredali dusze grupie ludzi planujących wykorzystać ich niewiedzę. Ich strach.

Większość cywilów jest zbyt przerażona, aby się buntować, ale są tacy, którzy mają siłę, tacy, którzy czekają na właściwy moment. Są i tacy, którzy przeszli do kontrataku.

Mam nadzieję, że nie jest za późno na odwet.

Przyglądam się wszystkim drżącym gałęziom, imponującym żołnierzom, każdemu oknu, które mogę policzyć. Moje oczy są jak **2** zawodowi kieszonkowcy, którzy kradną wszystko z zamiarem przechowywania tego w pamięci.

Tracę rachubę minut, które depczemy.

Zatrzymujemy się przy budowli co najmniej **10** razy większej niż zakład dla umysłowo chorych i zlokalizowanej w podejrzanie centralnym punkcie miasta. Z zewnątrz wygląda jak nijaki wieżowiec, niepozorny pod każdym względem, poza

rozmiarem. Szare stalowe płyty tworzą **4** płaskie ściany z zarysami wtłoczonych w mur okien na **15** poziomach. Jest pury i nie nosi żadnych śladów swojej prawdziwej tożsamości: żadnych tablic ani emblematów.

Siedziba władz zakamuflowana wśród mas.

Wnętrze pojazdu to gąszcz przycisków i dźwigni, którymi nie potrafiłabym się posłużyć. Adam otwiera drzwi po mojej stronie, nie dając mi czasu na rozróżnianie poszczególnych elementów wyposażenia. Jego ręce ponownie chwytają mnie w pasie i po chwili moje stopy stoją twardo na ziemi, ale serce wali mi tak mocno, że na pewno je słyszy. Nie puścił mnie.

Podnoszę głowę.

Jego wzrok jest skupiony, czoło zmarszczone, jego usta ~~jego usta~~ są dwiema zsuniętymi połówkami frustracji.

Cofam się o krok i między nami rozpryskuje się **10 000** maleńkich cząsteczek.

Spuszcza wzrok. Odwraca się. Nabiera powietrza, zaciska **5** palców jednej ręki w niepewną pięść.

- Tędy. - Ruchem głowy wskazuje budynek.

Wchodzę za nim do środka.

Jestem przygotowana na niewyobrażalny koszmar, jednak rzeczywistość jest jeszcze gorsza.

Pochodzące z ciemnych interesów bogactwo kapiące ze ścian. Marmurowe posadzki, które musiały kosztować tyle, ile wyżywienie całej rodziny przez rok, setki tysięcy dolarów mogących pokryć koszty opieki medycznej wyrzucone na wymyślne meble i perskie dywany. Czuję sztuczne ciepło wlewające się przewodami wentylacyjnymi i myślę o dzieciach wołających o czystą wodę. Mrużę oczy, patrząc na kryształowe żyrandole, i słyszę matki błagające o litość. Widzę pełen blichtru świat istniejący w rzeczywistości pełnej terroru i nie mogę się ruszyć.

Nie mogę oddychać.

Ilu ludzi musiało umrzeć, żeby utrzymać ten luksus. Ilu ludzi musiało stracić swoje domy, swoje dzieci i swoje ostatnie 5 dolarów za obietnice obietnice obietnice, tak wiele obietnic, że zostaną ochronieni sami przed sobą. Obiecano nam -ludzie z Komitetu Odnowy obiecali nam lepszą przyszłość. Twierdzili, że różne rzeczy naprawią, mówili, że pomogą nam przywrócić świat, który znamy - świat z randkami w kinie,

ślubami na wiosnę i przyjęciami z okazji narodzin dziecka. Powiedzieli, że zwrócą nam nasze domy, nasze zdrowie, naszą stabilną przyszłość. A oni to wszystko ukradli.

Zabrali wszystko. ~~Moje życie. Moją przyszłość. Moją równowagę psychiczną. Moją wolność.~~

Wypełnili nasz świat bronią, z której do nas mierzyli, i z uśmiechem opróżniali magazynki prosto w naszą przyszłość. Zabijali tych, którzy mieli dość siły, żeby stawić opór, a świrów niebędących w stanie sprostać utopijnym oczekiwaniom zamykali. ~~Zamykali ludzi takich jak ja.~~

A oto dowód ich zepsucia.

Moją skórę oblewa zimny pot, ręce mi drżą z odrazy, nogi uginają się pode mną na widok ~~marnotrawstwa marnotrawstwa marnotrawstwa~~ egoistycznego marnotrawstwa w tym budynku. Wszędzie widzę czerwień. Okna zbryzgane są krwią ofiar, splamione są nią dywany, ociekają nią żyrandole.

- Julio...

Nie wytrzymuję.

Padam na kolana, od środka trawi mnie ból, który tyle razy przeżykałam, trzęsę się od długo powstrzymywanego szlochu, moja godność rozpuszcza się we łzach, męczarnie minionego tygodnia rozdzierają mi skórę na strzępy.

Nie mogę oddychać.

Nie mogę złapać tchu, zasłaniam usta koszulką, powstrzymując odruch wymiotny, słyszę głosy, widzę twarze, których nie rozpoznaję, wiązki wyrazów wypaczonych niezrozumieniem, myśli tak splątane, że nie wiem już nawet, czy jestem przytomna.

Może już rzeczywiście straciłam rozum.

Unoszę się w powietrzu jak worek pierza niesiony przez Adama, który przeciska się przez tłum żołnierzy chcących rzucić okiem na powstałe zamieszanie. Choć przez chwilę

chciałabym się nie przejmować tym, że nie powinnam tak bardzo pragnąć jego bliskości. Chcę zapomnieć, że powinnam go nienawidzić za jego zdradę, za to, że pracuje dla ludzi, którzy chcą zniszczyć resztkę człowieczeństwa pozostałą w naszym życiu. Zanurzam twarz w miękkim materiale jego koszuli, przyciskam policzek do jego piersi. Pachnie siłą i odwagą, podczas gdy świat tonie w deszczu. Chciałabym, żeby nigdy ~~nigdy nigdy nigdy~~ mnie nie puścił. Chciałabym móc dotknąć jego skóry, chciałabym, żeby między nami nie było przeszkód.

Rzeczywistość uderza mnie po twarzy.

Wstyd mąci mi w głowie, straszliwe upokorzenie przyćmiewa zdolność oceny sytuacji, czerwień zalewa mi twarz, krwawię rumieńcem przez skórę. Chwytam koszulę Adama.

- Możecie mnie zabić - mówię. - Macie broń... - Próbuję się wydostać z jego uścisku, ale on trzyma mnie coraz mocniej. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji, nie licząc zaciśniętych szczęk, zauważalnie napiętych ramion. - Możecie mnie po prostu zabić - błagam.

-Julio - jego głos brzmi pewnie, jakby stał po właściwej stronie granicy rozpacz. - Proszę.

Znowu tracę czucie. Jestem bezsilna. Topnieję od środka, życie uchodzi przez moje ręce i nogi.

Stoimy naprzeciwko drzwi z nierdzewnej stali.

Adam bierze kartę i przeciąga ją wzdłuż czarnej szyby przy klamce, a drzwi się rozsuwają. Wchodzimy do środka.

Znajdujemy się sami w nowym pomieszczeniu.

- Proszę, ~~nie puszczaj mnie~~ puść mnie - mówię.

Środek pokoju zajmuje królewskie łoże, podłogę ozdobił puszysty dywan, pod ścianą stoi okazała rzeźbiona szafa, pod sufitem skrzy się światło. Otaczające nas piękno jest tak

brudne, że nie mogę znieść tego widoku. Adam delikatnie układa mnie na miękkim materacu i cofa się o krok.

- Sądzę, że spędzisz tu jakiś czas. - To wszystko, co mówi. Zaciskam powieki. Nie chcę myśleć o czekających mnie nieuchronnie torturach.

- Proszę - mówię. - Zostaw mnie samą. Głębokie westchnienie.

- To raczej nie będzie możliwe.

- Co masz na myśli? - Odwracam się.

- Muszę cię obserwować, Julio. - Wymawia moje imię jak szept. ~~Moje seree moje seree moje seree~~. - Warner chce, żebyś doceniła to, co ci proponuje, ale wciąż jesteś uważana za... jednostkę potencjalnie niebezpieczną. Przydzielił mi zadanie do wykonania. Nie mogę odejść.

~~Nie wiem, czy powinnam być podekscytowana, czy przerażona.~~

- Jestem przerażona.

- Masz ze mną mieszkać?

- Mieszkam w barakach na przeciwległym końcu tego budynku. Z innymi żołnierzami. Ale tak. - Nie patrzy na mnie. - Mam się tu wprowadzić.

W żołądku czuję gryzący ból. Chciałabym go nienawidzić, osądzać, krzyczeć w nieskończoność, ale nie potrafię, ponieważ przed sobą mam tylko ośmioletniego chłopca, który nie pamięta, że był najzyczliwszą mi osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

Nie chcę wierzyć, że to się dzieje.

Zamykam oczy i zwijam się w kłębek. - Musisz się ubrać - mówi po chwili. Podnoszę gwałtownie głowę. Mrugam, nie rozumiejąc, co do mnie mówi.

- Jestem ubrana.

Znowu odchrząkuje, ale stara się zrobić to cicho.

- Jest tu łazienka. - Wskazuje na drzwi.

Słyszałam o ludziach, którzy mają sypialnie z łazienkami. Widocznie te łazienki są niezupełnie w sypialniach, ale dostatecznie blisko. Ześlizguję się z łóżka i idę we wskazanym kierunku. W chwili gdy otwieram drzwi, Adam znowu się odzywa.

- Możesz tu wziąć prysznic i przebrać się. Łazienka... to jedyne miejsce, gdzie nie ma kamer - dodaje, a jego głos staje się niewyraźny.

W moim pokoju są kamery. Oczywiście.

- Tam znajdziesz ubrania. - Robi ruch głową w kierunku rzeźbionej szafy. Nagle sprawia wrażenie zakłopotanego.

- Nie możesz wyjść? - pytam.

Pociera ręką czoło i siada na łóżku. Wzdycha.

- Musisz być zaraz gotowa. Warner oczekuje cię na kolacji.

- Na ko 1 a c j i? - Moje oczy są wielkie jak księżycy. Adam ma ponury wyraz twarzy.

-Tak.

- Nie zrobi mi krzywdy? - Wstydzę się ulgi w swoim głosie, własnej reakcji na nieoczekiwane rozładowanie napięcia, pozbycie się strachu, którego dotąd nawet sobie nie uświadamiałam. - Da mi kolację?

~~Umieram z głodu, mój żołądek to wyschnięta pustynia, jestem taka głodna taka głodna taka głodna.~~ Nie potrafię nawet przypomnieć sobie smaku prawdziwego jedzenia.

Twarz Adama znowu jest nieprzenikniona.

- Powinnaś się pospieszyć. Wszystko ci pokażę.

Nie mam nawet czasu zaprotestować, bo on już jest w łazience. Idę za nim. Drzwi wciąż są otwarte, on stoi tyłem do

mnie na środku niewielkiego pomieszczenia, a ja nie rozumiem dlaczego.

- Wiem, jak się korzysta z łazienki - mówię. ~~Mieszkałam kiedyś w zwykłym domu. Miałam kiedyś rodzinę.~~

Odwraca się bardzo, bardzo powoli, sprawiając, że wpadam w panikę. Kiedy wreszcie podnosi głowę, ma rozbiegany wzrok. Patrząc na mnie, mruży oczy i marszczy czoło. Jego prawa ręka zaciska się w pięść, lewą unosi, przysuwając palec do ust. Każe mi być cicho.

Czuję się tak, jakby pozbawiono mnie wszystkich narządów.

Wiedziałam, że jestem w niebezpieczeństwie, ale nie sądziłam, że to Adam może być zagrożeniem. Nie spodziewałam się, że to on może zrobić mi krzywdę, torturować mnie, sprawić, że bardziej niż kiedykolwiek przedtem będę pragnęła śmierci. Zdaję sobie sprawę, że płaczę, gdy dobiega mnie jęk, czuję ciche łzy płynące po mojej twarzy i ~~wstydzę się tak bardzo się wstydzę~~ tak bardzo się wstydzę swojej słabości, podczas gdy części mnie jest wszystko jedno. Kusi mnie, żeby błagać, prosić o litość, ukraść mu broń i zastrzelić się. Godność to jedyne, co mi zostało.

Jego szeroko otwarte oczy i usta świadczą o tym, że zrozumiał moją panikę.

- Nie, Boże, Julio, nie... - Przeklina pod nosem. Uderza się pięścią w czoło i się odwraca. Wzdychając ciężko, chodzi po niewielkim pomieszczeniu. Znowu przeklina.

Wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Całe 5 minut pod gorącą bieżącą wodą, 2 kostki mydła, obie pachnące lawendą, butelka szamponu przeznaczonego wyłącznie do moich włosów i dotyk miękkiego, pluszowego ręcznika, którym ośmielałam się owinać, sprawiają, że zaczynam rozumieć.

Chcę, żebym zapomniała.

Myślę, że moje wspomnienia, mój system wartości, moje priorytety - wszystko to można wymazać za pomocą kilku gorących posiłków i pokoju z oknem. Myślę, że tak łatwo mnie kupić.

Warner chyba nie rozumie, że dorastałam, nie mając nic, i że mi to nie przeszkadzało. Nie potrzebowałam ubrań, eleganckich butów ani niczego drogiego. Nie musiałam chodzić w jedwabiach. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, to wyciągnąć rękę i dotknąć drugiego człowieka, chciałam bliskości, nie tylko fizycznej, ale i uczuciowej. Widziałam świat, w którym nie ma współczucia, w którym ludzie wydają okrutne osądy i obrzucają innych pełnym urazy wzrokiem. To wszystko i tylko to widziałam wokół siebie.

Miałam tyle czasu na słuchanie. Patrzenie.

Na studiowanie ludzi, miejsc i możliwości. Wystarczyło otworzyć oczy. Albo książkę. Kartki książek krwawiły opisanymi na nich historiami. Przelanymi na papier wspomnieniami.

Spędzałam życie wsunięta między kartki książek.

Z braku bliskości z ludźmi budowałam więzi z papierowymi postaciami. Przeżyłam miłość i stratę z powieści historycznych, doświadczyłam dojrzewania przez analogię. Mój świat jest utkaną ze słów pajęczyną, splatającą kończyny, kości i ścięgna, myśli i obrazy. Jestem istotą złożoną z liter, postacią stworzoną przez zdania, wytworem wyobraźni, fikcją.

Chcę usunąć z mojego świata wszystkie znaki przestankowe, a na to nie mogę im pozwolić.

Wślizguję się z powrotem w swoje stare ubranie i idę na palcach do sypialni. Zastaję ją pustą. Adama nie ma, chociaż powiedział, że zostanie. Nie rozumiem go, nie rozumiem jego zachowania, nie rozumiem swojego rozczarowania. Chciałabym nie uwielbiać świeżości własnej skóry, tego, że po tak długim czasie czuję się dokładnie umyta. Nie rozumiem, dlaczego dotąd nie spojrzełam w lustro, dlaczego boję się tego, co zobaczę, dlaczego nie jestem pewna, czy rozpoznam twarz, która na mnie spojrzy.

Otwieram szafę.

Jest zapchana sukienkami, butami, bluzkami, spodniami i wszelkiego rodzaju ubraniami w kolorach tak jaskrawych, że bołą mnie od nich oczy, z materiałów, o których jedynie słyszałam, takich, że niemal boję się ich dotykać. Rozmiary są idealnie, zbyt idealnie dopasowane.

Czekają na mnie.

Czuję się tak, jakbym dostała cegłą w głowę.

Zaniedbano mnie, zostawiono, a potem wywleczono z domu i wyrzucono poza nawias. Poszturchiwano, trącano, badano, a na koniec zamknięto w celi. Studiowano. Głodzono. Kuszono przyjaźnią tylko po to, żeby mnie zdradzić i uwięzić w tym koszmarze, za który mam teraz być wdzięczna. Moi rodzice. Moi nauczyciele. Adam. Warner. Komitet Odnowy. Im wszystkim jestem zębna.

Myślą, że jestem lalką, którą mogą przebierać i ustawiać w służalczych pozach.

Ale się mylą.

- Warner na ciebie czeka.

Obracam się i opieram plecami o szafę, zatrzasnąjąc ją w ściskającym serce napadzie paniki. Na widok stojącego w drzwiach Adama uspokajam się i tłumię strach. Jego usta poruszają się przez chwilę, ale nic nie mówi. Wreszcie podchodzi bliżej, na tyle blisko, że znajduje się w zasięgu dotyku. Wyciąga rękę i z powrotem otwiera drzwi skrywające rzeczy, o których istnieniu wstydzę się wiedzieć.

- To wszystko jest dla ciebie. - Nie patrząc na mnie, dotyka palcami brzegu sukienki o intensywnym śliwkowym odcieniu, który wydaje się jadalny.

- Mam już ubranie. - Moje ręce rozprostowują wygnieciony, postrzępiony strój.

Kiedy wreszcie decyduje się na mnie spojrzeć, jego brwi się unoszą, powieki mrugają, a potem zastygają w bezruchu, jego usta rozchylają się w zdumieniu. Zastanawiam się, czy to dlatego, że zmyłam jakąś swoją starą twarz. Czerwienię się, mając nadzieję, że nie brzydzi go to, co teraz widzi. Nie wiem, dlaczego mnie to obchodzi.

Spuszcza wzrok. Bierze głęboki oddech.

- Będę czekał na zewnątrz.

~~Wpatruję się w śliwkową sukienkę z odciskami paków Adama~~ Studiuję wnętrza szafy tylko przez chwilę, potem je

porzucam. Przeczesuję mokre włosy palcami pełnymi niepokoju i przygotowuję się.

Nie jestem niczyją własnością.

I nie obchodzi mnie, jak Warner chce, żebym wyglądała.

Wychodzę, a Adam zerka na mnie przelotnie. Nic nie mówiąc, pociera ręką kark. Kręci głową. Zaczyna iść. Nie dotyka mnie. Nie powinnam tego zauważyć, ale zauważam. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, nie mam pojęcia, jakie będzie moje życie w tym nowym miejscu. Czuję klucie w żołądku na widok każdego zdobienia, każdego pełnego przepychu dodatku, zbytecznego obrazu, gzymsu, lampy, a nawet kolorystyki tego budynku. Chciałabym, żeby to wszystko spłonęło.

Idę za Adamem. Korytarz jest wyłożony dywanem. Zmierzamy w kierunku windy, prawie całej ze szkła. Otwiera ją tym samym kluczem, którego użył do otwarcia moich drzwi, i wchodzimy do środka. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że wjechaliśmy tak wysoko. Dociera do mnie, że musiałam zrobić okropną scenę, kiedy tu przybyliśmy, i czuję się niemal szczęśliwa.

Mam nadzieję, że rozczaruję Warnera na wszelkie możliwe sposoby.

Jadalnia jest tak duża, że można by tu żywić tysiąc sierot. Tymczasem wstawiono do niej 7 stołów bankietowych o blatach spływających jedwabnymi draperiami, ozdobionych kryształowymi wazonami pełnymi lilii i orchidei, misami gardenii. ~~To urocze~~. Zastanawiam się, skąd wzięli kwiaty. Nie mogą być prawdziwe. To niemożliwe. Od lat nie widziałam prawdziwych kwiatów.

Warner zajmuje centralne miejsce u szczytu stołu. Wstaje na ~~mój~~ widok Adama. W ślad za nim wstają wszyscy obecni.

Natychmiast zdaję sobie sprawę, że po obu stronach Warnera są puste miejsca, i mimo woli przystaję. Przesuwam wzrokiem po obecnych, ale nie dostrzegam żadnych innych kobiet.

Prawie wychodzę z siebie ze strachu, kiedy Adam muska dół moich pleców opuszkami 3 palców. Czym prędzej ruszam do przodu, a Warner uśmiecha się do mnie. Odsuwa krzesło po swojej lewej stronie i gestem wskazuje mi, żebym usiadła. Siadam.

Staram się nie patrzeć na Adama, który siada naprzeciwko mnie.

- W twojej szafie są ubrania, moja droga. - Warner siada obok mnie, pozostali również siadają i powraca jednostajny gwar. Warner odwraca się w moją stronę, a jednak w jakiś sposób do mojej świadomości dociera wyłącznie obecność osoby, która siedzi naprzeciwko. Koncentruję się na pustym talerzu 5 centymetrów od moich palców. Opuszczam ręce na kolana. - I nie musisz już nosić tych brudnych tenisówek - ciągnie Warner, zerkając ukradkiem pod stół, po czym napełnia moją szklankę czymś, co wygląda jak woda.

~~Tak bardzo chce mi się pić, mogłabym wypić cały wodospad.~~

Nienawidzę jego uśmiechu.

Nienawiść wygląda tak niepozornie, dopóki się nie uśmiechnie. Dopóki nie obróci się i nie skłamię, a jej usta i zęby nie nabiorą cech czegoś zbyt biernego, żeby zadać mu cios pięścią.

- Julio.

Zbyt szybko wciągam powietrze. W gardle puchnie mi dławiący kaszel.

Jego szkliste zielone oczy połyskują w moim kierunku.

- Nie jesteś głodna? - słowa maczane w cukrze.

Jego dłoń w rękawiczce dotyka mojej. Zabieram ją tak szybko, że omal nie skręcam nadgarstka.

~~Mogłabym pożreć każdego z obecnych.~~ - Nie, dziękuję.
Zlizuje uśmiech z dolnej wargi.

- Nie myl głupoty z odwagą, skarbie. Wiem, że nie jadłaś od kilku dni.

Coś we mnie pęka.

- Naprawdę wolałabym umrzeć, niż jeść twoje jedzenie i słuchać, jak mówisz do mnie skarbie - zaciskam szczęki.

Adam upuszcza widelec.

Warner zerka na niego, a kiedy znowu patrzy w moją stronę, jego oczy twardnieją. Wytrzymuje moje spojrzenie przez kilka nieskończenie długich sekund, po czym wyciąga broń z kieszeni marynarki. Strzela.

Wszyscy krzyczą, żeby przestał.

Moje serce zamienia się w parę skrzydeł trzepoczących w przetyku.

Bardzo, bardzo powoli odwracam głowę w stronę, w którą wycelowany jest pistolet Warnera, i widzę, że trafił prosto w kość wystającą zapewne z kawałka pieczeni. Półmisek z jedzeniem trochę dymi, potrawa piętrzy się niecałe 30 centymetrów od biesiadników. Strzelił, nawet nie patrząc. Mógł kogoś zabić.

Całą energię wkładam w zachowanie spokoju.

Warner upuszcza broń, która ze stukotem opada na mój talerz. W ciszy ten dźwięk rozlega się po całym wszechświecie.

- Dobieraj słowa rozważniej, Julio. Jeden mój gest, a twoje życie tutaj nie będzie takie łatwe.

Mrugam.

Adam popycha w moją stronę talerz z jedzeniem. Jego spojrzenie jest jak rozgrzany do białości pogrzebacz przyciśnięty do mojej skóry. Podnoszę wzrok, a on pochyla głowę o milimetr. Jego oczy mówią: proszę.

Podnoszę widelec.

Nic nie umyka uwagi Warnera. Odchrząkuje przesadnie głośno. Śmieje się wymuszonym śmiechem, krojąc mięso na swoim talerzu.

- Czy Adam musi robić za mnie całą robotę?

- Proszę?

- Wygląda na to, że słuchasz tylko jego - mówi radosnym tonem, ale jego zaciśnięte szczęki nie pozostawiają wątpliwości. Zwraca się do Adama. - Dlaczego nie powiedziałaś jej, żeby się przebrała, tak jak cię prosiłem?

Adam prostuje się.

- Powiedziałem, proszę pana.

- Lubię swoje ubranie - mówię. Chętnie rąbnęłabym cię pięścią w oko, tego nie mówię.

Uśmiech Warnera wślizguje się z powrotem na swoje miejsce.

- Nikt cię nie pytał, co lubisz, skarbie. A teraz jedz. Masz dobrze wyglądać, kiedy stoisz obok mnie.

Warner nalega, żeby mnie odprowadzić do mojego pokoju.

Po kolacji Adam zniknął z kilkoma innymi żołnierzami. Zniknął bez słowa i bez spojrzenia w moim kierunku. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Przynajmniej nie mam nic do stracenia poza swoim własnym życiem.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła - mówi Warner, kiedy idziemy w kierunku windy. - Będę twoim wrogiem, tylko jeżeli ty będziesz tego chciała.

- Zawsze będziemy wrogami. - Mój głos jest jak kruszący się lód. Słowa topnieją mi na języku. - Nigdy nie będę tym, czym chcesz, żebym była.

Warner wzdycha, wciskając guzik windy.

- Naprawdę myślę, że zmienisz zdanie - zerka na mnie z lekkim uśmiechem. Jaka szkoda, że taki oszałamiający wygląd marnuje się u tak nędznej ludzkiej istoty. - Ty i ja, Julio? Razem? Moglibyśmy być niepokonani.

Nie patrzę na niego, chociaż czuję, jak jego spojrzenie dotyka każdego centymetra mojego ciała.

- Nie, dziękuję.

Jesteśmy w windzie. Świat mija nas ze świstem, a szklane ściany sprawiają, że każdy, na każdym piętrze, może nas oglądać. W tym budynku nie ma tajemnic.

Dotyka mojego łokcia, a ja się odsuwam.

- Mogłabyś to jeszcze przemyśleć - mówi cicho.

- Skąd taki pomysł?

Winda otwiera się, dzwoniąc, ale ja się nie ruszam. Wreszcie ciekawość zwycięża i odwracam twarz w jego stronę. Obserwuję jego ręce, starannie okryte skórzanymi rękawiczkami, długie, grube, odprasowane rękawy. Nawet kołnierzyk ma wysoki i dostojny. Jego strój jest nienaganny od stóp do głów, zakrywa wszystkie części ciała poza twarzą. Nawet gdybym chciała go dotknąć, nie jestem pewna, czyby mi się to udało. Chroni się.

Przede mną.

- Chciałbym z tobą porozmawiać jutro wieczorem. - Unosząc brew, podsuwa mi ramię. Udaję, że tego nie zauważam. Wychodzimy z windy i idziemy korytarzem. - Może włożysz coś ładnego?

- Jak masz na imię? - pytam. Stoimy przed moimi drzwiami.

Przystaje. Zaskoczony. Prawie niezauważalnie unosi podbródek. Wpatruje się w moją twarz, aż zaczynam żałować pytania.

- Chcesz znać moje imię.

Moje oczy mimowolnie odrobinę się zwężają.

- Warner to twoje nazwisko, prawda? Prawie się uśmiecha.

- Chcesz znać moje imię.

- Nie sądziłam, że jest tajemnicą.

Robi krok naprzód. Jego usta drżą. Spuszcza wzrok, oddycha głęboko. Muska palcem w rękawiczce moją kość policzkową.

- Powiem ci, jeśli ty pozwolisz mi się poznać - szepcze zbyt blisko mojej szyi.

Cofam się. Przetykam ślinę.

- Znasz już moje imię. Nie patrzy mi w oczy.

- Słusznie. Powinienem ująć to inaczej. Chciałem powiedzieć, że powiem ci, jak mam na imię, jeśli ty pokażesz mi, kim jesteś.

- Co? - Oddycham za szybko, zbyt gwałtownie. Zaczyna ściągać rękawiczki, a ja wpadam w panikę.

- Pokaż mi, co potrafisz.

Zaciskam zęby tak mocno, że zaczynają mnie boleć.

- Nie dotknę cię.

- Nie szkodzi. - Zdejmuje drugą rękawiczkę. - Właściwie nie potrzebuję twojej pomocy.

- Nie...

- Nie martw się - śmieje się. - Jestem pewien, że tobie nie stanie się żadna krzywda.

- Nie - dyszę. - Nie, nie... nie mogę...

- Dobrze - odwarkuje Warner. - W porządku. Nie chcesz zrobić mi krzywdy. To mi szczerze pochlebia. - Prawie przewraca oczami. Patrzy na koniec korytarza. Dostrzega żołnierza. Przywołuje go skinieniem. - Jenkins!

Jenkins, jak na swoje rozmiary, porusza się szybko i w ciągu sekundy znajduje się obok mnie.

- Tak jest. - Skłania głowę o centymetr, chociaż widać, że jest starszy od Warnera.

Ma nie więcej niż **27** lat. Jest mocno zbudowany, masywny. Zerka na mnie ukradkiem. W jego brązowych oczach jest więcej ciepła, niż się spodziewałam.

- Chciałbym, żebyś towarzyszył panie Ferrars z powrotem na dół. Ale ostrzegam, jest okropnie niechętna do współpracy i będzie próbowała się wyrywać - jego usta powoli

rozciągają się w uśmiechu - Nieważne, co powie albo zrobi, nie wolno ci jej puścić, żołnierzu. Jasne?

Oczy Jenkinsa otwierają się szeroko. Mruga, rozszerzają mu się nozdrza, porusza palcami u rąk. Nabiera powietrza. Kiwa głową.

Jenkins nie jest idiotą.

Zaczynam biec.

Rzucam się korytarzem, mijając szereg zszokowanych żołnierzy, zbyt przerażonych, żeby próbowali mnie zatrzymać. Nie wiem, co robię ani dokąd zamierzam biec, dlaczego wydaje mi się, że mogę uciec. Biegnę ile sił w nogach do windy, bo sądzę, że w ten sposób mogę zyskać na czasie. Nie wiem, co jeszcze mi pozostaje.

Rozkazy Warnera odbijają się od ścian i eksplodują mi w uszach. Nie musi mnie gonić. Ma od tego ludzi.

Żołnierze formują szereg naprzeciwko mnie.

Obok mnie.

Za mną.

Nie mogę oddychać.

Kręcę się wokół własnej głupoty, w panice, obolała, skamieniała na myśl o tym, co wbrew własnej woli mogłabym zrobić Jenkinsowi. Co on mimo woli robi mnie. Co stanie się z nami obojgiem mimo najlepszych intencji.

- Brać ją - mówi Warner cicho.

Cisza wypełnia każdy zakątek budynku. Głos Warnera to jedyny dźwięk.

Jenkins robi krok do przodu.

Zaciskam oczy wzbierające łzami. Patrzę na tłum spod zmrużonych powiek i dostrzegam znajomą twarz. Adam wpatruje się we mnie przerażony.

Wstyd okrywa szczelnie moje ciało.

Jenkins wyciąga rękę.

Moje kości uginają się, trzeszcząc wraz z uderzeniami serca. Kruszę się, zwijam się na podłodze jak cienki naleśnik. Moje ramiona są tak straszliwie nagie w poszarpanym podkoszulku.

- Nie... - wyciągam niepewną rękę, błagając wzrokiem, patrząc w twarz tego niewinnego człowieka. - Proszę, nie... -głos mi się załamuje. - Nie chcesz mnie dotykać...

- Nie mówiłem, że chcę. - Głos Jenkinsa jest głęboki i opamnowany, pełen żalu. Jenkins, który nie ma rękawiczek, jest niezabezpieczony, pozbawiony jakiegokolwiek ochrony.

- To rozkaz, żołnierzu - warczy Warner, mierząc z pistoletu w jego plecy.

Jenkins chwyta moje ramiona.

NIE NIE NIE

Wydaję stłumiony krzyk.

Krew wzbiera w moich żyłach, pędzi przez moje ciało jak wzburzona rzeka, moje kości opływają fale gorąca. Patrzę na jego ból, czuję, jak z jego ciała uchodzi energia, słyszę w swoich uszach bicie jego serca, kręci mi się w głowie od adrenaliny, która wzmacnia moje istnienie.

Czuję, że żyję.

Chciałabym, żeby mnie to bolało. Chciałabym, żeby mnie to okaleczyło. Chciałabym, żeby to uderzało również we mnie. Chciałabym nienawidzić potężnej siły otaczającej mój szkielet.

Ale nie nienawidzę jej. Moja skóra pulsuje czymś życiem, a ja nie nienawidzę tego uczucia.

Nienawidzę siebie za to, że sprawia mi ono przyjemność.

Cieszę się wrażeniem, że mam w sobie więcej życia, nadziei i ludzkiej mocy, niż sądziłam, że to możliwe. Ból tego człowieka sprawia mi przyjemność, o którą nigdy nie prosiłam.

A on nie puszcza.

Nie puszcza, ponieważ nie może. Ponieważ tylko ja mogę zerwać to połączenie. Cierpienie go obezwładnia. Został złapany w moje sidła.

Jestem rosiczką.

I jestem śmiercionośna.

Przewracam się na plecy i kopię go w pierś, chcąc go odepchnąć, pozbyć się jego ciężaru, tego bezwładnego ciała, które na mnie runęło. Nagle zaczynam krzyczeć, próbuję coś dojrzeć przez zasłonę łez. Dostaję czkawki i ataku hysterii na widok zastygłego wyrazu twarzy tego człowieka, jego sparaliżowanych ust wciągających ze świstem powietrze do płuc.

Uwalniam się i zataczam do tyłu. Morze żołnierzy rozstępuje się za moimi plecami. Na każdej twarzy maluje się osłupienie i czyste, autentyczne przerażenie. Jenkins leży na podłodze i nikt nie ośmiela się do niego podejść.

- Niech mu ktoś pomoże! - krzyczę. - Niech mu ktoś pomoże! Trzeba wezwać lekarza, trzeba go zabrać, trzeba go... on... Boże... co ja zrobiłam...

- Julio...

- NIE DOTYKAJCIE MNIE... NIE WAŻCIE SIĘ MNIE DOTYKAĆ...

Rękawiczki Warnera wróciły na swoje miejsce. Próbuje mnie przytrzymać, przygłodzić mi włosy, otrzeć mi łzy, a ja chcę go zamordować.

- Julio, musisz się uspokoić...

- POMÓŻ MU! - krzyczę, padając na kolana, mój wzrok przywiera do postaci na podłodze. Pozostali żołnierze w końcu

podchodzą bliżej, ostrożni, jakby mogli się zarazić. -
Proszę... musicie mu pomóc! Proszę...

-Kent, Curtis, Soledad!... ZAJMIJCIE SIĘ TYM! -krzyczy
Warner do swoich ludzi, a potem podnosi mnie z podłogi.

Wciąż jeszcze kopię, kiedy wokół zapada ciemność.

Sufit na przemian traci i odzyskuje ostrość.

Mam ciężką głowę, zamglony wzrok, ściśnięte serce. Posmak paniki pod językiem. Usiłuję sobie przypomnieć, skąd się wziął. Próbuję usiąść, nie rozumiejąc, dlaczego leżałam.

Ktoś przytrzymuje mnie za ramiona.

- Jak się czujesz? - Warner przygląda mi się z góry. Nagle ożywają wspomnienia, twarz Jenkinsa unosi się na

powierzchni mojej świadomości. Zaczynam wymachiwać pięściami i krzyczeć do Warnera, żeby uciekał, usiłuję wydostać się z jego uchwytu, ale on tylko się uśmiecha. Śmieje się. Delikatnie przytrzymuje mi ręce wzdłuż tułowia.

- Cóż, przynajmniej się obudziłaś - wzdycha. - Przez chwilę się martwiłem.

Staram się odzyskać kontrolę nad swoimi drżącymi kończynami.

- Zabierz ręce. Macha palcami.

- Zabezpieczyłem się. Bez obaw.

-Nienawidzę cię.

- Ile pasji! - Znowu się śmieje. Wydaje się taki spokojny, tak szczerze rozbawiony. Patrzy na mnie łagodniej, niż mogłabym się spodziewać.

Odwracam się.

On wstaje. Bierze płytki oddech.

- Proszę - mówi, sięgając po tacę stojącą na niewielkim stoliku. - Przyniosłem ci jedzenie.

Korzystam z okazji, żeby usiąść i się rozejrzeć. Leżę na łóżku w adamaszkowym złocie i w burgundach o najciemniejszym odcieniu krwi. Podłogę przykrywa gruby, kosztowny dywan koloru zachodzącego letniego słońca. W pokoju jest ciepło. Jest tak samo duży jak ten, który ja zajmuję, podobnie umeblowany: łóżko, szafa, stoliki nocne, połyskujący u sufitu żyrandol. Jedyne różnice polega na tym, że w tym pokoju są dodatkowe drzwi, a na stoliku w rogu cicho pali się świeca. Nie pamiętam już, od ilu lat nie widziałam otwartego ognia. Powstrzymuję chęć wyciągnięcia ręki i dotknięcia płomienia.

Opieram się o poduszki i próbuję udawać, że nie jest mi wygodnie.

- Gdzie jestem?

Warner obraca się, trzymając talerz z chlebem i serem. W drugiej ręce ma szklankę wody. Rozgląda się po pokoju, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

- To moja sypialnia.

Gdyby moja głowa nie rozpadała się właśnie na kawałeczki, kusiłoby mnie, żeby stamtąd wybiec.

- Zabierz mnie do mojego pokoju. Nie chcę tu być.

- A jednak tu jesteś. - Siada w nogach łóżka, metr ode mnie. Przynosi mi talerz. - Napijesz się czegoś?

Nie wiem, czy to dlatego, że nie jestem w stanie jasno myśleć, a może sprawia to moja dezorientacja, ale usiłuję pogodzić

skrajne osobowości Warnera. Oto on, podający mi szklankę wody, po tym, jak zmusił mnie, żebym znęcała się nad drugim człowiekiem. Podnoszę ręce i przyglądam się swoim palcom, jakbym nigdy przedtem ich nie widziała.

- Nie rozumiem.

Przekrzywia głowę, przyglądając mi się badawczo, jakby myślał, że doznałam poważnych obrażeń.

- Zapytałem tylko, czy chce ci się pić. To nie powinno być trudne do zrozumienia. - Cisza. - Wypij to.

Biorę szklankę. Patrzę na niego. Patrzę na ściany. Muszę być szalona. Warner wzdycha.

- Nie jestem pewien, ale chyba zemdliałaś. I myślę, że powinnaś coś zjeść, chociaż tego też do końca nie jestem pewien.

- Milknie. - Prawdopodobnie miałaś zbyt wiele wrażeń jak na pierwszy dzień tutaj. Mój błąd.

- Dlaczego jesteś dla mnie miły?

Zdziwienie na jego twarzy zaskakuje mnie jeszcze bardziej.

- Bo mi na tobie zależy - mówi po prostu.

- Zależy ci na mnie? - Odrętwienie mojego ciała zaczyna mijać. Podnosi mi się ciśnienie krwi, a na pierwszy plan mojej świadomości wysuwa się gniew. - Przez ciebie prawie zabiłam Jenkinsa!

- Nie zabiłaś...

- Twoi żołnierze mnie biją! Trzymasz mnie tu jak więźnia! Grozisz mi! Grozisz, że mnie zabijesz! Nie mam ani odrobiny wolności, a ty mówisz, że ci na mnie z a l e ż y? - O mało nie chlustam mu w twarz wodą ze szklanki. - Jesteś jakimś monstrum!

Warner odwraca się ode mnie, więc widzę teraz jego profil. Klaszcze w dłonie. Przestaje. Przytyka rękę do ust.

- Próbuję ci tylko pomóc.

- Kłamca.

Wygląda tak, jakby się nad tym zastanawiał. Kiwa głową, tylko raz.

- Tak. Najczęściej tak.

- Nie chcę tu być. Nie chcę być twoim królikiem doświadczalnym. Wypuść mnie.

- Nie. - Wstaje. - Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę. Po prostu... - Prostuje palce. Odchrząkuje. Jego wzrok przez chwilę dotyka sufitu. - Jesteś mi potrzebna.

- Potrzebujesz mnie do zabijania ludzi!

Nie odpowiada od razu. Podchodzi do świecy. Zdejmuje rękawicę. Bawi się płomieniem.

- Widzisz, z zabijaniem ludzi radzę sobie nieźle bez twojej pomocy. Właściwie jestem w tym bardzo dobry.

- To obrzydliwe. Wzrusza ramionami.

- Jak inaczej, według ciebie, ktoś w moim wieku mógłby utrzymać kontrolę nad taką liczbą żołnierzy? Dlaczego mój ojciec miałby mi przekazać władzę nad całym sektorem?

- Twój ojciec? - Siadam, nagle mimo woli zaciekawiona. Ignoruje moje pytanie.

- Mechanizm strachu jest prosty. Ludzie zastraszeni słuchają, kiedy do nich mówię. - Macha ręką. - Puste groźby są w dzisiejszych czasach bardzo mało warte.

Zaciskam oczy.

- Więc zabijasz ludzi dla władzy.

- Tak jak ty.

- Jak ś m i e s z... Śmieje się głośno.

- Możesz się okłamywać, jeśli dzięki temu czujesz się lepiej.

- Nie okłamuję...

- Dlaczego tak długo trzymałaś Jenkinsa? Moje usta nieruchomieją.

- Dlaczego nie odepchnęłaś go od razu? Dlaczego pozwoliłaś, żeby tak długo cię dotykał?

Ręce zaczynają mi drżeć, więc mocno je trzymam.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Za to ty twierdzisz, że tak dobrze mnie znasz. Zaciskam zęby, nie ufając sobie na tyle, żeby się odezwać.

- Przynajmniej jestem szczery - dodaje.

- Dopiero co przyznałeś, że jesteś kłamcą! Unosi brwi.

- Przynajmniej jestem szczery co do tego, że jestem kłamcą. Odstawiam z rozmachem szklankę na nocny stolik.

Chowam twarz w dłoniach. Próbuję zachować spokój. Oddycham głęboko.

- W takim razie - chrypię - do czego mnie potrzebujesz? Skoro jesteś takim doskonałym mordercą?

Uśmiech przemyka mu po twarzy i gaśnie.

- Pewnego dnia poznasz odpowiedź na to pytanie. Próbuję protestować, ale on powstrzymuje mnie ruchem ręki. Bierze z talerza kawałek chleba. Trzyma go tuż przed moim nosem.

- Prawie nie zjadłaś kolacji. To nie może być dobre dla zdrowia.

Nie ruszam się.

Upuszcza chleb na talerz, a talerz obok szklanki z wodą. Odwraca się do mnie. Tak uważnie patrzy mi w oczy, że czuję się jak zahipnotyzowana. Tyle rzeczy chciałabym powiedzieć i wykrzyczeć, ale jakoś zapominam słów czekających cierpliwie w moich ustach. Nie mogę się zmusić, żeby odwrócić wzrok.

- Zjedz coś. - Jego oczy mnie porzucają. - I wyśpij się. Wróć po ciebie rano.

- Dlaczego nie mogę spać w swoim pokoju? Wstaje. Otrzepuje spodnie, właściwie niepotrzebnie.

- Bo chcę, żebyś została tutaj.
- Ale dlaczego? Śmieje się szczekliwie.
- Tyle pytań.
- Cóż, wystarczyłoby udzielić prostej odpowiedzi...
- Dobranoc, Julio.
- Zamierzasz mnie wypuścić? - pytam, tym razem cicho, tym razem nieśmiało.
- Nie. - 6 kroków w kierunku rogu ze świecą. - Nie obiecuję też, że będę ułatwiał ci życie. - W jego głosie nie słychać żalu, skruchy ani sympatii. Równie dobrze mógłby rozmawiać o pogodzie.
- Być może kłamiesz.
- Tak, być może - kiwa głową, jak gdyby do siebie.
Zdmuchuje świecę.
I znika.
Próbuję walczyć. Próbuję nie spać.
Próbuję odnaleźć własną głowę, ale nie mogę.
Zasypiam wyczerpana.

Dlaczego po prostu się nie zabijesz?, zapytał mnie kiedyś ktoś w szkole.

Myślę, że było to pytanie w rodzaju tych, które w zamierzeniu mają być okrutne, ale wtedy po raz pierwszy rozważałam tę możliwość. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Może szaleństwem było się nad tym zastanawiać, ale zawsze miałam nadzieję, że jeśli będę wystarczająco grzeczna, jeśli wszystko zrobię jak należy, jeśli powiem właściwe rzeczy albo w ogóle nic nie powiem, to moi rodzice jednak zmienią zdanie. Myślałam, że wreszcie będą mnie słuchali, kiedy spróbuję z nimi porozmawiać. Myślałam, że dadzą mi szansę. Myślałam, że może wreszcie mnie pokochają.

Zawsze miałam tę głupią- nadzieję.

- Dzień dobry.

Moje oczy otwierają się gwałtownie. Nigdy nie zapadam w głęboki sen.

Warner przygląda mi się, siedząc na brzegu swojego własnego łóżka w odprasowanym garniturze i wypolerowanych butach. Wszystko w nim jest takie idealne. Nieskazitelne. Jego oddech jest chłodny i świeży w rześkim porannym powietrzu. Czuję go na twarzy.

Dopiero teraz dociera do mnie, że prawdopodobnie leżę w tej samej pościeli, w której spał Warner. Na mojej twarzy nagle wybucha pożar, próbuję wyplątać się z kołdry. Prawie spadam z łóżka.

Ignoruję go.

- Dobrze spałeś? - pyta.

Podnoszę wzrok. Jego oczy mają taki dziwny odcień zieleni: jasny, kryształowo czysty, przesywający w najbardziej niepokojący sposób. Ma gęste włosy koloru wysokiej próby złota. Szczupłą i niepozorną budowę ciała, ale jego uścisk jest silny, choć nie wygląda, jakby kosztował go wiele wysiłku. Po raz pierwszy zauważam, że na małym palcu lewej ręki nosi sygnet z nefrytem.

Zauważa, że na niego patrzę, i wstaje. Splata dłonie za plecami.

- Pora, żebyś wracała do swojego pokoju.

Mrugam. Kiwam głową. Wstaję i o mało się nie przewracam. Łapię za brzeg łóżka i próbuję opanować zawroty głowy. Słyszę, jak Warner wzdycha.

- Nie zjadłeś kolacji, którą ci zostawiłem.

Drżącymi rękami chwytam szklankę z wodą i zmuszam się do zjedzenia kawałka chleba. Moje ciało tak się przyzwyczało do uczucia głodu, że nie umiem go już rozpoznawać.

Kiedy udaje mi się odzyskać równowagę, Warner wyprowadza mnie z pokoju. W ręce nadal ściskam kawałek sera.

Po wyjściu na zewnątrz omal go nie upuszczam.

Jest tu jeszcze więcej żołnierzy niż na moim piętrze. Każdy z nich wyposażony w przynajmniej 4 różne rodzaje broni,

karabiny przewieszane przez ramię, pistolety przypięte do pasa. Wszyscy na mój widok okazują przerażenie. Pojawia się przelotnie na ich twarzach, właściwie można by je przeoczyć. A jednak jest oczywiste. Kiedy ich mijam, wszyscy ściskają mocniej broń.

Warner wydaje się zadowolony.

- Ich strach będzie działał na twoją korzyść - szepcze mi do ucha.

Szczałki mojego rozbitego w drobny mak człowieczeństwa spadają na dywan.

- Nigdy nie chciałam, żeby się mnie bali.

- Powinnaś. - Przystaje. Jego wzrok nazywa mnie idiotką. - Jeśli nie będą się ciebie bali, będą na ciebie polowali.

- Ludzie ciągle polują na to, czego się boją.

- Teraz przynajmniej wiedzą, na co się porywają. - Idzie dalej korytarzem, ale moje stopy są jak przyszyte do podłogi.

Zrozumienie przypomina krople lodowatej wody spływające po moich plecach.

- Sprawiliś, że zrobiłam to, co zrobiłam, Jenkinsowi... celowo?

Warner jest już 3 kroki przede mną, ale widzę uśmiech na jego twarzy.

- Wszystko, co robię, robię celowo.

- Chciałeś zrobić ze mnie widowisko. - Serce wali mi w nadgarstku, pulsuje w palcach rąk.

- Próbowałem cię chronić.

- Przed swoimi własnymi żołnierzami? - Biegnę, żeby go dogonić, płonąć z oburzenia. - Kosztem ludzkiego życia...

- Wsiadaj. - Warner stoi przy windzie, trzymając dla mnie otwarte drzwi.

Wchodzę za nim do środka. Naciska właściwe guziki. Drzwi się zamykają.

Odwracam się do niego. Przypiera mnie do ściany.

Stoję na końcu tego szklanego pudełka i nagle zaczynam się denerwować. Jego ręce trzymają mnie za ramiona, usta są niebezpiecznie blisko mojej twarzy. Nasze spojrzenia się krzyżują, jego oczy błyskają niebezpiecznie. Wymawia jedno słowo:

-Tak.

Potrzebuję chwili, żeby odnaleźć własny głos.

- Co: tak?

- Tak, przed moimi własnymi żołnierzami. Tak, kosztem życia jednego człowieka. - Zaciska szczęki. Cedzi przez zęby: - Bardzo niewiele rozumiesz z mojego świata, Julio.

- Próbuję zrozumieć...

- Nie próbujesz - odwarkuje. Jego rzęsy są jak płonące pojedyncze złote nici. Prawie chciałabym ich dotknąć. - Nie rozumiesz, że władza i kontrola mogą w każdej chwili wyśliznąć ci się z rąk, nawet wtedy, kiedy myślisz, że w pełni panujesz nad sytuacją. Te dwie rzeczy niełatwo jest zdobyć. Ale jeszcze trudniej jest je utrzymać.

Próbuję się odezwać, ale nie dopuszcza mnie do słowa.

- Myślisz, że nie wiem, ilu z moich własnych żołnierzy mnie nienawidzi? Myślisz, że nie wiem, że chcieliby zobaczyć mój upadek? Myślisz, że nie ma takich, którzy z radością zajęliby moje miejsce, pozycję, na którą tak ciężko pracowałem...

- Nie pochlebiaj sobie...

Zbliża się o ostatnie dzielące nas centymetry. Moje słowa spadają na podłogę. Nie mogę oddychać. Warner jest tak spięty, że jego napięcie wydaje się namacalne. Mam wrażenie, że moje własne mięśnie powoli zastygają.

- Jesteś naiwna. - Jego niski, chrapliwy szept ociera się o moją skórę. - Nie zdajesz sobie sprawy, że dla każdego w tym

budynku jesteś zagrożeniem. Mają wystarczające powody, żeby zrobić ci krzywdę. Nie widzisz, że próbuję ci pomóc...

- Sprawiając mi ból!? - wybucham. - Zadając ból innym!? Jego śmiech jest zimny, wymuszony. Odsuwa się ode mnie nagle pełen obrzydzenia. Drzwi windy się rozsuwają, ale on nie wysiada. Widzę stąd drzwi do mojego pokoju.

- Wracaj do siebie. Umyj się. Przebierz. W szafie masz sukienki.

- Nie podobają mi się sukienki.

- Nie sądzę, żeby ci się spodobało to, co tam zobaczysz. -Wskazuje coś głową.

Podążam za jego spojrzeniem i widzę ciężki cień naprzeciwko moich drzwi. Odwracam się do niego, czekając na wyjaśnienie, ale on nic nie mówi. Niespodziewanie jest już opanowany, twarz ma wytartą z emocji. Bierze mnie za rękę, ściska moje palce i mówi:

- Wrócę po ciebie dokładnie za godzinę. - Zamyka drzwi windy, zanim udaje mi się zaprotestować. Zaczynam się zastanawiać, czy to zbieg okoliczności, że osoba, która najmniej boi się mnie dotknąć, sama jest potworem.

Robię krok naprzód i przyglądam się bliżej stojącemu w ciemności żołnierzowi. Adam. Och, Adam.

Adam, który już dokładnie wie, do czego jestem zdolna.

Moje serce pęcznieje jak napełniony wodą balon i pęka mi w piersi. Płuca drżą przy każdym oddechu. Czuję się tak, jakby wszystkie pięści świata uderzały mnie w brzuch. Nie powinnam się tym tak przejmować, ale się przejmuję.

Teraz już zawsze będzie mnie nienawidził. Nawet na mnie nie spojrzy.

Czekam, aż otworzy drzwi do mojego pokoju, ale on się nie rusza.

- Adam - odzywam się niepewnie. - Potrzebna mi jest twoja karta.

Z trudem przelęka ślinę i bierze płytki wdech. Natychmiast wyczuwam, że coś jest nie tak. Podchodzę bliżej, ale gwałtowny, sztywny ruch jego głowy każe mi się zatrzymać. ~~Nie dotykam ludzi nie podchodzę do ludzi blisko jestem potworem.~~ On nie chce, żebyśmy była w pobliżu. Oczywiście, że nie chce. Nie powinnam zapominać, gdzie jest moje miejsce.

Otwiera drzwi z wielkim trudem i zdają sobie sprawę, że jest ranny, ale nie widzę gdzie. Powracają do mnie słowa Warnera i rozpoznaję w jego nonszalanckim pożegnaniu ostrzeżenie. Ostrzeżenie, którym przecina wszystkie zakończenia nerwowe w moim ciele.

Adam będzie karany za moje błędy. Za moje nieposłuszeństwo.

Mogłabym napełnić łzami wiadro żalu.

Wchodzę do pokoju, jeszcze jeden raz patrząc na Adama. Nie potrafię odczuwać żadnej satysfakcji z powodu jego bólu. Mimo tego, czym zawinił, nie wiem, czy jestem zdolna go nienawidzić. Nie Adama. Nie tego chłopca, którego kiedyś znałam.

- Purpurowa sukienka - mówi, a jego głos się załamuje i jest trochę chropawy, jakby oddychanie sprawiało mu ból. Załamuję ręce, aby powstrzymać się od rzucenia się w jego kierunku. - Włóż purpurową sukienkę - kaszle. - Julio.

Będę wzorowym manekinem.

Gdy tylko znajduję się w pokoju, otwieram szafę i zrywam z wieszaka purpurową sukienkę. Wtedy przypominam sobie, że jestem obserwowana. Kamery. Zastanawiam się, czy Adam został ukarany również za to, że powiedział mi o kamerach. Zastanawiam się, czy z mojego powodu podjął jeszcze jakieś ryzyko. Zastanawiam się, dlaczego miałby to robić.

Dotykam sztywnego śliwkowego materiału, śladem palców Adama przesuwam swoje ku brzegowi sukienki.

Nie jestem lalką.

Moja ręka spoczywa na małej drewnianej półce pod wiszącymi ubraniami, dotykając jakiejś nieznannej faktury. Szorstkiej i obcej, a jednocześnie znajomej. Przysuwam się do szafy i ukrywam między skrzydłami jej drzwi. Moje palce ślizgają się po powierzchni jakiegoś przedmiotu. Czuję, że zalewa mnie blask słonecznego światła. Wreszcie jestem pewna, rozsadza mnie nadzieja i siła głupiego szczęścia, tak wszechogarniającego, że dziwi mnie nieobecność łez na mojej twarzy.

Mój notatnik.

Uratował mój notatnik. ~~Adam uratował jedyną izecz, którą posiadam.~~

Chwytam purpurową sukienkę, owijając bloczek papieru w jej fałdy, a potem wykradam się do łazienki.

~~Łazienki, w której nie ma kamer.~~

~~Łazienki, w której nie ma kamer.~~

~~Łazienki, w której nie ma kamer.~~

Dociera do mnie, że próbował mi powiedzieć. Wtedy, w łazience. Próbował mi coś powiedzieć, ale ja byłam tak przerażona, że zrezygnował.

Wystraszyłam go.

Zamykam za sobą drzwi. Ręce mi się trzęsą, gdy rozwijam znajome kartki sklezione starym klejem. Przewracam strony, aby się upewnić, że są wszystkie, i mój wzrok spoczywa na ostatnich zapiskach. Na samym dole jest coś nowego. Zdanie dopisane cudzym charakterem pisma.

Nowe zdanie, które musiał dodać Adam.

„To nie jest tak, jak myślisz”.

Nieruchomieję.

Każdy centymetr mojej skóry napręża się od wzbierających emocji. W piersi czuję ucisk i coraz głośniejszy, coraz szybszy i silniejszy stukot, który nie pasuje do mojego bezruchu. Nie drzę, zastygła w czasie. Staram się uspokoić oddech, liczę przedmioty, które nie istnieją, wymyślam liczby, których nie ma, udaję, że czas jest pękniętą klepsydrą krwawiącą sekundami piasku. Ośmielam się wierzyć.

Ośmielam się mieć nadzieję, że Adam wyciąga do mnie rękę. Jestem dostatecznie szalona, żeby brać pod uwagę taką możliwość.

Wydieram kartkę z notatnika i ściskam ją, przełykając histerię, która czyha, żeby odebrać mi rozum w chwili słabości.

Chowam notatnik do kieszeni purpurowej sukienki. Do kieszeni, do której musiał wsunąć go Adam. Do kieszeni, z której musiał wypaść. ~~Do kieszeni purpurowej sukienki. Do kieszeni purpurowej sukienki.~~

Nadzieja jest kieszenią pełną możliwości.

Trzymam je w dłoni.

Warner się nie spóźnia. Ani nie puka.

Wsuwam buty, kiedy on wchodzi bez słowa, nie starając się nawet zaznaczyć swojej obecności. Jego oczy prześlizgują się po mojej sylwetce. Szczęki same mi się zaciskają.

- On jest ranny - słyszę swój głos.

- Nie powinno cię to obchodzić - mówi, kiwa głową i patrzy na moją sukienkę. - Ale to oczywiste, że cię obchodzi.

Sznuruję usta i modlę się, żeby zbytnio nie drżały mi ręce. Nie wiem, gdzie jest Adam. Nie wiem, jak ciężko jest ranny. Nie wiem, co robi Warner, jak daleko się posunie w pogoni za tym, czego chce, ale perspektywa, że Adam będzie cierpiał, jest jak zimna dłoń, która zaciska się na moim przełyku. Nie mogę złapać tchu. Czuję się tak, jakbym próbowała połknąć wykałaczkę. Jeżeli Adam rzeczywiście stara się mi pomóc, to może go to kosztować życie.

Dotykam wsuniętego do kieszeni pliku kartek.

Oddychaj.

Oczy Warnera wpatrują się w moje okno. Oddychaj.

- Pora iść - mówi. Oddychaj.

- Dokąd idziemy? Nie odpowiada.

Wychodzimy. Rozglądam się. Korytarz jest opuszczony, pusty.

- Co się stało z ~~Adame~~ żołnierzami...?

- Bardzo mi się podoba ta sukienka - mówi Warner, obejmując mnie w talii. Odskakuję, ale on przyciąga mnie do siebie i prowadzi w stronę windy. - Fantastycznie leży. Odwraca moją uwagę od wszystkich twoich pytań.

- Twoja biedna matka.

Warner omal nie przewraca się o własne stopy. Jego oczy są szeroko otwarte, pełne niepokoju. Zatrzymuje się kilka metrów od celu. Odwraca się.

- Co masz na myśli? Żołądek mi się wywraca.

Na jego twarzy maluje się niekontrolowane napięcie, nagła niepewność, przyprawiające o dreszcz przerażenia.

To miał być żart, ale tego mu nie mówię. Jest mi żal twojej biednej matki, to chciałam powiedzieć, że ma tak nędznego, żalostnego syna. Nie mówię ani jednego, ani drugiego.

Chwyta mnie za rękę, patrzy mi w oczy. W jego skroniach pulsuje zniecierpliwienie.

- O co ci chodzi? - naciska.

- O n-nic - wyjąkuję. Głos mi się łamie na pół. - Ja nie... To taki żart...

Warner puszcza moje ręce, jakby go parzyły. Odwraca wzrok. Rzuca się w stronę windy, nie czekając, aż go dogonię.

Dopiero kilka pięter niżej, kiedy idziemy nieznanym korytarzem w kierunku nieznanego wyjścia, w końcu na mnie patrzy. Zaszczycą mnie 4 słowami.

- Witaj w swojej przyszłości.

Płynę w blasku słońca.

Warner przytrzymuje otwarte drzwi, które prowadzą bezpośrednio na zewnątrz, a ja jestem tak nieprzygotowana na to doświadczenie, że prawie nic nie widzę. Chwyta mnie za łokieć, pomagając mi iść, a ja zerkam na niego.

- Wychodzimy - mówię to, ponieważ muszę powiedzieć to głośno. Ponieważ świat na zewnątrz jest rarytasem, którym tak rzadko mogę się cieszyć. Ponieważ nie mogę się zorientować, czy Warner znowu próbuje być miły. Patrzę to na niego, to na coś, co wygląda jak betonowe podwórze, a potem znów na niego. - Co robimy na zewnątrz?

- Są sprawy, którymi musimy się zająć. - Ciągnie mnie na środek tego nowego wszechświata, a ja się wyrywam, wyciągam rękę, żeby dotknąć nieba, jakbym miała nadzieję, że ono wciąż mnie pamięta.

Chmury są szare, jak zawsze, ale nieliczne i niepozorne. Słońce jest wysoko ~~wysoko~~ ~~wysoko~~, wyleguje się na tle nieba podpierającego jego promienie i posyła swoje ciepło w naszym kierunku. Staję na palcach i próbuję go dotknąć. Wiatr

wtula się w moje ramiona, czuję na skórze jego uśmiech. Chłodne, jedwabiste gładkie powietrze wplata mi we włosy delikatną bryzę. Dla mnie to kwadratowe podwórze jest jak sala balowa.

Chcę tańczyć z żywiołami.

Warner bierze mnie za rękę. Odwracam się.

Uśmiecha się.

- To - mówi, wskazując zimny szary świat pod naszymi stopami - to cię uszczęśliwia?

Rozglądam się. Znajdujemy się między dwoma budynkami. Zdaję sobie sprawę, że podwórze jest czymś w rodzaju dachu. Podchodzę do jego krawędzi i patrzę na kilometry martwej ziemi, nagie drzewa i porozrzucane bloki mieszkalne.

- Zimne powietrze pachnie tak czysto - mówię. - Świeżo. Jest całkiem nowe. To najcudowniejszy zapach na świecie.

W jego oczach dostrzegam rozbawienie, niepokój, zainteresowanie i dezorientację jednocześnie. Kręci głową. Klepie się po marynarce i sięga do wewnętrznej kieszeni. Wyciąga pistolet ze złotą rękojeścią, która połyskuje w słońcu.

Gwałtownie wciągam powietrze.

Sprawdza broń w sobie tylko wiadomym celu, być może po to, by się przekonać, czy jest gotowa do strzału. Trzymając w dłoni, palec układa na spuście. Odwraca się i wreszcie widzi wyraz mojej twarzy.

Prawie się śmieje.

- Nie martw się. Nie zastrzelę cię.

- Po co ci pistolet? - Z trudem przełykam ślinę, otulając się ramionami. - Co tutaj robimy?

Warner wsuwa broń z powrotem do kieszeni i idzie w stronę przeciwnej krawędzi dachu. Pokazuje mi, żebym szła za nim. Powoli podchodzę bliżej. Podążam za jego wzrokiem. Spoglądam ponad barierką.

Niecałe 5 metrów niżej stoją wszyscy żołnierze z budynku.

Udaje mi się naliczyć prawie 50 szeregów, każdy idealnie równy, w identycznej odległości od sąsiednich, a w każdym tyłu żołnierzy, że tracę rachubę. ~~Zastanawiam się, czy w tym tłumie jest Adam. Zastanawiam się, czy mnie widzi.~~

~~Zastanawiam się, co o mnie teraz myśli.~~

Żołnierze zajmują kwadratowy plac prawie identyczny jak ten, na którym stoimy Warner i ja, tylko że oni tworzą jednolite morze czerni: czarne spodnie, czarne koszule, czarne wysokie buty, jak okiem sięgnąć żadnego karabinu. Wszyscy stoją z lewą pięścią przyciśniętą do serca. Zastygli w bezruchu.

Czerń i szarość

i

czerń i szarość i

czerń i szarość i

czujność.

Nagle zaczynam czuć, jak niepraktyczny jest mój strój. Wiatr niespodziewanie okazuje się zbyt okrutny, za zimny, sprawia mi ból. Jednak moje drzenie nie ma nic wspólnego ze zmianą temperatury. Rozglądam się za Warnerem, który stanął na krawędzi dziedzińca, od razu widać, że robił to już wielokrotnie. Wyjmuje z kieszeni mały kwadrat perforowanego metalu i przyciska go do ust - kiedy przemawia, jego wzmocniony głos niesie się ponad tłumem.

- Sektor 45.

Jedno słowo. I jedna liczba.

Cała grupa się porusza: lewa pięść rozluźniona, opuszczona do boku, prawa pięść wędruje na piersi. Są jak naoliwiona maszyna, idealnie z sobą współpracują. Gdybym się tak nie bała, pewnie byłabym pod wrażeniem.

- Mamy dziś do załatwienia dwie sprawy - głos Warnera penetruje atmosferę: ostry, czysty, nieznośnie pewny siebie.
-Pierwsza stoi u mojego boku.

Tysiące oczu podnosi się w moim kierunku. Omal nie podskakuję.

- Julio, podejdź tu, proszę. - 2 palce zgięte w 2 miejscach przywołują mnie do przodu.

Powolutku podchodzę do krawędzi.

Warner otacza mnie ramieniem. Wzdrygam się. Tłum się porusza. Moje serce wymyka się spod kontroli. Jestem zbyt przerażona, żeby się od niego odsunąć. Jego broń jest zbyt blisko mojego ciała.

Żołnierze wydają się zaszokowani, że Warner nie boi się mnie dotknąć.

- Jenkins, wystąp, proszę.

Przebiegam palcami maraton po swoim udzie. Nie mogę stać spokojnie. Nie mogę uspokoić palpacji, które szarpia mi nerwy. Jenkins występuje z rzędu, dostrzegam go natychmiast.

Nic mu nie jest.

Dobry Boże.

Nic mu nie jest.

- Jenkins miał przyjemność poznać Julię wczorajszego wieczoru - ciągnie. Napięcie wśród ludzi jest prawie namacalne. Wydaje się, że nikt nie wie, do czego zmierza Warner. I wygląda na to, że nie ma nikogo, kto nie słyszałby o Jenkinsie. O mnie. - Mam nadzieję, że wszyscy powitacie ją równie uprzejmie - dodaje Warner, a jego usta śmieją się bezgłośnie. - Spędzi z nami jakiś czas i będzie dla nas wielkim wsparciem. Komitet Odnowy wita ją. Ja ją witam. Wy powinniście ją powitać.

Żołnierze jednocześnie opuszczają pięści, wszyscy dokładnie w tym samym momencie.

Poruszają się jak jeden - **5** kroków w tył, **5** kroków w przód, **5** kroków w miejscu. Podnoszą lewą rękę w górę, zaciskają ją w pięść.

I wszyscy przyklękają na jedno kolano.

Podbiegam do krawędzi, chcąc koniecznie zobaczyć ten dziwny układ choreograficzny. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Warner nie odzywa się przez jakieś **30** sekund, podczas których oni pozostają zgięci, z pięściami w powietrzu. A potem mówi:

- Dobrze.

Żołnierze podnoszą się i z powrotem umieszczają pięści na piersiach.

- Druga sprawa jest jeszcze przyjemniejsza od pierwszej -ciągnie Warner, choć można odnieść wrażenie, że mówienie o tym nie sprawia mu przyjemności. Jego wzrok skierowany na żołnierzy wyostcza się. Odłamki szmaragdu skaczą po ich postaciach jak zielone płomienie. - Delalieu ma dla nas raport.

Całą wieczność po prostu patrzy na żołnierzy, pozwalając, aby kilka jego słów zamarynowało ich umysły. Czekaając, aż ich własna wyobraźnia doprowadzi ich do szaleństwa. Pozwalając, by ci spośród nich, którzy mają coś na sumieniu, drżeli z niepokoju.

Warner nie odzywa się przez długi czas.

Przez długi czas nikt się nie rusza.

Pomimo jego wcześniejszych zapewnień zaczynam się bać o swoje życie. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem sama nie jestem winowajczynią. Czy pistolet w jego kieszeni nie jest wycelowany we mnie. Wreszcie ośmielam się odwrócić w jego stronę. Zerka na mnie pierwszy raz, a ja nie mam pojęcia, jak to rozumieć.

Jego twarz wyraża **10** 000 możliwości, a każda z nich przewierca mnie na wylot.

- Delalieu - mówi, wciąż patrząc na mnie. - Możesz wystąpić.

Szczupły, łysiejący mężczyzna w nieco bardziej udekorowanym mundurze występuje z piątego szeregu. Wygląda tak, jakby bardzo się starał nad sobą panować. Pochylił głowę o kilka centymetrów. Mówi piskliwym głosem.

- Tak jest.

Warner wreszcie uwalnia mój wzrok i prawie niezauważalnie kiwa głową w kierunku łysiejącego mężczyzny. Delalieu recytuje:

- Mamy zarzut przeciwko szeregowemu **45B-76423**. Fletcher, Seamus.

Wszyscy żołnierze stoją zastygli, zastygli w poczuciu ulgi, zastygli ze strachu, z niepokoju. Nic się nie porusza. Nic nie oddycha. Nawet wiatr nie ośmiela się wydać żadnego dźwięku.

- Fletcher. - Z ust Warnera pada jedno słowo, a kilkaset głów odwraca się w tym samym kierunku.

Fletcher występuje z szeregu.

Wygląda jak zrobiony z piernika. Piernikowe włosy. Piernikowe piegi. Prawie sztuczna czerwień ust. Twarz wyprana z wszelkich możliwych emocji.

Nigdy w życiu nie bałam się bardziej o obcego człowieka.

Delalieu znowu mówi:

- Szeregowy Fletcher został przyłapany na ziemiach nieuregulowanych, gdy bratał się z cywilami podejrzanymi o działalność wywrotową. Ukradł jedzenie i zaopatrzenie z magazynów przeznaczonych na potrzeby mieszkańców Sektora **45**. Nie wiadomo, czy zdradził tajne informacje.

Warner opuszcza wzrok na piernikowego ludzika.

- Czy zaprzeczasz tym oskarżeniom, żołnierzu? Nozdrza Fletcher a falują. Jego szczęki się zaciskają. Jego głos się załamuje, kiedy mówi. -Nie.

Warner kiwa głową. Bierze krótki oddech. Oblizuje wargi. I strzela mu w czoło.

Nikt się nie rusza.

Fletcher osuwa się na ziemię z na zawsze wypisanym na twarzy przerażeniem. Jestem tak wstrząśnięta nierealnością tego wszystkiego, że nie potrafię ocenić, czy to sen czy jawa. Nie wiem, czy umieram, czy nie. Nie mogę się zdecydować, czy zasłabnięcie to dobre wyjście czy nie.

Kończyny Fletchera są powyginane pod dziwnym kątem na zimnej, betonowej nawierzchni. Pod nim tworzy się kałuża krwi, a wciąż nikt się nie porusza. Nikt nie mówi ani słowa. Nikt nie chce ujawnić strachu choćby jednym spojrzeniem.

Wciąż dotykam ust, aby się upewnić, że nie wymyka mi się krzyk.

Warner chowa pistolet do kieszeni marynarki.

- Sektor **45**, odmaszerować.

Wszyscy żołnierze klękają na jedno kolano.

Warner wsuwa metalowe urządzenie nagłaśniające z powrotem do kieszeni garnituru i wyszarpuje mnie z miejsca, w które wrosłam. Potykam się o samą siebie, moje kończyny

są słabe i obolałe do szpiku kości. Mam mdłości, cała się trzęsę, nie jestem w stanie utrzymać się prosto. Próbuję coś powiedzieć, ale słowa tkwią przyklejone do mojego języka. Niespodziewanie oblewa mnie pot, mam dreszcze, czuję się chora. Mam mroczki przed oczami.

Warner próbuje przeprowadzić mnie przez drzwi.

- Naprawdę musisz więcej jeść - mówi do mnie.

Mam szeroko otwarte oczy, szeroko otwarte usta, czuję się tak, jakby cała powierzchnia mojego ciała była podziurawiona.

Serce musi krwawić mi w piersi.

Spoglądam w dół i nie mogę pojąć, dlaczego nie mam plam na sukience, dlaczego ten ból w sercu wydaje się taki prawdziwy.

- Zabiłeś go - udaje mi się wyszeptać. - Po prostu go zabiłeś...

- Jesteś bardzo bystra.

- Dlaczego go z a b i ł e ś dlaczego musiałeś go z a b i ć jak mogłeś zrobić coś takiego...

- Otwórz oczy, Julio. Nie pora teraz zasypiać. Chwytam go za koszulę. Zatrzymuję go przed wejściem.

Powiew wiatru smaga mi twarz i nagle odzyskuję kontrolę nad swoim ciałem. Popycham go z całej siły. Uderza plecami o drzwi.

- Jesteś obrzydliwy. - Patrzę zdecydowanie w jego lodowato zimne oczy. - Jesteś obrzydliwy...

Obraca mnie i przyciska do drzwi, na które go popchnęłam. Ujmuje moją twarz w dłonie w rękawiczkach i przytrzymuje ją w miejscu. Tymi samymi rękami, którymi przed chwilą zabił człowieka.

Jestem w pułapce.

Sparaliżowana.

Przerażona.

Głaszczę kciukiem mój policzek. - Świat jest ponurym miejscem - musisz strzelać pierwsza.

szepcze. - Czasem mu-

Warner odprowadza mnie do pokoju.

- Powinnaś się chyba przespać - mówi. To jego pierwsze słowa, odkąd zesliśmy z dachu. - Każę ci przynieść jedzenie do pokoju, ale poza tym dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

- Gdzie jest Adam? ~~Czy jest bezpieczny? Czy nie mu nie jest? Czy nie mu nie grozi?~~

Warner wzdryga się, po czym odzyskuje panowanie nad sobą.

- Dlaczego to dla ciebie ważne?

~~Adam Kent jest dla mnie ważny, odkąd zaczęłam chodzić do trzeciej klasy.~~

- Nie miał przypadkiem mnie pilnować? Tutaj go nie ma. Czy to znaczy, że jego też zabijesz?

Czuję się głupia. Czuję się odważna, ponieważ czuję się głupia. Słowa wypadają mi z ust bez spadochronów.

- Zabijam ludzi tylko wtedy, kiedy muszę.

- Jakie to wspaniałomyślne.

- Nadzwyczaj.

Śmieję się smutno sama do siebie.

- Na dziś jesteś wolna. Nasza prawdziwa praca zacznie się jutro. Adam przyprowadzi cię do mnie. - Patrzy mi w oczy. Powstrzymuje uśmiech. - Tymczasem postaraj się nikogo nie zabić.

- Ty i ja - mówię, a gniew krąży mi w żyłach. - Ty i ja nie jesteśmy tacy sami...

- Tak naprawdę w to nie wierzysz.

- Myślisz, że możesz porównywać moją... moją chorobę z własnym obłędem...

-Chorobę? - Rusza do przodu w gwałtownym napadzie furii, a ja usiłuję nie dać się zastraszyć. - Myślisz, że cierpisz na jakąś chorobę!?! - krzyczy. - Masz dar! Posiadasz niespotykaną umiejętność, chociaż nawet nie próbujesz tego zrozumieć! Twój potencjał 1...

- To nie jest żaden potencjał!

- Mylisz się. - Piorunuje mnie wzrokiem. Nie można tego opisać w inny sposób.

Jestem niemal pewna, że w tej chwili mnie nienawidzi. Nienawidzi mnie za to, że ja nienawidzę siebie.

- Cóż, jesteś mordercą - mówię. - Więc pewnie masz rację. Jego uśmiech jest podszyty dynamitem.

- Idź spać.

- Idź do diabła.

Zgrzyta zębami. Idzie do drzwi.

- Jestem już w połowie drogi - mówi.

Ciemność mnie dławi.

Mam krwawe sny. Krew zalewa mi umysł, nie pozwalając dalej spać. Jedyne sny, jakie kiedykolwiek przynosiły mi spokój, odeszły i nie wiem, jak je odzyskać. Nie wiem, jak znaleźć białego ptaka. Nie wiem, czy kiedykolwiek tu przyleci. Wiem tylko, że teraz, kiedy zamknę oczy, zobaczę jedynie zniszczenie. Fletcher ginie od kuli wciąż od nowa, Jenkins umiera w moich ramionach, Warner strzela w głowę Adamowi, wiatr śpiewa za moim oknem, wydając piskliwe i fałszywe tony, a ja nie mam odwagi powiedzieć mu, żeby przestał.

Marznę.

Mój materac jest wypełniony chmurami i świeżym śniegiem, jest zbyt miękki, zbyt wygodny. Za bardzo przypomina mi o tym, jak spałam w pokoju Warnera, i nie mogę tego znieść. Boję się wśliznąć pod kołdrę.

Nie mogę przestać myśleć o tym, czy nic się nie stało Adamowi, czy kiedykolwiek wróci, czy Warner znowu go ukarze, kiedy będę nieposłuszna. Naprawdę nie powinnam się tak tym przejmować.

Wiadomość od Adama w moim notatniku mogła być tylko częścią planu Warnera, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa.

Kładę się na podłodze i odnajduję w zaciśniętej dłoni zgniecioną kartkę papieru, którą ściskam od 2 dni. To jedyna nadzieja, jaka mi pozostała, a nie wiem nawet, czy jest prawdziwa.

Kończą mi się możliwości.

- Co tu robisz?

Powstrzymuję krzyk i potykam się, omal nie wpadając na Adama leżącego na podłodze obok mnie. Nawet go nie zauważyłam.

- Julio? - Nie rusza się ani o centymetr. Jego oczy są utkwione we mnie: spokojne, niewzruszone, jak 2 wiadra rzecznej wody o północy. Chciałabym wypłakać się w jego oczy.

Nie wiem, dlaczego mówię prawdę.

- Nie mogłam tam spać.

Nie pyta dlaczego. Podnosi się, maskując kaszlem jęk, który przypomina mi, że był ranny. Zastanawiam się, co go boli. Nie zadaję pytań, kiedy on bierze poduszkę i koc z mojego łóżka. Kładzie poduszkę na podłodze.

- Połóż się. - To wszystko, co mówi. Cicho.

~~Chcę, żeby tak do mnie mówił cały dzień, każdego dnia, -zawsze.~~

To tylko 2 słowa i nie wiem, dlaczego się czerwienię. Kładę się, pomimo syren wyjących w moim ciele, i układam głowę na poduszce. On okrywa mnie kocem. Pozwalam mu na to. Patrzę, jak jego ramiona zakrzywiają się i wyginają w ciemności nocy, księżyc zerka do środka przez okno, oświetlając jego postać. Adam kładzie się na podłodze w odległości zaledwie metra. Nie potrzebuje koca. Nie używa poduszki. Wciąż śpi bez koszuli, a ja odkrywam, że nie mogę oddychać.

Mam wrażenie, że nigdy w jego obecności nie wypuszczę powietrza.

- Nie musisz już krzyczeć - szepcze. Ucieka ze mnie każdy oddech.

Obejmuję palcami wyobrażenie Adama w swojej dłoni i zasypiam. Śpię głębszym snem niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Moje oczy są jak 2 okna rozbite przez chaos na świecie.

Moją skórę zaskakuje chłodna bryza, siadam, ścierając z oczu sen, i widzę, że Adama nie ma obok mnie. Mrugam i wczolgnę się na łóżko, żeby odłożyć poduszkę i koc.

Zerkam na drzwi i zastanawiam się, co mnie za nimi czeka.

Zerkam za okno i zastanawiam się, czy kiedyś zobaczę przelatującego ptaka.

Zerkam na zegar na ścianie i zastanawiam się, co to znaczy znowu żyć według liczb. Zastanawiam się, co w tym budynku oznacza **6.30** rano.

Postanawiam przemyć twarz. Ta myśl wprawia mnie w radosny nastrój. Trochę się tego wstydzę.

Otwieram łazienkę i chwytam w lustrze spojrzenie Adama. Jego szybkie ręce opuszczają koszulkę, zanim udaje mi się ucześcić szczegółów, ale widzę wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, czego nie widziałam w ciemności.

Jest cały siny.

Czuję się tak, jakby połamano mi nogi. Nie wiem, jak mu pomóc. Chciałabym mu pomóc.

- Przepraszam - mówi szybko. - Nie wiedziałem, że już nie śpisz.

Szarpie brzeg koszulki, jakby nie była dostatecznie długa, żebym mogła udawać, że jestem ślepa.

Przytakuję w odpowiedzi na nic. Patrzę na kafelki pod stopami. Nie wiem, co powiedzieć.

- Julio - jego głos tak delikatnie obejmuje litery mojego imienia, że umieram 5 razy w ciągu jednej sekundy. Jego twarz jest lasem emocji. Kręci głową. - Przepraszam - mówi tak cicho, że biorę to za wytwór swojej wyobraźni. - To nie jest... - Zaciska zęby i nerwowo przesuwa ręką po włosach. - To wszystko... to nie jest...

Otwieram dłoń. Zgnieciony papier jest zwiłkiem możliwości.

- Wiem.

Ulga zmywa wszystkie bruzdy z jego twarzy. Jego oczy przynoszą mi jedyny rodzaj otuchy, jakiego potrzebuję. Adam mnie nie zdradził. Nie wiem co, jak i dlaczego, w ogóle niczego nie wiem, z wyjątkiem tego, że wciąż jest moim przyjacielem.

Stoi przede mną i nie chce, żebym umarła. Robię krok naprzód i zamykam drzwi. Otwieram usta. -Nie!

Szczęka mi opada.

- Zaczekaj - mówi jedną ręką. Jego usta poruszają się, ale nie wydają dźwięku. Zdaję sobie sprawę, że choć w łazience nie ma kamer, to mogą być mikrofony. Adam rozgląda się uważnie po pomieszczeniu.

Kończy oględziny.

Prysznic otaczają 4 ściany mlecznego szkła. Rozsuwa drzwi kabiny, a ja nie nadążam za tym, co się dzieje. Odkręca wodę. Rozpędzony strumień dudni w pomieszczeniu, zagłuszając wszystko inne, grzmi w otaczającej nas pustce. Lustro zaczyna zasnuwać para i kiedy już wydaje mi się, że rozumiem jego plan, pociąga mnie w swoje ramiona i przenosi pod prysznic.

Mój głos wyparowuje w postaci serii stłumionych okrzyków.

Kałuże gorącej wody zbierają się w zagłębieniach mojego ubrania. Woda ścieka po moich włosach, po szyi, a ja czuję tylko jego ręce na mojej talii. Chcę krzyknąć z wszystkich niewłaściwych powodów.

Jego oczy przykuwają mnie do miejsca. Jego zniecierpliwienie rozpala mi kości. Strumienie wody wiją się po gładkiej skórze jego twarzy, a jego palce przyciskają mnie do ściany.

Jego usta jego usta jego usta jego usta Moje powieki usiłują opanować trzepot Moje nogi nawet nie próbują przestać drżeć Moja skóra płonie wszędzie, gdzie on mnie nie dotyka. Jego usta są tak blisko mojego ucha jestem wodą i niczym więcej i wszystkim jednocześnie topnieję od pragnienia tak rozpaczliwego że pali mnie kiedy je przetykam.

- Mogę cię dotknąć - mówi, a ja zastanawiam się, skąd w moim sercu biorą się kolibry. - Nie wiedziałem o tym aż do tamtej nocy - szepcze, a ja jestem zbyt upojona, żeby przyswoić znaczenie czegokolwiek poza jego ciałem zawieszonym tak blisko mojego.

- Julio... - Przysuwa się, a ja czuję tylko dmuchawce, które spełniają życzenia w moich płucach. Oczy mam szeroko otwarte. On przez ułamek sekundy oblizuje dolną wargę. Coś w moim mózgu podrywa się do życia.

Dyszę. Dyszę. Dyszę.

- Co ty robisz...?

- Julio, proszę... - W jego głosie słychać napięcie. Zerka za siebie, jakby nie był pewien, czy jesteśmy sami. - Tamtej nocy... - Zaciska wargi. Zamyka oczy na pół sekundy, a ja zachwycam się kroplą ~~kroplą~~ kroplami gorącej wody na jego rzęsach. Przypominają perły wyrzeźbione w bólu. Jego palce przesuwiają się wzdłuż mojego ciała powoli, jakby usiłował

utrzymać je w jednym miejscu, jakby toczył wewnętrzną walką, żeby nie dotykać mnie wszędzie ~~wszędzie wszędzie~~, jego oczy chłoną **160** centymetrów mojej sylwetki jestem ~~jestem jestem~~ uwięziona.

- Teraz wreszcie rozumiem - mówi mi do ucha. - Wiem... wiem, dlaczego Warner cię potrzebuje. - Opuszki jego palców są jak **10** styków elektrod, przesywają mnie czymś, czego nigdy dotąd nie poczułam. ~~Czymś, czego zawsze chciałam doświadczyć.~~

- W takim razie dlaczego tutaj jesteś? - szepczę, bezwładna, umierając w jego ramionach. - Dlaczego... - **1,2** próby zaczerpnięcia oddechu. - Dlaczego mnie dotykasz?

- Bo mogę. - Prawie rozjaśnia się uśmiechem, a mnie prawie wyrastają skrzydła. - Już to robiłem.

- Co? - mrugam, nagle otrzeźwiona. - Co ty mówisz?

- Tamtej nocy w celi - wzdycha. Spuszcza wzrok. - Krzyczałaś przez sen.

Czekam. Czekam.

Czekam całą wieczność.

- Dotknąłem twojej twarzy - mówi do kształtu mojego ucha. - Twojej dłoni. Musnąłem twoje ramię... - Odsuwa się. Jego oczy spoczywają na moim ramieniu, zsuwają się do mojego łokcia, opierają się na moim nadgarstku. Jestem zawieszona w niedowierzaniu. - Nie wiedziałem, jak cię obudzić. Nie budziłaś się. Więc usiadłem i patrzyłem na ciebie. Czekałem, aż przestaniesz krzyczeć.

- To. Niemożliwe. - **2** słowa to wszystko, na co mogę się zdobyć.

Ale jego dłonie zamieniają się w ramiona wokół mojej talii jego usta stają się policzkiem przyciśniętym do mojego policzka a jego skóra rumieńcem na mojej skórze Adam dotyka

mnie dotyka mnie dotyka mnie i nie krzyczy nie umiera nie
ucieka ode mnie a ja płaczę
dławię się drzę dygoczę
rozpadam się na łzy
a on obejmuje mnie tak jak nikt nigdy mnie jeszcze nie
obejmował.

Jakby mnie pragnął.

^ Wydostanę cię stąd - mówi. Jego usta poruszają się w
moich włosach jego ręce wspinają się na moje ramiona od-
suwam się on patrzy mi w oczy ja chyba śnię.

- Dlaczego... dlaczego ty... ja nie... - Kręcę głową i drzę, to
nie może się dziać naprawdę, strząsam łzy przyklejone do
mojej twarzy. To nie może być prawda.

Jego oczy są łagodne, uśmiech wytrąca mnie z równowagi.
Chciałabym znać smak jego ust. Chciałabym mieć odwagę go
dotknąć.

- Muszę iść - mówi. - Musisz się ubrać i zejść na dół o ósmej.
Tonę w jego oczach, nie wiem, co powiedzieć.

Zdejmuje koszulę, a ja nie wiem, gdzie skierować wzrok.

Chwytam się szklanej szyby, zaciskam oczy i mrugam, bo
coś trzepocze zbyt blisko mnie. Jego palce są o mgnienie oka
od mojej twarzy, a ja skraplam się płoną topnieję w
oczekiwaniu.

- Nie musisz odwracać wzroku - mówi z niedużym
uśmiechem wielkości Jowisza.

Zerkam na jego twarz, na niesymetryczny uśmiech, którym
chcę się napawać, na kolor jego oczu, który służył mi do

namalowania tyłu obrazów. Podążam za linią jego podbródka, jego szyi, obojczyka, zapamiętuję rzeźbione wzgórza i doliny jego ramion, doskonałość jego torsu. Rysunek na jego piersi.

Ptak na jego piersi.

Tatuaż.

Biały ptak ze złotymi prążkami na głowie, przypominającymi koronę. Leci.

- Adam - próbuję powiedzieć. - Adam - próbuję wykrztusić. - Adam - próbuję powiedzieć tyle razy, ale nie udaje mi się.

Próbuję odnaleźć jego oczy i zdaję sobie sprawę, że patrzył, jak mu się przyglądam. Na jego twarzy są odcisnięte linie uczuć, tak głębokie, że zastanawiam się, jak muszę dla niego wyglądać. Dotyka 2 palcami mojego podbródka, unosi mi głowę i to wystarcza, żeby zamienić mnie w zanurzony w wodzie przewód pod napięciem.

- Znajdę sposób, żeby z tobą porozmawiać - mówi, przyciągając mnie do siebie.

Przyciskam twarz do jego piersi, a świat niespodziewanie staje się jaśniejszy, większy, piękniejszy. Życie nagle coś dla mnie znaczy, bycie człowiekiem ma jakąś wartość, cały wszechświat zatrzymuje się w miejscu i zaczyna obracać się w przeciwną stronę, a ja jestem ptakiem.

Ptakiem, który odlatuje.

Jest **8.00** rano. Jestem ubrana w sukienkę koloru martwych lasów i starych blaszanych puszek.

Jest bardziej opięta niż cokolwiek, co miałam na sobie w swoim życiu, krój ma kanciasty, nowoczesny, jakby przypadkowy. Materiał jest sztywny i gruby, ale, o dziwo, przepuszcza powietrze.

Nigdy jeszcze nie czułam się taka odkryta.

Przez **17** lat uczyłam się zakrywać każdy centymetr swojej skóry, a teraz Warner zmusza mnie do zrzucania kolejnych warstw. Domyślam się, że robi to celowo. Moje ciało jest mięsożernym kwiatem, trującą rośliną doniczkową, naładowaną bronią o milionie spustów, a on aż się pali do tego, żeby strzelać.

Dotknij mnie i ponieś konsekwencje. Nigdy nie zdarzył się wyjątek od tej reguły. Nie licząc Adama.

Zostawił mnie pod prysznicem ociekającą wodą i gorącymi łzami. Patrzyłam przez mleczne szkło, jak się wyciera i wkłada swój zwykły mundur.

Przyglądałam się, jak wychodzi, w każdej chwili zastanawiając się dlaczego ~~dla czego dla czego Dla czego~~ może mnie dotknąć? Dlaczego miałyby mi pomóc? ~~Czy mnie pamięta?~~

Moja skóra wciąż paruje, zabandażowana w ciasne fałdy tej dziwnej sukienki, której zamek jest jedyną rzeczą trzymającą mnie w całości. Może jeszcze perspektywa czegoś, o czym .zawsze nigdy nie ośmieliłam się marzyć.

Tajemnica dzisiejszego poranka na zawsze pozostanie zasznurowana w moich ustach, ale serce mam tak przepelnione ufnością, zachwytem, spokojem i nadzieją, że zastanawiam się, czy nie wybuchnie, rozrywając sukienkę.

Nadzieja bierze mnie w ramiona i trzyma w swoich objęciach, ociera mi łzy i mówi, że dziś, jutro, za dwa dni wszystko będzie dobrze, a ja jestem na tyle szalona, że ośmielam się w to wierzyć.

Siedzę w błękitnym pokoju.

Ściany są wytapetowane tkaniną barwy bezchmurnego letniego nieba, podłogę przykrywa dywan gruby na 5 centymetrów, a cały pokój jest pusty, nie licząc 2 krzeseł obitych aksamitem przypominającym fragment jakiegoś gwiazdozbioru. Każdy z otaczających mnie odcieni jest jak siniak, jak piękna pomyłka, pamiątka tego, co zrobili Adamowi ~~z mojego powodu.~~

Siedzę sama na aksamitnym krześle w błękitnym pokoju w oliwkowej sukience. Notatnik w kieszeni ciąży mi jak trzymana na kolanie kula do kręgli.

- Wyglądasz ślicznie. - Warner wpada do pokoju, jakby płacono mu za deptanie powietrza. Jest sam.

Mój wzrok mimowolnie opada na tenisówki, które mam na nogach, i zastanawiam się, czy złamałam jakieś zasady, unikając szczudeł z mojej szafy, które z pewnością nie

nadają się do noszenia. Kiedy podnoszę wzrok, Warner stoi tuż przede mną.

- Do twarzy ci w zielonym - mówi z głupim uśmiechem.
- Naprawdę podkreśla kolor twoich oczu.

- Jakiego koloru są moje oczy? - pytam ściany. Śmieje się.

- Żartujesz.

- Ile masz lat? Przestaje się śmiać.

- Interesuje cię to?

- Jestem ciekawa. Siada obok mnie.

- Nie będę odpowiadał na twoje pytania, jeśli nie będziesz na mnie patrzyła, kiedy do ciebie mówię.

- Chcesz, żebym torturowała ludzi wbrew sobie. Chcesz mnie wykorzystać jako broń w swojej wojnie. Chcesz, żebym dla ciebie stała się potworem - milknę. - Od patrzenia na ciebie robi mi się niedobrze.

- Jesteś o wiele bardziej uparta, niż sądziłem.

- Włożyłam twoją sukienkę. Zjadłam twoje jedzenie. Jestem tutaj. - Podnoszę wzrok, a on patrzy prosto na mnie. Jestem zaskoczona siłą jego spojrzenia.

- Nic z tego nie zrobiłaś dla mnie - mówi cicho. O mało nie zaczynam się głośno śmiać.

- Dlaczego miałabym to zrobić dla ciebie?

Jego oczy walczą z jego ustami o prawo głosu. Odwracam wzrok.

- Co robimy w tym pokoju?

- Ach - bierze głęboki oddech. - Śniadanie. A potem przedstawię ci rozkład dnia.

Wciska przycisk na poręczy swojego krzesła i prawie w tej samej chwili do pokoju wjeżdżają wózki i tace pchane przez

kobiety i mężczyzn z pewnością niebędących żołnierzami. Ich twarze są surowe, pokryte bruzdami i zbyt szczupłe, aby mogli być zdrowi.

To łamie mi serce na pół.

- Zwykle jadam sam - ciągnie Warner, a jego głos wbija się w tkankę moich wspomnień jak sople lodu. - Ale pomyślałem, że ty i ja powinniśmy się lepiej poznać. Szczególnie że będziemy spędzali razem tak wiele czasu.

Służący. Ludzie niebędący żołnierzami wychodzą, a Warner częstuje mnie czymś.

- Nie jestem głodna.

- Nie pytałem, czy jesteś.

Podnoszę wzrok i zdaję sobie sprawę, że mówi bardzo, bardzo poważnie.

- Nie wolno ci zagłodzić się na śmierć. Za mało jesz, a ja potrzebuję, żebyś była zdrowa. Nie możesz popełnić samobójstwa. Nie wolno ci sobie szkodzić. Jesteś dla mnie zbyt cenna.

- Nie jestem twoją zabawką - wyrzucam z siebie. Upuszcza talerz na wózek, dziwię się, że go nie rozbija.

Odchrząkuje. Właściwie mógłby wzbudzić we mnie strach.

- Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyś po prostu współpracowała - mówi, wyraźnie wymawiając każde słowo.

Pięć Pięć Pięć Pięć Pięć uderzeń serca.

- Świat się tobą brzydzi - mówi, a usta wykrzywia mu drwina. - Nienawidzili cię wszyscy, którzy kiedykolwiek cię znali. Uciekali przed tobą. Porzucali cię. Nawet rodzice dali sobie z tobą spokój, sami się zgłosili, żeby oddać cię władzom. Tak bardzo chcieli się ciebie pozbyć, przerzucić problem na kogoś innego, przekonać samych siebie, że obrzydliwość, które wychowali, nie jest w rzeczywistości ich dzieckiem.

Spoliczkowało mnie sto dłoni.

- A jednak... - Teraz otwarcie się śmieje. - Upierasz się, żeby to z e mnie zrobić czarny charakter. - Napotyka mój wzrok. - Próbuję ci pomóc. Daję ci szansę, jakiej nikt nigdy by ci nie zaoferował. Chcę cię traktować jak równą sobie. Chcę dać ci to, czego zapragniesz, a przede wszystkim mogę dać ci władzę. Mogę sprawić, że będą cierpieli za wszystko, co ci zrobili - pochyła się. - Mogę odmienić twój świat.

To nie tak to nie tak to bardziej nie tak niż odwrócona tęcza.

A jednak wszystko, co powiedział, jest prawdą.

- Nie pozwalaj sobie tak szybko na nienawiść do mnie -ciągnie. - Mogłabyś czerpać z takiego układu znacznie więcej przyjemności, niż ci się wydaje. Masz szczęście, że mam ochotę być cierpliwy - śmieje się. Odchyła się. - Oczywiście nie przeszkadza mi też, że jesteś tak niepokojąco piękna.

Purpura spływa ze mnie na dywan.

Jest kłamcą i potwornym, potwornym, potwornym człowiekiem. Nie wiem, czy to, co powiedział, ma dla mnie takie znaczenie dlatego, że ma rację, czy dlatego, że tak bardzo jest niewłaściwe, czy dlatego, że tak bardzo jestem spragniona jakiejś namiastki akceptacji. Nikt nigdy niczego podobnego mi nie powiedział.

To sprawia, że chcę spojrzeć w lustro.

- Ty i ja nie różnimy się tak bardzo, jak sobie wyobrażasz. - Jego uśmiech jest tak arogancki, że chciałabym rozkwasić go pięścią.

- Ty i ja nie jesteśmy do siebie tak bardzo podobni, jak sobie wyobrażasz.

Uśmiecha się tak szeroko, że nie wiem, jak zareagować.

- Właśnie: mam dziewiętnaście lat.

- Słucham?

- Mam dziewiętnaście lat - wyjaśnia. - Wiem, że zważywszy na mój wiek, to imponujące, kim jestem.

Podnoszę łyżkę i wbijam ją w jadalną substancję na moim talerzu. Nie pamiętam już, co to jest jedzenie.

- Nie uważam cię za osobę godną szacunku.

- Zmienisz zdanie - mówi spokojnie. - A teraz pospiesz się i jedz. Mamy dużo pracy.

Zabijanie czasu nie jest tak trudne, jak się wydaje.

Mogę przestrzelić setkę liczb i patrzeć, jak wykrwawiają się na mojej dłoni kolejne miejsca po przecinku. Zedrzyć cyfry z tarczy zegara i patrzeć, jak wskazówka godzinowa wybija swój ostateczny takt: tik tik tik, zanim zapadnę w sen. Mogę dusić sekundy, tylko wstrzymując oddech. Godzinami morduję minuty i nikt nie protestuje.

Minął tydzień, odkąd rozmawiałam z Adamem.

Raz odwróciłam się w jego stronę. Otworzyłam usta, ale nie udało mi się niczego powiedzieć, bo Warner mnie ubiegł.

- Nie wolno ci rozmawiać z żołnierzami - powiedział. - Jeśli masz pytania, możesz zwrócić się do mnie. Jestem jedyną osobą, którą powinnaś się zajmować, dopóki tu jesteś.

„Zaborczy” to zbyt słaby przymiotnik dla Warnera.

Wszędzie mnie eskortuje. Za dużo mówi. Mój grafik składa się ze spotkań z Warnerem, jedzenia z Warnerem i słuchania Warnera. Jeśli jest zajęty, odsyła mnie do mojego pokoju. Jeśli jest wolny, przychodzi do mnie. Opowiada mi o książkach, które zniszczyli. O eksponatach, które zamierzają spalić.

O ideach, które mają być podstawą nowego świata, i o tym, jakie mam szczęście, że będę mogła mu pomagać, kiedy już będę gotowa. Kiedy tylko zdam sobie sprawę, jak bardzo chcę tego, jak bardzo chcę jego, jak bardzo chcę tego nowego, wspaniałego, potężnego życia. On będzie czekał, aż wykorzystam swój potencjał. Mówi mi, jaka powinnam być wdzięczna za jego cierpliwość. Jego dobroć. Jego chęć zrozumienia, że moja transformacja musi być trudna.

Nie wolno mi patrzeć na Adama. Nie mogę się do niego odzywać. Sypia w moim pokoju, ale nigdy go nie widuję. Oddycha tak blisko mojego ciała, ale nie otwiera ust, żeby ze mną rozmawiać. Nie chodzi ze mną do łazienki. Nie zostawia w moim notatniku sekretnych wiadomości.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie wyobraziłam sobie wszystkiego, co mi powiedział.

Muszę wiedzieć, czy coś się zmieniło. Muszę wiedzieć, czy jestem szalona, chwytając się nadziei rozkwitającej w moim sercu, muszę wiedzieć, co oznaczała wiadomość Adama, ale z każdym dniem, w którym on traktuje mnie jak kogoś obcego, dopadają mnie coraz większe wątpliwości.

Muszę z nim porozmawiać, ale mi nie wolno.

Warner mnie obserwuje.

Kamery obserwują wszystko.

- Chcę, żebyś usunął kamery z mojego pokoju. Warner przestaje przeżuwać jedzenie/śmieci/śniadanie/

nonsens, które ma w ustach. Przełyka ostrożnie, a potem odchyła się do tyłu i patrzy mi w oczy.

- Nie ma mowy.

- Jeżeli będziesz traktował mnie jak więźnia - mówię - to będę się zachowywała jak więzień. Nie lubię być obserwowana.

- Nie można ci ufać. - Znowu bierze łyżkę.

- Każdy mój oddech jest monitorowany. Na korytarzach co półtora metra stoją strażnicy. Nie mam nawet klucza do swojego własnego pokoju - protestuję. - Brak kamer nie robi różnicy.

Uśmiech rozbawienia tańczy mu na ustach.

- Nie jesteś do końca zrównowazona. Mogłabyś kogoś zabić.

- Nie. - Chwytam za swoje palce. - Nie, nie mogłabym, nie zabiłam Jenkinsa...

- Nie mówię o Jenkinsie. - Jego uśmiech jest jak kadź pełna kwasu sączącego mi się na skórę.

Nie przestaje mi się przyglądać. Uśmiechać się do mnie. Torturować mnie wzrokiem.

„To ja!”, krzyczę bezgłośnie, zaciskając pięść.

- To był wypadek. - Słowa padają z moich ust tak cicho, tak szybko, że nawet nie wiem, czy je naprawdę wypowiedziałam, czy rzeczywiście wciąż siedzę tutaj, czy może znowu mam 14 lat i wciąż ~~wciąż~~ ~~wciąż~~ od nowa krzyczę, umieram, zanurzam się w basenie wspomnień, których chyba nigdy nigdy nigdy ~~nigdy~~ ~~nigdy~~

nie będę mogła zapomnieć.

Zobaczyłam ją w sklepie spożywczym. Stała z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Trzymała dziecko na smyczy, myśląc, że ono myśli, że szelki, które ma na ramionach, to plecak. Myślała, że jest za głupie/za małe/niewystarczająco rozwinięte, żeby zrozumieć, że lina, którą przywiązała je sobie do nadgarstka, służy do tego, by je uwięzić w kręgu jej pozbawionej zainteresowania nim sympatii dla siebie samej. Jest za młoda, żeby mieć dziecko, żeby mieć te wszystkie obowiązki, żeby dać się pogrzebać za życia z powodu kogoś, kto ma potrzeby, które nie dostosowują się do jej potrzeb. Jej życie jest zbyt nieznośne zbyt złożone zbyt wytworne, aby uwiązany owoc jej łona mógł je zrozumieć.

Dzieci nie są głupie, oto, co chciałam jej powiedzieć.

Chciałam jej powiedzieć, że jego 7 z kolei krzyk nie oznaczał chęci bycia złośliwym, że jej 14 upomnienie: co z ciebie za bachor/wstyd mi za ciebie/powiem tacie, jaki jesteś nieznośny, było nie na miejscu. Nie zamierzałam jej obserwować, ale nie mogłam nic na to poradzić. Jego 3-letnią buzię wykrzywił ból, jego małe rączki próbowały rozerwać więzy na piersi. Ona pociągnęła go tak mocno, że upadł i rozpłakał się. Powiedziała, że sobie zasłużył.

Chciałam zapytać, dlaczego to robi.

Chciałam zadać jej tyle pytań, ale nie zrobiłam tego, ponieważ z ludźmi się już nie rozmawia, ponieważ powiedzenie czegoś byłoby dziwniejsze niż niepowiedzenie niczego do nieznanym osobie. Chłopczyk leżał, wijąc się na podłodze. W końcu zostawiłam wszystko, co miałam w rękach, i wytarłam twarz z emocji.

Nigdy nie powiedziałam jej synkowi: tak mi przykro.

Ja tylko podałam mu rękę

Działałam w odruchu serca

Myślałam tak wiele rzeczy

Nigdy

nigdy

nigdy

nigdy

nigdy nie myślałam, że - Zabiłaś małego chłopca.

Siedzę przykuta milionem wspomnień do aksamitnego krzesła. Nęka mnie koszmar, który wywołałam własnymi dłońmi, i bezustannie przypomina mi, że nie bez powodu zostałam odrzucona. Moje ręce mogą zabić. Mogą wszystko niszczyć.

Nie powinno się pozwolić mi żyć.

- Chcę - wykrztuszam, próbując przełknąć pięść, która utknęła mi w gardle - chcę, żebyś usunął kamery. Pozbądź się ich albo będziesz miał ze mną same problemy.

- Nareszcie! - Warner wstaje i klaszcze, jakby chciał sobie pogratulować. - Zastanawiałem się, kiedy się przebudzisz. Czekałem na ten ogień, byłem pewien, że cię pożera. Gotujesz się z nienawiści, prawda? Gniewu? Frustracji? Palisz się, żeby coś zrobić? Być kimś?

-Nie.

- Oczywiście, że tak. Jesteś taka sama jak ja.

- Nienawidzę cię bardziej, niż kiedykolwiek będziesz w stanie pojąć.

- Będziemy tworzyli idealny zespół.

- N i c nie będziemy tworzyli. Jesteś dla mnie n i k i m...

- Wiem, czego pragniesz. - Nachyla się, ścisza głos. - Wiem, do czego zawsze tęskniło twoje serduszko. Mogę dać ci akceptację, której potrzebujesz. Mogę być twoim przyjacielem.

Zamieram. Słabnę. Nie jestem w stanie nic powiedzieć.

- Wiem o tobie wszystko, kochanie - śmieje się. - Od bardzo dawna chciałem cię odnaleźć. Spędziłem wieczność, czekając, aż będziesz gotowa. Nie wypuszczę cię tak łatwo.

- Nie chcę być potworem - mówię, chyba bardziej do siebie niż do niego.

- Nie walcz z tym, do czego jesteś stworzona. - Chwyta mnie za ramiona. - Przestań wszystkim pozwalać, żeby mówili ci, co jest dobre, a co złe. Stawiaj żądania! Kulisz się ze strachu, a powinnaś zdobywać. Masz znacznie większą władzę, niż ci się wydaje, jestem szczerze... - kręci głową -... zafascynowany.

- Nie jestem jakimś dziwolągiem do pokazywania w klatce - rzucam. - Nie będę robiła z siebie widowiska, żeby spełnić twoje chore zachcianki.

Zaciska ręce na moich ramionach tak, że nie jestem w stanie się uwolnić. Nachyla się niebezpiecznie blisko mojej twarzy i nie wiem dlaczego, ale nie mogę złapać tchu.

- Nie boję się ciebie, moja droga - mówi cicho. - Jestem tobą oczarowany.

- Pozbędziesz się tych kamer albo je wszystkie znajdę i po kolei roztrzaskam - kłamię w żywe oczy, ale jestem wściekła, zdesperowana i przerażona. Warner chce mnie zamienić w zwierzę, które poluje na słabych. Na niewinnych.

Jeżeli on chce, żebym walczyła dla niego, sam musi najpierw ze mną wygrać.

Jego usta powoli rozciągają się w uśmiechu. Palcami w rękawiczce dotyka mojego policzka, a kiedy się wyrywam, chwytając mój podbródek i unosi mi głowę.

- Jesteś bardzo apetyczna, kiedy się złościś.

- To pech, bo dla twojego podniebienia jestem trująca. - Aż drzę z obrzydzenia.

- To tylko detal, który dodaje całej grze uroku.

- Jesteś chory, bardzo chory...

Śmieje się i wypuszcza mój podbródek. Teraz robi przegląd mojego ciała. Rysuje wzrokiem leniwą ścieżkę w dół, a ja walczę z pokusą przebicia mu śledziony.

- Co dla mnie zrobisz, jeśli pozbędę się twoich kamer? - W jego oczach czai się niegodziwość.

-Nic.

Kręci głową.

- To nie wystarczy. Mógłbym się zgodzić na twoją propozycję, jeżeli przyjmiesz mój warunek.

Zaciskam zęby.

- Czego chcesz?

Uśmiech jest szerszy niż dotychczas.

- To niebezpieczne pytanie.

- Jaki jest twój warunek? - dopytuję zniecierpliwiona.

- Dotknij mnie.

- Co!?! - okrzyk najpierw więźnie mi w gardle, a potem gna po pokoju.

- Chcę się przekonać na własnej skórze, co potrafisz. -Jego głos jest opanowany, brwi uniesione, pełne napięcia.

- Więcej tego nie zrobię! - wybucham. - Widziałeś, co przez ciebie zrobiłam Jenkinsowi...

- Pieprzyć Jenkinsa - rzuca. - Chcę, żebyś dotknęła m n i e... chcę to p o c z u ć...

- Nie... - kręcę głową tak gwałtownie, że wszystko zaczyna mi wirować przed oczami. - Nie. Nigdy. Jesteś szalony... Nie mam zamiaru...

- Ależ masz.

- NIE, nie mam...

- Prędzej czy później będziesz musiała zacząć... współpracować... - mówi, starając się ściszyć głos. - Nawet jeśli nie zgodzisz się na mój warunek, znalazłaś się tutaj z określonego powodu, Julio. Przekonałem ojca, że jesteś wartościowa dla Komitetu Odnowy. Że będziesz w stanie opanować rebeliantów, których my...

- Chcesz powiedzieć „torturować” ...

- Tak - uśmiecha się. - Wybacz, miałem na myśli „torturować”. Mogłabyś nam pomóc torturować każdego, kogo złapiemy. - Cisza. - Widzisz, zadawanie bólu jest niezwykle skuteczną metodą wydobywania z ludzi informacji. A z tobą? -Zerka na moje ręce. - Cóż, można by to robić tanio. Szybko. Skutecznie - uśmiecha się szerzej. - Jeśli utrzymamy cię przy życiu, będziesz przydatna przez co najmniej kilka dziesięcioleci. Tak się szczęśliwie składa, że nie potrzebujesz baterii.

- Ty... ty... - charczę.

- Powinnaś mi dziękować. Wyciągnąłem cię z tej ruiny domu wariatów. Dałem ci pozycję i władzę. Dałem ci wszystko, czego mogłabyś potrzebować, wszelkie wygody. - Zatrzymuje

spojrzenie na mnie. - Teraz chciałbym, żebyś się skupiła. Musisz porzucić nadzieję na życie, jakie prowadzą inni. Nie jesteś normalna. Nie byłaś i nigdy nie będziesz. Zaakceptuj to, kim jesteś.

- Ja... - przełykam. - Ja nie jestem... nie jestem... nie...

- Mordercą?

- NIE...

- Narzędziem tortur?

- PRZESTAŃ...

- Okłamujesz się.

Jestem gotowa go zniszczyć.

Przekrzywia głowę i z powrotem przykleja sobie uśmiech na twarzy. - Przez całe życie balansowałaś na granicy szaleństwa, prawda? Tylu ludzi mówiło, że jesteś szalona, że w gruncie rzeczy zaczęłaś w to wierzyć. Zastanawiałaś się, czy mają rację. Zastanawiałaś się, czy możesz to naprawić. Myślałaś, że jeśli bardziej byś się starała, była odrobinę lepsza, mądrzejsza, miłsza... to świat zmieniłby o tobie zdanie. Winiłaś się za wszystko.

Krzyczę.

Moja dolna warga drży bez mojego pozwolenia. Prawie nie kontroluję własnych zaciśniętych szczęk. ~~Nie chcę mu przyznać racji.~~

- Tłumiłaś całą swoją wściekłość i żal, ponieważ chciałaś być kochana - mówi, już się nie uśmiechając. - Może ja cię rozumiem, Julio. Może powinnaś mi zaufać. Może powinnaś przyznać, że choć przez długi czas próbowałaś być kimś, kim nie jesteś, to jednak cokolwiek byś zrobiła, ci łajdacy nigdy nie byli zadowoleni. Nigdy nie byli szczęśliwi. Mieli to gdzieś, prawda? - Patrzy na mnie i przez chwilę wydaje się prawie ludzki. Przez chwilę chcę mu uwierzyć. Przez chwilę chcę usiąść na podłodze i wypłakać ocean, który wzbiera mi w gardle.

- Pora przestać udawać - mówi. Tak miękko. - Julio...
-Ujmuje moją twarz w dłonie w rękawiczkach tak zaskakująco delikatnie. - Już nie musisz być miła. Możesz ich wszystkich zniszczyć. Możesz rzucić ich wszystkich na kolana, zawładnąć światem...

Czuję się tak, jakbym dostała w twarz tłokiem maszyny parowej.

- Nie chcę nikogo niszczyć - mówię. - Nie chcę krzywdzić ludzi...

- Przecież oni na to zasługują!- Odpycha mnie nagle rozczarowany. - Jak możesz nie marzyć o zemście? Jak możesz nie chcieć się bronić...

Wstaję powoli, drżąc ze złości. Mam nadzieję, że nogi się pode mną nie ugną.

- Sądzisz, że skoro nikt mnie nie chciał... skoro byłam zaniedbana i... odrzucona... - Mój głos z każdym słowem wspina się wyżej, niepowstrzymane emocje nagle krzyczą przez moje płuca. - To jestem bez serca? Myślisz, że nie mam uczuć? Myślisz, że to mi daje prawo do zadawania bólu, że powinnam to robić? Jesteś taki sam jak wszyscy. Myślisz, że jestem potworem, tak samo jak oni. Wcale mnie nie rozumiesz...

- Julio... -Nie.

Nie chcę tego. Nie chcę jego życia.

Nie chcę być niczym dla nikogo oprócz siebie. Chcę dokonywać własnych wyborów, a nigdy nie chciałam być potworem. Wypowiadam słowa wolno i spokojnie.

- Cenię ludzkie życie o wiele wyżej niż ty, Warner. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaraz je zamyka. Śmieje się głośno, kręcąc głową.

Uśmiecha się do mnie.

- Co? - wyrywa mi się.

- Właśnie wypowiedziałaś moje nazwisko - śmieje się jeszcze szerzej. - Nigdy wcześniej nie zwróciłaś się do mnie bezpośrednio. To musi oznaczać, że robisz postępy.

- Właśnie ci powiedziałam, że nie... Przerywa mi.

- Nie obchodzą mnie twoje moralne dylematy. Grasz na zwłokę, ponieważ tkwisz w zaprzeczeniu. Nie martw się -mówi. - To minie. Mogę jeszcze poczekać.

- Nie tkwię w...

- Oczywiście, że tak. Jeszcze o tym nie wiesz, Julio, ale jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - mówi, chwytając się za serce. - Dokładnie w moim typie.

Ta rozmowa jest nie do zniesienia.

- W moim pokoju mieszka żołnierz - oddycham ciężko. -Jeżeli chcesz, żebym tu została, musisz pozbyć się kamer.

Oczy Warnera ciemnieją na chwilę.

- A tak w ogóle, to gdzie jest teraz ten żołnierz?

- Nie wiem. - Na Boga, mam nadzieję, że się nie czerwienię. - Ty mu wydajesz rozkazy.

- Tak. - Wygląda na zamyślonego. - Lubię patrzeć na twoje zażenowanie. Przez niego czujesz się niezręcznie, prawda?

Myślę o dotyku Adama, o jego ustach tak blisko moich, o zapachu jego skóry w parującej ulewie, o nas razem i nagle moje serce zaczyna walić pięściami o żebra, domagając się wypuszczenia.

- Tak. - O Boże. - Tak. Sprawia, że czuję się... skrępowana.

- Czy wiesz, dlaczego go wybrałem? - pyta Warner, a ja czuję się tak, jakby przejechał po mnie ciągnik z przyczepą.

Adam został wybrany.

Oczywiście, że tak. Nie jest pierwszym lepszym żołnierzem wysłanym do mojej celi. Warner nie robi niczego bez

powodu. Musi wiedzieć, że nasze drogi kiedyś już się skrzyżowały. Nie doceniłam go. Jest bardziej okrutny i wyrachowany, niż sądziłam.

- Nie - wciągam powietrze. - Nie wiem dlaczego - robię wydech. Muszę pamiętać o oddychaniu.

- Zgłosił się na ochotnika - mówi Warner po prostu, a ja nagle nie mogę wydobyć z siebie głosu. - Powiedział, że wiele lat temu chodził z tobą do szkoły. Że pewnie nie będziesz go pamiętała, że teraz wygląda inaczej niż wtedy. Przedstawił nadzwyczaj przekonujące argumenty. - Oddech. - Powiedział, że bardzo się ucieszył, kiedy cię zamknęli. - Warner wreszcie na mnie patrzy.

Moje kości są jak kostki lodu. Grzechoczą i przeszywają mnie chłodem.

- Ciekaw jestem - ciągnie, przekrzywiając głowę, kiedy mówi - czy go pamiętasz?

- Nie - kłamię. Nie jestem pewna, czy jeszcze żyję. Próbuje wyplątać prawdę z fałszu, z założeń, z hipotez, ale płynące nieprzerwanym strumieniem zdania owijają mi się wokół szyi.

Adam pamiętał mnie, kiedy wszedł do mojej celi.

Wiedział dokładnie, kim jestem.

Znał już moje imię.

Och.

Och.

Och.

Wszystko to było pułapką.

- Czy ta informacja wywołuje twoją... złość? - pyta. Chciałabym zaszyć mu te uśmiechnięte usta w permanentnym grymasie niezadowolenia.

Nic nie mówię, ale nie wiadomo dlaczego to pogarsza sprawę.

Warner promienieje.

- Oczywiście nie powiedziałem mu, dlaczego cię zamknęli. Uważałem, że tak będzie lepiej dla naszego eksperymentu w szpitalu psychiatrycznym... ale i tak twierdził, że zawsze byłeś zagrożeniem dla pozostałych uczniów. Że wszystkich ostrzegano, żeby się do ciebie nie zbliżali, chociaż nigdy nie wyjaśniono dlaczego. Powiedział, że chce się przyjrzeć z bliska tej osobliwości.

Serce mi pęka. Oczy mi błyszczą. Czuję się tak dotknięta tak wściekła tak przerażona tak upokorzona, płonę nieskrywanym oburzeniem szalejącym we mnie jak ogień, pożarem zdziesiątkowanych nadziei. Chciałabym zmiażdżyć Warnerowi kręgosłup. Chciałabym, żeby czuł to, co ja czuję, raniąc, zadając innym tak nieznośne męczarnie. Chcę, żeby znał mój ból i ból Jenkinsa, i ból Fletchera, i chcę, żeby c i e r p i a ł. Bo być może ma rację.

Może niektórzy ludzie rzeczywiście na to zasługują.

- Zdejmij koszulę.

Mimo całego swojego pozerstwa Warner wygląda na zaskoczzonego, ale nie traci czasu. Rozpina marynarkę, zdejmuje rękawiczki i zrywa cienką bawełnianą koszulę, pod którą nie ma już nic na sobie.

Oczy błyszczą mu chorą żądzą, nie kryje ciekawości.

Rzuca ubranie na podłogę i patrzy na mnie niemal zmysłowo. Przetykam odrazę bulgoczącą mi w ustach. Jego idealna twarz. Idealne ciało. Oczy, zimne i piękne jak oszronione kamienie jubilerskie. Ogarnia mnie wstręt. Chciałabym, żeby jego powierzchowność pasowała do zgniłego, ciemnego wnętrza. Chcę okaleczyć jego arogancję gołymi rękami.

Zbliża się do mnie, aż dzieli nas jakieś **30** centymetrów. Przy jego wzroście i budowie ciała czuję się jak źdźbło trawy.

- Jesteś gotowa? - pyta, bezczelny i głupi.

Rozważam skręcenie mu karku.

- Jeśli to zrobię, pozbędziesz się wszystkich kamer z mojego pokoju. Wszystkich pluskiew. Wszystkiego.

Podchodzi bliżej. Nachyla głowę. Patrzy na moje usta, przygląda mi się w całkiem nowy sposób.

- Moje obietnice są niewiele warte, kochanie - szepcze. - Zapomniałaś? - **10** centymetrów bliżej. Jego ręka na mojej tali. Słodki i ciepły oddech na mojej szyi. - Jestem świetnym kłamcą.

To fakt, który przytłacza mnie swoim ciężarem. Nie powinnam tego robić. Nie powinnam wchodzić z nim w układy. Nie powinnam myśleć o zadawaniu cierpienia. Dobry Boże, czyja straciłam rozum? Pięści mam zaciśnięte, drzę na całym ciele. Ledwie udaje mi się wydobyć głos.

- Możesz iść do diabła. Ogarnia mnie bezwład.

Cofam się pod ścianę, opadam na stertę bezcelowości i rozpacz. Myślę o Adamie i z mojego serca uchodzi powietrze.

Nie wytrzymam tu dłużej.

Rzucam się do dwuskrzydłowych drzwi, otwieram je szarpnięciem, zanim Warner zdołał mnie zatrzymać. Ale zatrzymuje mnie Adam. Stoi zaraz za drzwiami. Czeka. Pilnuje mnie na każdym kroku.

Zastanawiam się, czy wszystko słyszał, i mój wzrok pada na podłogę, z twarzy odpływa mi kolor, na mojej dłoni leży serce w kawałkach. Oczywiście, że wszystko słyszał. Oczywiście, że już wie, że jestem mordercą. Potworem. Bezwartościową duszą wepchniętą w trujące ciało.

Warner zrobił to celowo.

Stoję między nimi. Warner bez koszuli. Adam wpatrzony w jego pistolet.

- Żołnierzu - mówi Warner. - Zabierz ją z powrotem do jej pokoju i wymontuj wszystkie kamery. Jeśli chce, może zjeść lunch sama, ale oczekuję jej na kolacji.

Adam mruga o jedną chwilę za długo.

- Tak jest.

- Julio.

Zastygam. Stoję tyłem do Warnera i nie odwracam się.

- Oczekuję, że dotrzymasz swojej części umowy.

Dojście do windy trwa **5** lat. Kolejnych **15** potrzeba, żeby wjechać na górę. Mam milion lat, kiedy wchodzę do swojego pokoju. Adam jest spokojny, milczący, doskonale opanowany, porusza się automatycznie. Nic w jego oczach, kończynach, ruchach jego ciała nie wskazuje na to, że zna choćby moje imię.

Obserwuję, jak szybko, zręcznie, ostrożnie porusza się po pokoju, odnajdując małe urządzenia przeznaczone do rejestrowania mojego zachowania, i unieszkodliwia je jedno po drugim. Jeśli ktoś zapyta, dlaczego kamery nie działają, Adam nie będzie miał kłopotów. To był rozkaz Warnera. Dzięki temu wszystko jest oficjalne.

To mi da odrobinę prywatności.

Sądziłam, że będę potrzebowała prywatności.

Jaka byłam głupia.

Adam nie jest tym chłopcem, którego pamiętam.

Byłam w trzeciej klasie.

Właśnie wprowadziliśmy się do miasta, po tym jak mnie wyrzucono poproszono o opuszczenie poprzedniej szkoły. Moi rodzice ciągle się przeprowadzali, zawsze uciekali od bałaganu, którego narobiłam, od kinderballi, które rujnowałam, od przyjaźni, których nigdy nie zawierałam. Nikt nigdy nie chciał rozmawiać o moim „problemie”, ale tajemnica wokół mojej egzystencji w jakiś sposób pogarszała sprawę. Ludzka wyobraźnia może wywoływać katastrofy, jeśli zostawi się ją samą sobie. Docierały do mnie tylko strzępki ich szeptów.

- Dziwadło!

- Słyszałaś, co zrobiła?

- Ale frajerka.

- ... wyrzucili ją z poprzedniej szkoły...

- Psychiczna!

- Jest na coś chora...

Nikt ze mną nie rozmawiał. Wszyscy się gapili. Byłam jeszcze na tyle mała, że wciąż płakałam. Jadłam drugie śniadanie sama, odgradzona od innych łańcuchem, i nigdy nie patrzyłam w lustro. Nie chciałam oglądać twarzy, która u wszystkich budziła nienawiść. Dziewczynki kopały mnie i uciekały. Chłopcy rzucali we mnie kamieniami. Wciąż jeszcze mam mnóstwo blizn.

Patrzyłam na świat przez ogrodzenia z łańcuchów. Gapiłam się na samochody, na rodziców odwożących dzieci do szkoły, na chwile, których częścią nigdy nie będę. To było, zanim jeszcze zdaliśmy sobie sprawę, że chmury mają niewłaściwy kolor, zanim spostrzeżliśmy, że zwierzęta wymierają albo chorują, zanim zrozumieliśmy, że wszyscy umrzemy z głodu, i to wkrótce. To było jeszcze w czasach, kiedy sądziliśmy, że nasze problemy można rozwiązać. A Adam był wtedy tym chłopcem, który chodził do szkoły piechotą. Chłopcem, który siedział trzy ławki przede mną. Jego ubranie wyglądało

gorzej niż moje, a drugiego śniadania w ogóle nie miał. Nigdy nie widziałam, żeby jadł.

Pewnego dnia przyjechał do szkoły samochodem.

Wiem, ponieważ widziałam, jak ktoś go z niego wypycha. Był to jego pijany ojciec, który siedział za kierownicą. Wrzeszczał i wymachiwał pięściami. Adam stał spokojnie i patrzył w ziemię, jakby na coś czekał, przygotowywał się na nieuniknione. Patrzyłam, jak ojciec uderza swojego 8-letniego syna w twarz. Jak Adam upada na ziemię. Stałam w bezruchu, kiedy on kopał go w zębra.

- To wszystko przez ciebie! Przez ciebie, ty nic nie warta kupo gówna! - krzyczał jego ojciec raz po raz, aż zwymiotowałam tam, gdzie stałam, na kępę mleczy.

Adam nie płakał. Leżał skulony na ziemi, aż ojciec przestał i odjechał. Dopiero kiedy myślał, że nikogo nie ma w pobliżu, zaczął szlochać. Leżał z brudną buzią, trzymając się za posiniaczony brzuch. Nie mogłam oderwać wzroku.

Nigdy nie udało mi się wyrzucić tej sceny z pamięci.

To wtedy zwróciłam uwagę na Adama Kenta.

- Julio.

Wciążam powietrze. Chciałabym, żeby nie drżały mi ręce. Chciałabym nie mieć oczu.

- Julio - powtarza, tym razem jeszcze bardziej miękko, a ja się czuję, jakbym wpadła do blendera. Moje ciało pragnie pragnie pragnie jego ciepła.

Nie odwrócę się.

- Od początku wiedziałeś, kim jestem - szepczę.

Nic nie mówi, a ja koniecznie muszę zobaczyć jego oczy. Muszę je widzieć. Odwracam się do niego mimo wszystko. Wpatruje się w swoje dłonie.

- Przykro mi. - Tylko tyle.

Opieram się o ścianę i przyciskam palcami powieki. Wszystko było przedstawieniem. Zabranie mi łóżka. Wypytywanie mnie o imię. O moją rodzinę. Grał dla Warnera. Dla strażników. Dla kogoś, kto nas obserwował. Nie wiem już nawet, w co wierzyć.

Muszę to powiedzieć. Muszę to z siebie wyrzucić. Muszę rozdrapać swoje rany i wykrwawić się przed nim.

- To prawda - mówię. - O tym chłopcu. - Głos mi drży o wiele bardziej, niż sądziłam, że może. - Zrobiłam to.

Tak długo milczy.

- Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałem. Aż do teraz nie miałem pojęcia, co musiało się zdarzyć.

- Co? - Nie sądziłam, że potrafię tak szybko mrugać.

- Nic się nie trzymało kupy - mówi, a każde jego słowo jest jak kopnięcie w brzuch. Podnosi wzrok. Wygląda, jakby cierpiał bardziej, niż chciałabym mu pozwolić. - Kiedy o tym usłyszałem... Kiedy wszyscy o tym usłyszeliśmy... Cała szkoła... - To był wypadek - wykrztuszam. Rozpadam się. - On u--u-upadł... a ja próbowałam mu pomóc... i po prostu... nie pomyślałam... - Wiem.

- Słucham? - Tak gwałtownie nabieram powietrza, że jednym tchem połykam cały pokój.

- Wierzę ci - mówi.

- Co... dlaczego? - Mrugając, powstrzymuję łzy, ręce mi drżą, a serce wypełnia nerwowa nadzieja.

Przygryza dolną wargę. Odwraca wzrok. Podchodzi do ściany. Otwiera i zamyka usta kilka razy, nim padają z nich słowa.

- Bo cię znałem, Julio, ja... Boże... ja po prostu... - Zakrywa usta ręką, przesuwa ją po szyi. Pociera czoło, zamyka oczy, zaciska wargi. Otwiera je siłą.

- To było tego dnia, kiedy chciałem z tobą porozmawiać. - Dziwny uśmiech. Dziwny śmiech. Przeczesuje ręką włosy. Spogląda na sufit. Odwraca się do mnie tyłem. - Zamierzałem z tobą wreszcie porozmawiać. Zamierzałem z tobą wreszcie porozmawiać i... - Gwałtownie kręci głową, próbuje jeszcze raz się roześmiać. - Boże, ty mnie nie pamiętasz.

Mijają setki tysięcy sekund, a ja wciąż umieram. Chciałabym się śmiać, płakać, krzyczeć, biec, ale na nic nie mogę się zdecydować. Mówię prawdę.

- Oczywiście, że cię pamiętam - mówię zduszonym szeptem. Zaciskam powieki. ~~Myszę o tobie każdego dnia, zawsze, w każdej chwili swojego życia.~~ Byłeś jedyną osobą, która patrzyła na mnie jak na ludzką istotę.

Nigdy ze mną nie rozmawiał. Nigdy nie zamienił ze mną słowa, ale był jedyną osobą, która ośmielała się siadać w pobliżu mojego ogrodzenia. Tylko on stawał w mojej obronie, walczył po mojej stronie, tylko on uderzyłby pięścią w twarz każdego, kto by się ośmielił rzucić we mnie kamieniem. Nie wiedziałam, jak mogłabym mu podziękować.

Spośród wszystkich znanych mi osób on najbardziej przypominał przyjaciela.

Kiedy otwieram oczy, stoi tuż przede mną. Moje serce przypomina pole kwitnących pod szklaną szybą lilii łaknących świeżego powietrza. Na twarzy Adama widać napięcie, pięści ma zaciśnięte i naprężone mięśnie ramion.

- Od początku wiedziałaś? - 3 wyszeptane słowa zrywają tamę: otwierają mi usta, od nowa wykradają mi serce. Prawie nie czuję łez spływających mi po twarzy.

- Adam. - Próbuję się śmiać, ale z moich ust wydobywa się zdławiony szloch. - Rozpoznałabym twoje oczy zawsze i wszędzie.

To wszystko.

Tym razem nie ma już żadnej samokontroli.

Nagle jestem w jego ramionach. Drżąc, osuwam się na ścianę, a on dotyka mnie tak delikatnie, tak ostrożnie, jakbym była z porcelany.

Przesuwa dłonie po moim ciele, jego oczy śledzą moją twarz, ścigają się z jego sercem, a ja ścigam się na długim dystansie z własnymi myślami.

Wszystko stoi w ogniu. Moje policzki moje ręce mój żołądek. Tonę w falach uczuć, w strugach gwałtownego deszczu. Czuję wyłącznie siłę jego ciała. Nigdy przenigdy nigdy ~~nigdy~~ ~~nigdy~~ nie chcę zapomnieć tej chwili. Chcę odcisnąć Adama na swojej skórze i zachować na zawsze.

Bierze moje dłonie i przyciska je do swojej twarzy. Nigdy przedtem nie poczułam, jak pięknie jest być człowiekiem. Wciąż płaczę, kiedy zamykam trzepoczące powieki.

Wyszeptuję jego imię.

Jego oddech jest szybszy niż mój, jego usta nagle są na mojej szyi, dyszę, umieram wczepiona w jego ramiona, a on mnie dotyka ~~dotyka~~ ~~dotyka~~. Jestem grzmotem i błyskawicą. Wciąż się boję, że się obudzę.

Raz, dwa, sto razy jego usta smakują mój kark, a ja zastanawiam się, czy możliwa jest śmierć z zachwytu. Patrzy mi w oczy, ujmuje moją twarz w dłonie, a ja czerwienię się z rozkoszy, bólu i niedowierzania.

- Od tak dawna chciałem cię pocałować - jego zachrypnięty, łamiący się głos rozbrzmiewa głęboko w moim uchu.

Zastygam w oczekiwaniu, bojąc się, że mnie pocałuje, martwiąc się, że tego nie zrobi. Wpatruję się w jego usta, nie zdając sobie sprawy, jak jesteśmy blisko, dopóki nie zostajemy rozdzieleni. W pokoju rozlegają się trzy odległe elektroniczne piski. Adam wpatruje się w jakiś punkt za moimi plecami, jakby z początku nie mógł zrozumieć, gdzie jest. Mruga. I biegnie do interkomu, żeby wcisnąć odpowiednie guziki. Zauważam, że wciąż ciężko oddycha.

Drzę na całym ciele.

- Nazwisko i numer - domaga się głos z interkomu.

- Kent, Adam. **45B-86659**. Cisza.

- Żołnierzu, czy wiecie, że kamery w tym pokoju są nieaktywne?

- Tak jest. Otrzymałem bezpośredni rozkaz rozmontowania urządzeń.

- Kto wydał ten rozkaz?

- Warner. Dłuższa cisza.

- Zweryfikujemy i potwierdzimy. Manipulowanie przy urządzeniach monitorujących bez upoważnienia może skutkować waszym natychmiastowym karnym zwolnieniem, żołnierzu. Mam nadzieję, że jesteście tego świadomi.

- Tak jest. Zapada cisza.

Adam osuwa się na ścianę, pierś mu faluje. Nie mam pewności, ale mogłabym przysiąc, że jego usta drgają od ledwie dostrzegalnego uśmiechu. Zamyka oczy i wypuszcza powietrze.

Nie jestem pewna, co zrobić z ulgą, która spada mi na rękę.

- Chodź tutaj - mówi, wciąż z zamkniętymi oczami. Podchodzę na palcach, a on przyciąga mnie do siebie.

Wdycha zapach moich włosów i całuje mnie w głowę. Nigdy w życiu nie czułam niczego tak nieprawdopodobnego. Nie jestem już nawet człowiekiem. Jestem czymś o wiele więcej. Słońce i księżyc połączyły się w jedno, a ziemia stanęła na głowie. W jego ramionach czuję się tak, jakbym mogła być, kim zechcę.

Sprawia, że zapominam o tym, jaki koszmar potrafię spowodować.

- Julio - szepcze mi do ucha. - Musimy się stąd wydostać.

Znowu mam 14 lat, siedzę w niewielkiej klasie i widzę tył jego głowy. Mam 14 lat i od lat jestem zakochana w Adamie Kencie. Staralam się zachowywać nadzwyczaj ostrożnie, nadzwyczaj cicho, nadzwyczaj zgodnie. Nie chciałam znowu się przeprowadzać. Nie chciałam opuszczać szkoły, w której widywałam jedynego przyjaznego mi człowieka. Patrzyłam, jak każdego dnia odrobinę dorasta, każdego dnia jest trochę wyższy, trochę silniejszy, trochę bardziej nieugięty, trochę bardziej cichy. W końcu jest już za duży, żeby ojciec mógł go bić, ale nikt właściwie nie wie, co się dzieje z jego matką. Dzieci go unikają, dokuczają mu, aż zaczyna się bronić, aż łamie się pod naciskiem świata.

Ale jego oczy pozostają takie same.

Zawsze kiedy patrzy na mnie. Dobrze. Współczujące. Rozpaczliwie starające się zrozumieć. Ale nigdy nie zadaje pytań. Nigdy nie zmusza mnie, żebym powiedziała choćby słowo. Po prostu trzyma się wystarczająco blisko, żeby odstraszyć inne dzieci.

Myślałam, że może nie jestem taka zła. Może.

Że może coś we mnie widzi. Że może nie jestem taka straszna, jak wszyscy mówią. Nie dotknęłam nikogo od lat. Nie zbliżałam się do ludzi. Nie chciałam ryzykować.

Aż pewnego dnia to zrobiłam, zrujnowałam wszystko.

Zabiłam małego chłopczyka w sklepie spożywczym, kiedy chciałam pomóc mu wstać. Chwyciłam go za rączki. Nie rozumiałam, dlaczego krzyczał. Minęło tyle czasu, odkąd kogoś dotykałam. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Czasem, kiedy przypadkowo musnęłam czyjąś skórę, zawsze szybko cofałam dłoń. Zabierałam ją, kiedy tylko przypominałam sobie, że nie powinnam nikogo dotykać. Kiedy tylko pierwszy krzyk wymykał się z czyichś ust.

Z tym chłopczykiem było inaczej.

Chciałam mu pomóc. Poczulałam nagle wielką złość na jego matkę za to, że lekceważy jego płacz. Jej brak współczucia mnie załamał ~~za bardzo przypominał mi o mojej matce~~. Chciałam tylko mu pomóc. Chciałam, żeby wiedział, że ktoś jeszcze go słyszy - że ktoś się o niego troszczy. Nie rozumiałam, dlaczego dotknięcie go wywołuje u mnie takie dziwne, porywające uczucie. Nie wiedziałam, że wysysam z niego życie, nie mogłam pojąć, dlaczego stał się taki bezwładny i cichy w moich ramionach. Sądziłam, że może ten przypływ sił i przyjemność, którą odczuwam, oznaczają, że zostałam wyleczona ze swojej koszarnej choroby. Myślałam tyle głupich rzeczy. Wyrzuciłam tyle zła.

Myślałam, że pomagam.

Następne 3 lata swojego życia spędziłam w szpitalach, sądach i izbach zatrzymań dla młodocianych przestępców. Znosiłam leki i terapię elektrowstrząsami. Nic nie działało. Nic nie pomagało. Poza zabiciem mnie zamknięcie w zakładzie było jedynym rozwiązaniem. Jedynym sposobem, żeby chronić innych przed przerażającą Julią.

Zanim Adam Kent wszedł do mojej celi, nie widziałam go 3 lata.

Wygląda teraz inaczej. Jest twardszy, wyższy, silniejszy, bardziej gwałtowny, wytatuowany. Silny fizycznie, ale i dojrzały, cichy i szybki. Zupełnie jakby nie mógł sobie pozwolić na bycie miękkim, powolnym czy rozluźnionym. Na bycie czymś innym niż mięśnie, siła i sprawność. Rysy jego twarzy są gładkie, precyzyjne, wyrzeźbione przez lata trudnego życia, treningów i walki o przetrwanie.

Nie jest już małym chłopcem. Nie boi się. Jest w wojsku.

Ale też nie zmienił się bardzo. Wciąż ma najbardziej niezwykle błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Ciemne, głębokie i pełne pasji. Zawsze się zastanawiałam, jak to jest patrzeć przez tak piękne soczewki. Zastanawiałam się, czy nasz kolor oczu sprawia, że inaczej widzimy świat. Czy w konsekwencji świat inaczej widzi nas.

Powinno mi się była domyślić, że to on, kiedy pojawił się w mojej celi.

Jakaś część mnie wiedziała. Ale tak mocno starałam się wyprzeć wspomnienia, że nie chciałam w to wierzyć. Ponieważ część mnie chciała zapomnieć. Część mnie była zbyt przerażona, żeby mieć nadzieję. A część mnie nie wiedziała, czy to, że wiem, cokolwiek zmienia.

Często się zastanawiam, jak teraz wyglądam.

Czy jestem popękanym cieniem osoby, którą byłam kiedyś. Nie patrzyłam w lustro od 3 lat. Tak bardzo boję się tego, co mogłabym zobaczyć.

Ktoś puka do drzwi.

Zrywam się z miejsca. Wymieniamy spojrzenia. Adam otwiera drzwi, a ja wycofuję się do odległego kąta pokoju.

Nadstawiam uszu, ale słyszę tylko stłumione głosy i czyjeś pokasywanie. Nie jestem pewna, co robić.

- Zaraz będę na dole - mówi Adam trochę za głośno. Zdaję sobie sprawę, że chce zakończyć rozmowę.

- Facet, no weź, chciałem ją tylko zobaczyć...

- Ona nie jest jakimś cholernym widowiskiem, Kenji. Idź do diabła.

- Czekaj... Powiedz tylko: potrafi zapalić gówno spojrzeniem? - Kenji się śmieje, a ja kulę się na podłodze za łóżkiem. Zwijam się w kłębek i próbuję nie słuchać dalszego ciągu rozmowy.

Nie mam wyboru.

Adam wzdycha. Wyobrażam sobie, jak pociera czoło.

- Po prostu wyjdź.

Kenji próbuje stłumić śmiech.

- Cholera, aleś się zrobił wrażliwy. Pilnowanie tej dziewczyny cię zmienia, człowieku...

Adam mówi coś, czego nie słyszę. Drzwi się zamykają.

Wyglądam ze swojej kryjówki. Adam wydaje się zakłopotany.

Moje policzki różowieją. Studiuję splot włókien pięknego dywanu, który mam pod stopami. Dotykam tkaniny, którą jest obita ściana, i czekam, aż Adam coś powie. Podchodzę do małego kwadratowego okienka, ale napotykam tylko ponury horyzont zrujnowanego miasta. Opieram czoło o szybę.

W oddali widać stłoczone metalowe sześciany: bloki, w których cywile szukają schronienia przed zimnem, otulając się w kolejne warstwy ubrań. Matka prowadząca za rękę małe dziecko. Sylwetki żołnierzy rysujące się nad nimi

nieruchomo jak posągi, z bronią gotową do strzału. Sterty, sterty, sterty śmieci, połyskujące na ziemi niebezpieczne kawałki żelaza i stali. Samotne drzewa falujące na wietrze.

Ręce Adama obejmują mnie w talii.

Jego usta znajdują się tuż przy moim uchu, nie wypowiada ani słowa, a ja już topię się jak kawałek rozgrzanego masła i spływam po jego ciele. Chciałabym nasycić się każdą sekundą.

Pozwalam swoim oczom nie widzieć prawdy za oknem. Tylko na króciutką chwilę.

Adam bierze głęboki oddech i przyciąga mnie bliżej. Jestem dopasowana do kształtu jego sylwetki, jego ręce otaczają mnie w talii, a jego policzek jest przyciśnięty do mojej głowy.

- Cudownie jest cię dotykać.

Próbuję się roześmiać, ale mam wrażenie, że zapomniałam, jak to się robi.

- Nigdy nie sądziłam, że usłyszę te słowa.

Adam odwraca mnie twarzą do siebie, a ja patrzę i nie patrzę na jego twarz, liże mnie milion płomieni, kolejny milion połykam. On wpatruje się we mnie, jakby mnie nigdy wcześniej nie widział. Chciałabym obmyć swoją duszę w głębokim błękicie jego oczu.

Nachyla się, opiera czołem o moje czoło. Tylko nasze usta wciąż nie są dostatecznie blisko siebie. Szepcze:

- Jak się czujesz? - A ja chciałabym ucałować każde piękne uderzenie jego serca.

Jak się czujesz? 3 słowa, 1 pytanie, którego nikt nigdy mi nie zadał.

- Chcę się stąd wydostać - to wszystko, co mi przychodzi do głowy.

Przyciska mnie do piersi, a ja dziwię się mocy, wspaniałości, cudowi tak prostego ruchu. Adam jest jak ucieleśnienie siły.

Wszystkie motyle świata zamieszkały w moim żołądku.

- Julio.

Odsuwam się, żeby widzieć jego twarz.

- Jesteś pewna, że chcesz stąd uciec? - pyta. Głaszcząc mój policzek. Zakłada mi za ucho pasemko włosów. - Zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

Biorę głęboki oddech. Wiem, że jedyne prawdziwe ryzyko to śmierć. -Tak.

Kiwa głową. Spuszcza wzrok i ścisza głos.

- Trwa mobilizacja do jakiegoś ataku. Ostatnio było sporo protestów grup, które wcześniej się nie buntowały, a my mamy stłumić opór. Myślę, że Warner chce, żeby ten atak był ich ostatnim - mówi cicho. - Szykuje się coś większego, ale nie wiem co. Jeszcze nie. Cokolwiek by to było, musimy być gotowi, kiedy oni będą.

Zastygam.

- Co masz na myśli?

- Kiedy oddziały przygotowują się do wymarszu, ty i ja powinniśmy być gotowi do ucieczki. Dzięki temu uda nam się zniknąć w porę. Wszyscy będą skupieni na ataku, a my zyskamy na czasie. Trochę potrwa, zanim zauważą, że nas nie ma, zanim zbiorą wystarczająco dużo ludzi, żeby nas szukać.

- Ale... czy jesteś pewien... że chcesz uciekać ze mną...? Chcesz to dla mnie zrobić?

Uśmiecha się ledwie dostrzegalnie. Rozbawiony. Usta mu drgają, jakby starał się nie roześmiać. Jego oczy łagodnieją, kiedy wpatruje się w moje.

- Naprawdę niewiele jest rzeczy, których bym dla ciebie nie zrobił.

Oddycham głęboko i zamykam oczy, dotykając palcami jego piersi. Wyobrażam sobie ptaka, który frunie po jego skórze, i zadaję mu pytanie, którego najbardziej boję się zadać.

- Dlaczego?

- Co: dlaczego? - Cofa się o krok.

- Dlaczego? Dlaczego ja cię obchodzę? Dlaczego chcesz mi pomóc? Nie rozumiem... nie wiem, dlaczego miałbyś ryzykować życie...

Adam przytrzymuje mnie w talii, przyciąga do siebie, aż jego usta znajdują się tuż przy moim uchu. Wymawia moje imię - raz, drugi. Nie miałam pojęcia, że tak niewiele trzeba, żeby rozpalić ogień. Czuję na skórze jego uśmiech.

- Nie wiesz?

Nie wiem nic, powiedziałabym mu, gdybym była w stanie przemówić.

Odsuwa się od mnie ze śmiechem. Bierze moją dłoń i przygląda się jej.

- Pamiętasz w czwartej klasie - mówi - kiedy Molly Carter za późno zapisała się na wycieczkę? Wszystkie miejsca były zajęte, a ona stała obok autobusu i płakała, bo chciała jechać?

Nie czeka na moją odpowiedź.

- Pamiętam, jak wysiadłaś z autobusu. Oddałaś jej swoje miejsce, a ona nawet ci nie podziękowała. Patrzyłem, jak stoisz na chodniku, kiedy odjeżdżaliśmy.

Już nie oddycham.

- A pamiętasz w piątej klasie? Ten tydzień, kiedy rodzice Dany o mało się nie rozstali? Codziennie przychodziła do szkoły bez śniadania. Ty oddawałaś jej swoje - milknie. -A ona po tygodniu znowu udawała, że nie istniejesz.

Wciąż nie oddycham.

- W siódmej klasie Shelly Morrison została przyłapana na ściąganiu na teście z matematyki. Krzyczała, że jeśli nie zda, ojciec ją zabije. Powiedziałaś nauczycielce, że to ty ściągałaś od niej. Dostałaś zero punktów i przez tydzień musiałaś zostawać po lekcjach. - Podnosi głowę, ale nie patrzy dla mnie.
- Miałaś potem siniaki na rękach jeszcze przynajmniej przez miesiąc. Zawsze się zastanawiałem, skąd się wzięły.

Moje serce bije za szybko. Niebezpiecznie szybko. Zaciskam pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk. Zagryzam wargi i ocieram twarz z emocji, ale nie potrafię uciszyć dudnienia w piersi, bez względu na to, jak bardzo się staram.

- Milion razy - mówi, a jego głos jest teraz bardzo cichy -milion razy widziałem, jak robisz takie rzeczy. Ale nigdy nie odezwałaś się ani słowem, chyba że byłaś do tego zmuszona. - Znowu się śmieje, tym razem głośnym, ciężkim śmiechem. Wpatruje się w jakiś punkt dokładnie za moim ramieniem. - Nigdy nikogo o nic nie prosiłaś. - Wreszcie napotyka mój wzrok. - Ale nikt nigdy nie dał ci szansy.

W trudem przetykam ślinę, próbuję odwrócić twarz, ale on ujmuje ją w dłonie. Szepcze:

- Nie masz pojęcia, ile o tobie myślałem. Ile razy marzyłem... - Bierze oddech. - Ile razy marzyłem o tym, żeby być tak blisko ciebie jak teraz. - Odsuwa się, żeby zmierzwić ręką włosy, ale się rozmyśla. Spuszcza wzrok. Podnosi wzrok. -Boże, Julio, poszedłbym za tobą wszędzie. Tylko ty na tym świecie jesteś dobra.

Błagam samą siebie, żeby nie wybuchnąć płaczem, ale nie wiem, czy to się uda. Czuję się rozbita i posklejana zarazem, czerwienię się i nie mogę znaleźć sił, żeby spojrzeć mu w oczy.

Jego palce odnajdują mój podbródek. Unosi mi głowę.

- Mamy najwyżej trzy tygodnie - mówi cicho. - Nie sądzę, żeby byli w stanie dłużej panować nad rozruchami.

Kiwam głową. Mrugam. Opieram twarz o jego pierś i udaję, że nie płaczę.

3 tygodnie.

Mijają 2 tygodnie.

2 tygodnie pryszniców i sukienek. Jedzenia, które mam ochotę zwymiotować na środek pokoju. 2 tygodnie Warnera uśmiechającego się i dotykającego mojej talii, popychającego ze śmiechem moje plecy, upewniającego się, że wyglądam najlepiej, jak mogę, kiedy idę obok niego. Uważa mnie za swoje trofeum. Swoją tajną broń.

Muszę tłumić chęć przejechania jego pięścią po betonowej ścianie.

Ale dam mu te 2 tygodnie, bo za 1 tydzień już mnie tu nie będzie.

Mam nadzieję.

I wtedy odkrywam, że nie nienawidzę Warnera tak bardzo, jak dotychczas myślałam. Jest mi go żal.

Znajduje w moim towarzystwie dziwny rodzaj pociechy, sądzi, że mogłabym znaleźć z nim wspólny język, zrozumieć jego pokręcone poglądy, jego trudne dzieciństwo z nieobecnym, a jednocześnie wymagającym ojcem.

Ale nigdy, ani słowem, nie wspomina o swojej matce.

Adam mówi, że nic nie wiadomo o matce Warnera - że nigdy się o niej nie mówiło i nikt nie ma pojęcia, kim ona jest. Podobno Warner był wychowywany twardą ręką, w dodatku kieruje nim zimne, wykalkulowane pragnienie władzy. Nienawidzi szczęśliwych dzieci, szczęśliwych rodziców i ich szczęśliwego życia.

Warner myśli, że rozumiem. Że rozumiem jego.

I rozumiem. I nie rozumiem.

Bo nie jesteśmy tacy sami.

Ja chcę być lepsza.

Adam i ja spędzamy razem mało czasu, nie licząc nocy. A nawet wtedy wciąż niewiele. Warner obserwuje mnie każdego dnia uważniej, po usunięciu kamer stał się bardziej podejrzliwy. Zawsze wchodzi do mojego pokoju znienacka, zabiera mnie na niepotrzebne spacerunki po budynku, mówi wyłącznie o swoich planach i o planach przygotowania kolejnych planów, i o tym, jak razem podbijemy świat. Nie udaję, że mnie to obchodzi.

Może to ja wszystko utrudniam.

- Nie mogę uwierzyć, że Warner naprawdę zgodził się pozbyć kamer - powiedział Adam któreś nocy.

- Jest szalony. Nie myśli racjonalnie. Jest chory, nigdy tego nie zrozumie.

Adam westchnął.

- Ma obsesję na twoim punkcie.

- Co takiego? - Zrywając się, omal nie łamię sobie karku.

- Mówi tylko o tobie. - Adam przez chwilę milczy, zaciskając zęby. - Słyszałem opowieści na twój temat, jeszcze zanim tu trafiłaś. To dlatego się zaangażowałem, dlatego

zgłosiłem się, żeby cię przywieźć. Warner spędził kilka miesięcy na zbieraniu danych: adresów, dokumentacji medycznej, informacji o twoim życiu osobistym, stosunkach rodzinnych, dokumentów takich jak świadectwo urodzenia, wyników badania krwi. Cała armia mówiła o jego nowym pomysle: każdy wiedział, że szuka dziewczyny, która zabiła małego chłopca w sklepie spożywczym. Dziewczyny o imieniu Julia.

Wstrzymuję oddech.

Adam kręci głową.

- Wiedziałem, że to ty. To musiałaś być ty. Zapytałem Warnera, czy mogę pomóc. Powiedziałem mu, że chodziłem z tobą do szkoły, że słyszałem o tym chłopcu, że znałem cię. - Zaśmiał się nienaturalnie. - Warner był zafascynowany. Uznał, że dzięki temu eksperyment będzie bardziej interesujący - mówi zniesmaczony. - A ja wiedziałem, że jeżeli on chce mieć do ciebie prawo, jak do jakiegoś chorego przedsięwzięcia... - zawahał się. Odwrócił wzrok. Zmierzył ręką włosy. - Po prostu wiedziałem, że muszę coś zrobić. Myślałem, że mógłbym spróbować pomóc. Ale teraz jest coraz gorzej. Warner nie przestaje mówić o twoich zdolnościach albo o tym, jak wartościowa jesteś dla jego planów i jaki jest podekscytowany, że ma cię tutaj. Wszyscy zaczęli to zauważać. Warner jest bezwzględny, nie ma litości dla nikogo. Kocha władzę, dreszczyk, który odczuwa, niszcząc ludzi. Jednak zaczyna się załamywać. Tak rozpaczliwie chce, żebyś... dołączyła do niego. Ale mimo wszystkich swoich gróźb nie chce cię do tego zmuszać. Chce, żebyś sama tego chciała. Żebyś w jakiś sposób wybrała jego. - Spuszcza wzrok, oddycha ciężko. - Traci wigor. I gdziekolwiek widzę jego twarz, zawsze jestem o krok od zrobienia czegoś głupiego. Z przyjemnością złamałbym mu szczękę.

Tak. Warner traci wigor.

Cierpi na paranoję, chociaż nie bez powodu. Jeśli chodzi o mnie, jest cierpliwą niecierpliwością. Spokojnym podnieceniem. Jest jak chodzący oksymoron.

Zgodził się na usunięcie kamer, ale w niektóre noce każe Adamowi spać pod moimi drzwiami, żeby się upewnić, że nie ucieknę. Mówi, że mogę zjeść lunch sama, ale zawsze potem wzywa mnie do siebie. Wykrada nam tych niewiele godzin, jakie Adam i ja moglibyśmy mieć dla siebie, ale noce, w które Adamowi wolno pozostać w moim pokoju, spędzam wtulona w jego ramiona.

Oboje śpimy teraz na podłodze, owinięci w siebie nawzajem, żeby się ogrzać nawet wtedy, kiedy okrywa nas koc. Każdy dotyk Adama jest jak wybuch pożaru albo iskra, która w niepojęty sposób zapala moje ciało. Chciałabym móc zamknąć w dłoni to uczucie i zatrzymać na zawsze.

Adam mówi mi o ostatnich wydarzeniach, o pogłoskach krążących wśród żołnierzy. O ośrodkach władzy rozproszonych w różnych miejscach tego, co zostało z naszego kraju. O tym, jak ojciec Warnera radzi sobie na Kapitolu, że przekazał synowi władzę nad całym naszym sektorem. Mówi, że Warner nienawidzi ojca, ale kocha władzę. Zniszczenie. Spustoszenie. Adam głaszcze mnie po włosach, opowiada kolejne historie, przyciągając mnie tak blisko, jakby się bał, że zniknę. Maluje obrazy ludzi i miejsc, dopóki nie zasnę, odurzona narkozą snu, uciekając ze świata, w którym nie ma ulgi, z którego nie ma ucieczki ani uwolnienia, poza ukojeniem, jakie niesie jego szept. Sen to jedyne, na co czekam ostatnimi czasy. Prawie nie pamiętam, dlaczego kiedyś krzyczałam.

Zaczynam tracić czujność i dlatego ogarnia mnie panika.

- Włóż to - mówi Warner.

Śniadanie w niebieskim pokoju stało się rutyną. Jem i nie pytam, skąd pochodzi jedzenie, czy pracownikom zapłacono za ich pracę ani jak to się dzieje, że ten budynek podtrzymuje życie tylu osób, pompuje tyle wody, zużywa tyle elektryczności. Czekam cierpliwie na właściwy moment. Współpracuję.

Warner nie poprosił mnie ponownie, żebym go dotknęła, a ja mu tego nie proponuję.

- Po co? - Przyglądam się skrawkom materiału w jego ręce i czuję nerwowe klucie w żołądku.

Uśmiecha się powoli, chytrze.

- Test kwalifikacji. - Chwyta mój nadgarstek i wkłada mi do ręki kawałek materiału. - Odwróć się, tym razem.

Jestem tak zdenerwowana, że zapominam, jak bardzo się nim brzydzę.

Ręce mi się trzęsą, kiedy przebieram się w strój złożony ze skąpej koszulki bez rękawów i jeszcze bardziej skąpych szortów. Jestem niemal naga. Bliska konwulsji z przerażenia, zastanawiam się, co to może oznaczać. Odchrząkuję ledwie zauważalnie, a Warner się obraca.

Długo się nie odzywa, jego oczy są pochłonięte analizowaniem mapy mojego ciała. Mam ochotę podrzeć dywan i przyśzyć go sobie do skóry. Uśmiecha się i podaje mi rękę.

Jestem granitem, wapieniem, przydymionym szkłem. Nie ruszam się.

Opuszcza rękę. Przekrzywia głowę.

- Chodź za mną.

Warner otwiera drzwi. Na zewnątrz stoi Adam. Tak się wyćwiczył w maskowaniu emocji, że prawie nie zauważam szoku, który maluje się na jego twarzy. Nie zdradza go nic poza lekkim zmarszczeniem czoła, napięciem skroni. Wie, że coś jest nie tak. Ogląda się za mną. Mruga.

- Proszę pana?

- Zostań tutaj, żołnierzu. Dalej sobie poradzę. Adam nie odpowiada nie odpowiada nie odpowiada.

- Tak jest - mówi zachrypniętym głosem. Idąc korytarzem, czuję na sobie jego wzrok.

Warner zabiera mnie w jakieś nowe miejsce. Idziemy korytarzami, których nigdy nie widziałam, coraz czarniejszymi i bardziej ponurymi. Zdaję sobie sprawę, że kierujemy się w dół.

Do podziemi.

Przechodzimy przez pierwsze, drugie, czwarte metalowe drzwi. Wszędzie żołnierze, wszędzie ich wzrok, którym lustrują mnie z mieszaniną strachu i czegoś jeszcze, nad czym wolałabym się nie zastanawiać. Zdaję sobie sprawę, że w budynku jest bardzo mało kobiet.

Jeśli gdzieś istniałoby miejsce, w którym można byłoby się cieszyć z bycia niedotykalnym, to właśnie tutaj.

Polujący wzrok setek samotnych mężczyzn to jedyny powód, dla którego wolę szpital psychiatryczny od tego miejsca. To także jedyny powód, dla którego Adam może ze mną zostać - ponieważ Warner traktuje go jak tekturowy kontur albo maszynę oliwioną przez rozkazy i polecenia. Myśli, że Adam jest śladem mojej przeszłości, a on może to wykorzystać, żebym czuła się źle. Nie przyszłoby mu do głowy, że Adam mógłby tknąć mnie palcem.

Nikomu by nie przyszło. Każdy napotkany przeze mnie człowiek jest sparaliżowany strachem.

Otoczająca nas ciemność jest jak podziurawione tępym nożem czarne płótno z prześwitującymi przez nie promieniami światła. Za bardzo przypomina moją dawną celę. Skóra mi cierpi od niekontrolowanego przerażenia.

Otoczają mnie karabiny.

- Wchodź do środka - mówi Warner.

Zostaję wepchnięta do pustego pomieszczenia, w którym unosi się zapach pleśni. Ktoś uderza w przełącznik. Błyskające fluorescencyjne lampy oświetlają ziemisto-żółte ściany i dywan koloru martwej trawy. Drzwi się za mną zatrzasują.

W pokoju nie ma nic poza pajęczynami i ogromnym lustrem. Lustro zajmuje połowę ściany. Instykt mi podpowiada, że Warner i jego wspólnicy mnie obserwują. Tylko nie wiem dlaczego.

Otaczają mnie tajemnice.

Bezskutecznie szukam odpowiedzi.

Mechaniczne brzęknięcia/trzaski/skrzypnięcia wstrząsają przestrzenią, w której się znalazłam. Podłoga ożywa. Sufit dudni zapowiedzią chaosu. Nagle zewsząd wysuwają się rozproszone po pokoju metalowe szpikulce, które dziurawią każdą powierzchnię na wszystkich możliwych wysokościach. Co kilka sekund znikają, potem pojawiają się ponownie i z przerażającym szarpnięciem wbijają się w powietrze.

Zdaję sobie sprawę, że znajduję się w izbie tortur.

Rozlegają się trzaski i sprzężenie z ozywającymi głośnikami starszych niż moje umierające serce. Jestem koniem wyścigowym galopującym w stronę fałszywej linii mety, dyszącym ciężko dla cudzego zysku.

- Jesteś gotowa? - wzmocniony głos Warnera niesie się echem po pomieszczeniu.

- Do czego mam być gotowa!? - krzyczę w pustą przestrzeń, pewna, że ktoś mnie słyszy. Jestem spokojna. Jestem spokojna. Jestem spokojna. Zastygam z przerażenia.

- Zawarliśmy układ, pamiętasz? - odpowiada pokój.

- Ja...

- Wymontowałem twoje kamery. Teraz pora, żebyś się wywiązała ze swojej części umowy.

- Nie dotknę cię! - odpowiadam, obracając się w miejscu. Boję się, że zaraz zemdleję z przerażenia.

- W porządku - mówi. - Wysyłam kogoś w zastępstwie.
Drzwi otwierają się ze zgrzytem i do środka chwiejnym

krokiem wchodzi dziecko, które dopiero co nauczyło się chodzić. Ma zawiązane oczy, drży z przerażenia. Jego szloch miesza się z czkawką.

Całe moje istnienie jest jak dmuchany balonik w jednej chwili przebity igłą.

- Jeśli ty go nie uratujesz - słowa Warnera trzeszczą po pokoju - my też tego nie zrobimy.

To dziecko.

Musi mieć przecież matkę ojca kogoś kto je kocha to dziecko to dziecko to dziecko które z przerażeniem stawia kolejne kroki. W każdej sekundzie może zostać przebite stalowym stalagmitem.

Ocalenie go jest proste: muszę je podnieść, znaleźć bezpieczny fragment podłogi i przytrzymać je w ramionach do końca eksperymentu.

Jest tylko jeden problem.

Jeżeli go dotknę, może umrzeć.

Warner wie, że nie mam wyboru. Chce siłą doprowadzić do sytuacji, w której będzie mógł zobaczyć działanie moich zdolności. Torturowanie przy tym niewinnego dziecka to dla niego żaden kłopot. Musi dostać to, czego chce.

W tym momencie nie mam wyjścia.

Muszę zaryzykować, zanim ten chłopczyk zrobi krok w niewłaściwym kierunku.

Szybko zapamiętuję jak najwięcej z układu pułapek. Robię unik, skokiem omijam szpikulce, aby znaleźć się jak najbliżej.

Biorę głęboki oddech i skupiam się na drżących rączkach i nóżkach dziecka. Modlę się, żeby Bóg pomógł mi podjąć właściwą decyzję. Właśnie mam ściągnąć koszulkę, żeby użyć jej jako bariery pomiędzy nami, kiedy wyczuwam drżenie podłogi. Wibracje, które poprzedzają koszmar. Wiem, że zostało pół sekundy do chwili, gdy igły przetną powietrze i jeszcze mniej czasu na reakcję.

Chwytam dziecko w ramiona.

Jego krzyki przeszywają mnie jak strzały z pistoletu, co sekundę jeden pocisk. Chłopczyk drapie moje ramiona i klatkę

piersiową, kopie mnie z całej siły, krzycząc w męczarniach, aż całkowicie paraliżuje go ból. Słabnie w moim uścisku, a ja się czuję tak, jakby rozrywano mnie na kawałki. Moje ciało rozpada się na części - oczy, kości, żyły. Wspomnienie towarzyszącego temu podniecenia do końca życia będzie dla mnie torturą, pamiątką koszmaru, za który jestem odpowiedzialna.

Ból i moc uchodzą z ciała dziecka w moje, wstrząsając nim i uderzając we mnie, aż ledwie udaje mi się go nie upuścić. ~~To jak przeżywanie od nowa horroru, który próbowałam zapomnieć przez 3 lata.~~

- Absolutnie zadziwiające - wzdycha Warner przez głośniki, a ja zdaję sobie sprawę, że miałam rację. Musi mnie obserwować przez lustro weneckie. - Genialnie, kochanie. Jestem pod wrażeniem.

Jestem zbyt zrozpaczona, żeby skupić się teraz na Warnerze. Nie mam pojęcia, jak długo ta chora zabawa ma trwać, i muszę zmniejszyć powierzchnię skóry, którą dotykam ciała tego chłopczyka.

Teraz rozumiem, skąd ten kusy strój.

Przesuwam dziecko i udaje mi się złapać je za pieluszkę. Trzymam je w górze jedną ręką. Jestem wystarczająco zdesperowana, aby wierzyć, że nie zdążyłam go jeszcze poważnie skrzywdzić.

Wydaje z siebie pojedyncze czknięcie i z drzeniem powraca do życia.

Mogłabym płakać ze szczęścia.

Ale wtedy znowu rozlega się krzyk, tym razem nie bólu, tylko przerażenia. Malec rozpaczliwie próbuje się wyrwać, a ja nie mogę go utrzymać, nadgarstek pęka mi z wysiłku. Nie ośmielam się zdjąć mu z oczu opaski. Wolałabym umrzeć, niż pozwolić mu zobaczyć to miejsce, zobaczyć moją twarz.

Zaciskam szczęki tak mocno, że jestem bliska połamania sobie zębów. Jeśli go postawię, zacznie biec. A jeśli zacznie biec, będzie po nim. Muszę go utrzymać.

Stary, mechanicznie świszczący oddech sprawia, że moje serce na nowo zaczyna bić. Szpikulce z powrotem wślizgują się w podłogę, jeden po drugim, aż wszystkie znikają. Pokój tak szybko staje się bezpieczny, że mogłabym uznać zagrożenie za produkt swojej własnej wyobraźni. Opuszczam chłopczyka z powrotem na podłogę i zagryzam wargi, przełykając ból wzbierający w moim nadgarstku.

Dziecko zaczyna biec, ale już po chwili przypadkiem wpada na moje gołe nogi.

Krzyczy i drży, a potem upada na podłogę i zwija się w kłębek, szlochając, aż zaczynam myśleć o samobójstwie, o pozbyciu się siebie z tego świata. Łzy szybko płyną mi po twarzy, nie pragnę niczego innego, niż wyciągnąć do niego rękę i mu pomóc, przytulić go, ucałować jego śliczną buzię i powiedzieć, że już zawsze będę się nim opiekowała, że uciekniemy razem, że będę się z nim bawiła, czytała mu na dobranoc. Choć wiem, że nie mogę. Wiem, że nigdy nie będę mogła. Nigdy nie będzie to możliwe.

Nagle świat traci ostrość.

Ogarnia mnie furia, siła, gniew tak potężny, że zdolny niemal unieść mnie ponad ziemię. Gotuje się we mnie ślepa nienawiść i obrzydzenie. Nie wiem, jak to się dzieje, że chwilę później poruszają się moje stopy. Nie rozumiem własnych rąk ani tego, jak to się dzieje, że lecę w stronę lustra z wysuniętymi przed siebie rozczapierzonymi palcami. Wiem tylko, że chcę poczuć, jak kręgosłup Warnera pęka mi w dłoniach. Chcę, żeby doświadczył takiego samego strachu, jaki właśnie wywołał u tego dziecka. Chcę patrzeć, jak umiera. Jak błaga o litość.

Przebijam się przez betonowe ściany.

Kruszę w **10** palcach szkło.

W jednej dłoni ściskam gruz, a w drugiej materiał ubrania na karku Warnera. W moją głowę jest wycelowanych **50** luf. Powietrze jest ciężkie od cementu i siarki, odłamki szkła spadają w pełnej udręki symfonii rozbitych serc.

Ciskam Warnera na zniszczone kamienie.

- Nie ważcie się jej zastrzelić - świszczę Warner do strażników.

Nie dotknęłam jeszcze jego skóry, za to mam przedziwne wrażenie, że mogłabym wgnieść mu klatkę piersiową w serce, gdybym tylko trochę ją przycisnęła.

- Powinnam cię zabić - mówię na jednym głębokim wdechu i jednym niekontrolowanym wydechu.

- Ty... - Próbuje przełknąć ślinę. - Właśnie... przebiłaś się przez beton. Gołymi rękami. Tak po prostu.

Mrugam. Nie mam odwagi obejrzeć się za siebie. Ale i bez tego wiem, że nie kłamie. Tak właśnie musiało być. Mój umysł jest labiryntem możliwości.

Na jedną chwilę tracę ostrość.

Karabiny

klik

klik

klik

Każda chwila jest naładowana.

- Jeśli któryś zrobi jej krzywdę, osobiście was powystrzelam - warczy Warner.

- Ale...

- ODSUNAĆ SIĘ, ŻOŁNIERZU...

Furia minęła. Minął nagły niekontrolowany gniew. Mój umysł już się poddał niedowierzaniu. Dezorientacji. Nie wiem, co zrobiłam. Jest coraz bardziej jasne, że nie wiem, do czego jestem zdolna, nie miałam pojęcia, jakie potrafię spowodować zniszczenia, i nagle ogarnia mnie strach ~~strach~~

~~strach~~ przed własnymi dłońmi. Zataczam się oszołomiona i zauważam, że Warner obserwuje mnie wzrokiem pełnym pożądania i przejęcia, jego szmaragdowe oczy błyszczą chłopięcą fascynacją. Po prostu drży z podniecenia.

W gardle mam węza, którego nie mogę przełknąć. Napotykam spojrzenie Warnera.

- Jeżeli jeszcze raz postawisz mnie w takiej sytuacji, z ab i j ę c i ę. I sprawi mi to przyjemność.

Nawet nie wiem, czy kłamię.

Adam znajduje mnie zwiniętą w kłębek pod prysznicem.

Płacę już tak długo, że ociekam chyba wyłącznie łzami. Ubranie przykleiło mi się do skóry, mokre i bezużyteczne. Chciałabym je z siebie zmyć. Marzę o tym, żeby utonąć w nieświadomości. Być tępą, nierozumną, niemą. Nie mieć mózgu. Chciałabym poodcinać sobie kończyny. Pozbyć się tej skóry, która może zabijać, rąk, które niszczą, i ciała, którego nawet nie rozumiem.

Wszystko się rozpada.

- Julio... - Adam przyciska dłoń do szkła. Ledwie go słyszę. Nie odpowiadam, więc otwiera drzwi kabiny. Opryskują go zbuntowane krople. Kopniakami zrzuca buty, a potem osuwa się na wykafelkowaną posadzkę. Wyciąga rękę, żeby dotknąć moich ramion, a ja przez to jeszcze bardziej pragnę śmierci. Wzdycha i podnosi mnie z podłogi. Jego ręce zamykają moją twarz w pułapce, jego oczy czegoś na niej szukają, przeszukują mnie, dopóki nie odwracam wzroku.

- Wiem, co się stało - mówi cicho.

Moje gardło zamienia się w gada o ciele pokrytym łuską.

- Ktoś powinien mnie po prostu zabić - chrypię. Mam wrażenie, że pękam z każdym słowem.

Ramiona Adama owijają się wokół mnie, ciągną mnie w górę. Chwieję się na nogach, aż w końcu oboje stoimy prosto. On wchodzi pod prysznic i zasuwają za sobą drzwi.

Oddycham ciężko.

Opiera mnie o ścianę. Nie widzę nic poza jego białym mokrym podkoszulkiem, nic poza wodą tańczącą po jego twarzy, nic poza oczami pełnymi światła, którego tak bardzo chciałam być częścią.

- To nie była twoja wina - szepcze. - Tym właśnie jestem - wykrztuszam.

- Nie. Warner myli się co do ciebie - mówi Adam. - Chce, żebyś była kimś, kim nie jesteś, a ty nie możesz pozwolić mu się złamać. Nie pozwól mu się dostać do swojej głowy. On chce, żebyś myślała, że jesteś potworem, że jedyne twoje wyjście to przyłączyć się do niego. Żebyś myślała, że nigdy nie będziesz mogła żyć normalnie.

- Ale ja nie będę mogła żyć normalnie - przełykam czkawkę. - Nig-gdy nie...

Adam kręci głową.

- Będziesz. Wydostaniemy się stąd. Nie pozwolę, żeby spotykały cię takie rzeczy.

- Jak możesz się troszczyć o kogoś... kogoś takiego jak ja? - Ledwie oddycham, wstrząśnięta i przerażona, a jednak wpatruję się w jego usta, studiując ich kształt, licząc krople wody skapujące z pagórków i dolin jego warg.

- Bo jestem w tobie zakochany.

Przełykam własny żołądek. Oczy otwierają mi się szeroko, żeby czytać z jego twarzy, ale ogarnia mnie chaos elektryczności, odgłosy życia i światło błyskawic, fale gorąca i zimna, moje serce bije nierówno. Drzę w jego ramionach, a moje wargi same się rozchylają.

Jego usta miękną w uśmiechu. Nagle znikają moje kości. Wiruję w szaleństwie.

Jego nos dotyka mojego nosa, jeden oddech dzieli jego usta od moich, jego oczy mnie pożerają, tracę czucie w rękach i nogach, zamieniam się w kałużę. Czuję jego zapach i każdy punkt jego ciała przyciśnięty do mojego. Jego ręce opierają się na mojej talii, trzymają moje biodra, jego nogi opierają się o moje, jego pierś obezwładnia mnie swoją siłą, jego ciało jest murem pożądania. Smak jego słów osiada na moich ustach.

- Naprawdę...? - Pozostaje mi tylko szept niedowierzania, krótki świadomy wysiłek, aby uwierzyć w coś, co nigdy nie było możliwe. Spływam przez swoje własne stopy. To, co mnie przepełnia, jest niewypowiedziane.

Jego oczy są tak przepełnione uczuciem, że omal nie pękam na pół.

- Boże, Julio... I całuje mnie.

Raz, drugi, aż zaczynam czuć smak jego ust i zdaję sobie sprawę, że nigdy nie będę go miała dość. On jest wszędzie - na moich plecach, wokół ramion, zaczyna całować mnie mocniej, głębiej, z coraz bardziej gorączkowym, nagłym pragnieniem, którego dotąd nie znałam. Przerzywa, żeby zaczerpnąć tchu, a potem zanurza usta w mojej szyi, wędruje wzdłuż obojczyka, w górę po mojej brodzie i policzkach. Dyszę z braku tlenu a on niszczy mnie swoimi dłońmi jesteśmy nasiąknięci wodą pięknem i euforią chwili o której nie ośmielałam się nawet marzyć.

Odsuwa się z cichym pomrukiem, a ja chcę, żeby zdjął koszulkę.

Muszę zobaczyć rysunek ptaka. Muszę mu powiedzieć o ptaku.

Moje palce ciągną za brzeg jego mokrego ubrania. Na sekundę rozszerzają mu się oczy, a potem zdziera z siebie

T-shirt. Chwyta moje ręce, unosi je w górę i przyciska do ściany. Całuje mnie, aż nabieram pewności, że śnię, spija moje usta swoimi, smakuje deszczem i słodkim piżmem, a ja jestem o krok od eksplozji.

Moje kolana stukają o siebie, a serce bije mi tak szybko, że nie rozumiem, jak to możliwe, że wciąż jeszcze pracuje. Adam scałowuje mój ból, cierpienie, lata nienawiści do siebie samej, poczucie zagubienia, zniweczone nadzieje na przyszłość, która w mojej wyobraźni zawsze była niewyraźna i niepełna. Ogień, który we mnie wznieca, wypala udrękę gierk Warnera i cierpienie zatruwające każdy mój dzień. Siła naszych ciał mogłaby rozsadzić te szklane ścianki.

Prawie rozsadza.

Przez chwilę patrzymy tylko na siebie, oddychając ciężko, aż ja oblewam się rumieńcem, a on zamyka oczy i nabiera powietrza, żeby się uspokoić. Kładę rękę na jego piersi. Przesuwam palcami po konturze ptaka wzbijającego się do lotu na jego skórze, a potem po całym brzuchu Adama.

- Jesteś moim ptakiem - mówię. - Jesteś ptakiem i pomożesz mi odlecieć.

Kiedy wychodzę spod prysznic, Adama już nie ma.

Wykręcił mokre ubrania, wytarł się i ofiarował mi odrobinę prywatności, żebym mogła się przebrać, choć nie jestem pewna, czy w ogóle potrzebuję jeszcze prywatności. Dotykam ust 2 palcami. Wszędzie czuję jego smak.

Ale kiedy wchodzę do pokoju, nigdzie go nie ma. Poszedł zameldować się na dole.

Patrzę na ubrania w mojej szafie.

Zawsze wybieram sukienki z kieszeniami, w których trzymam swój notatnik. Wprawdzie nie zawiera żadnych

obciążających informacji, a jedyny kawałek papieru, na którym widniało pismo Adama, został zniszczony i zniknął w toalecie, ale lubię mieć notatnik przy sobie. Znaczy dla mnie o wiele więcej niż trochę nabazgranych słów. To niewielki symbol mojego oporu.

Wpycham notes do kieszeni i uznaję, że w końcu jestem gotowa stanąć twarzą w twarz z samą sobą. Biorę głęboki oddech, odgarniam mokre pasma włosów i idę do łazienki. Lustro jest zasnuwane parą. Wyciągam nieśmiało rękę, żeby przetrzeć małe kółko. Tylko tyle, ile trzeba.

Spoglądają na mnie przerażone oczy.

Dotykam policzków i studiuje powierzchnię lustra, obraz dziewczyny jednocześnie obcej i znajomej. Moja twarz jest szczuplejsza i bledsza, a kości policzkowe bardziej wydatne, niż je zapamiętałam, brwi osadzone ponad 2 szeroko otwartych oczu, ani niebieskich, ani zielonych, może coś między jednym a drugim. Moją skórę zalewa gorąco i coś o imieniu Adam. Moje usta są nienaturalnie różowe. Zęby niezwykle proste. Mój palec śledzi krawędź nosa i przesuwają się po linii podbródka, kiedy kątem oka dostrzegam ruch.

- Jesteś taka piękna - mówi do mnie.

Robię się jednocześnie różowa, czerwona i ceglasta. Pochyliłam głowę i odchodzę od lustra, a on porywa mnie w ramiona.

- Nie pamiętałam swojej twarzy - szepczę.

- Nie zapomnij tylko, kim jesteś - mówi.

- Nawet tego nie wiem.

- Owszem, wiesz. - Unosi moją głowę. - Ja wiem.

Przyglądam się silnym konturom jego szczęki, oczom, całemu ciału. Próbuję zrozumieć jego wiarę w kogoś, za kogo mnie uważa, i zdaję sobie sprawę, że tylko wypowiedane przez niego zapewnienia powstrzymują mnie przed pograżeniem

się w szaleństwie. Zawsze we mnie wierzył. Bezgłośnie, milcząco walczył po mojej stronie. Zawsze.

Jest moim jedynym przyjacielem.

Biorę jego rękę i unoszę ją do ust.

- Kocham cię od zawsze - mówię.

Wschodzi słońce. Chwilę odpoczywa, a potem oświetla mu twarz. On uśmiecha się ledwie zauważalnie, mrużąc oczy. Widać, jak rozluźniają się jego mięśnie, ramiona odnajdują ulgę w wadze tego nowego cudu. Wypuszcza powietrze. Dotyka mojego policzka, moich ust, koniuszka mojej brody. Mrugam, a on mnie całuje, przyciąga mnie do siebie, unosi w powietrze i nagle lądujemy na łóżku zaplątani w siebie nawzajem. Czuję się odurzona emocjami, każdą chwilą czułości. Jego palce muskają moje ramię, wędrują w dół, opierają się na moich biodrach. Przyciąga mnie bliżej, szepcze moje imię, upuszcza pocałunki na mojej szyi i szamocze się ze sztywnym materiałem sukienki. Jego ręce nieznacznie drżą, oczy są pełne uczucia, serce łomocze mu bólem i tkliwością, a ja chciałabym spędzić tutaj, w jego ramionach, w jego oczach resztę swojego życia.

Wsuwam ręce pod jego koszulkę, a on tłumi jęk, zamieniając go w pocałunek, w którym jest całe pożądanie, pragnienie tak rozpaczliwe, że staje się bardziej dotkliwe niż tortury. Jego ciężar przywiera do mnie, naciska od góry nieskończoną ilość receptorów zakończeń nerwowych w moim ciele jego prawa dłoń na moim karku lewa dłoń mnie przyciąga jego usta opadają na moją sukienkę nie rozumiem po co mi w ogóle jakieś ubranie jestem cumulonimbusem grzmiotem błyskawicą groźbą lecz którymi mogę wybuchnąć w pierwszym niesprzyjającym momencie. Szczęście ~~szezęcie~~ ~~szezęcie~~ bije w mojej piersi.

Zapomniałam, co to znaczy oddychać.

Nigdy nigdy nigdy
nie dowiedziałam się, co znaczy czuć.
Ścianami wstrząsa dźwięk alarmu.

Pokój ożywa piskiem i rykiem, Adam sztywnieje, odsuwa się, jego twarz się zapada.

- KOD SIEDEM. Wszyscy żołnierze natychmiast zameldować się w Kwadrancie. KOD SIEDEM. Wszyscy żołnierze natychmiast zameldować się w Kwadrancie. KOD SIEDEM. Wszyscy żołnierze natychmiast zameldować się w Kwadra...

Adam już się zerwał na nogi, pomaga mi wstać, a głos wciąż wykrzykuje rozkazy przez oplatający budynek system głośników.

- Jezu. Przecież nie mogę cię tu zostawić...

- Idź - mówię. - Musisz iść... Nic mi nie będzie...

Za ścianami grzmia kroki. Adam wciąż jest na służbie. Musi wypełniać obowiązki. Musi zachowywać pozory, dopóki nie będziemy mogli stąd zniknąć. Rozumiem to.

Przyciąga mnie do siebie.

- To nie są żarty, Julio... Nie wiem, co się dzieje... To może oznaczać wszystko...

Kliknięcie metalu. Tyknięcie mechanicznego przełącznika. Drzwi się rozsuwają, a Adam i ja odskakujemy od siebie na odległość 3 metrów. Adam rusza do wyjścia dokładnie

w chwili, gdy Warner wchodzi do środka. Obaj zastygają w bezruchu.

- Jestem pewien, że ten alarm słyhać od co najmniej minuty, żołnierzu.

- Tak jest. Nie byłem pewien, co mam zrobić z nią. - Jest już doskonale opanowany, zamienił się w posąg. Kiwa głową w moją stronę, jakby przypomniiał sobie o mnie przed samym wyjściem, ale ja poznaję po ruchach jego ramion, że jest odrobinę zbyt spięty. Oddycha trochę za szybko.

- Masz szczęście, jestem tu właśnie po to, żeby się tym zająć. Możesz się zameldować swojemu przełożonemu.

- Tak jest - Adam kiwa głową, obraca się na pięcie i jak strzała wypada przez drzwi. Mam nadzieję, że Warner nie dostrzegł jego wahania.

Warner odwraca się twarzą do mnie z uśmiechem tak spokojnym i swobodnym, że zaczynam wątpić, czy budynek jest rzeczywiście pogrążony w chaosie. Studiuję moją twarz. Moje włosy. Zerka na zmiętą pościel za moimi plecami, a ja czuję się tak, jakbym połknęła pająka.

- Zdrzemnęłaś się?

- Nie mogłam spać w nocy.

- Podarłaś sobie sukienkę.

- Po co przyszedłeś? - Muszę coś zrobić, żeby przestał mi się przyglądać, muszę go powstrzymać od chłonięcia szczegółów mojego istnienia.

- Jeśli jakaś sukienka ci się nie podoba, możesz włożyć inną. Sam je dla ciebie wybierałem.

- W porządku. Sukienka jest w porządku. - Zerkam na zegar właściwie bez powodu. Jest już **16.30**. - Czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Jest za blisko. Stoi zbyt blisko i patrzy na mnie, a moje płuca nie chcą się rozszerzyć.

- Naprawdę powinnaś się przebrać.

- Nie chcę się przebierać. - Nie wiem, dlaczego jestem taka zdenerwowana. Dlaczego on mnie tak denerwuje. Dlaczego odległość między nami tak szybko się zmniejsza.

Zahacza palcem o rozdarcie w obniżonej talii mojej sukienki, a ja powstrzymuję krzyk.

- Tak po prostu nie może zostać.

- Nie przeszkadza mi...

Szarpie tak mocno, że rozrywa materiał, tworząc z boku rozcięcie.

- Teraz trochę lepiej.

- Co robisz? - Jego ręce wiją się po mojej talii i zaciskają na moich ramionach. Wiem, że muszę się bronić, ale stoję jak wryta, chcę krzyczeć, ale głos mi się łamie ~~łamie~~ ~~łamie~~. Zamieniam się w strzęp rozpaczliwego oddechu.

- Mam pytanie - mówi. Usiłuję go kopnąć, lecz on tylko przyciska mnie do ściany całym swoim ciężarem i przytrzymuje mnie w miejscu. Każdy centymetr ciała ma zakryty ubraniem, tworzącym warstwę ochronną między nami. - Powiedziałem, że mam pytanie, Julio.

Jego ręka tak szybko wślizguje się do mojej kieszeni, że dopiero po chwili dociera do mnie, co zrobił. Oddycham ciężko przyparta do muru, drżąc i próbując pozbierać myśli.

- Ciekaw jestem - mówi - co to jest? W 2 palcach trzyma mój notatnik.

O Boże.

Ta sukienka jest zbyt obcisła, żeby ukryć zarys notatnika, a ja byłam zbyt zajęta przyglądaniem się swojej twarzy, żeby sprawdzić to w lustrze. ~~To wszystko moja wina moja wina~~ ~~moja wina moja wina~~ Nie mogę w to uwierzyć. To wszystko moja wina. Powinnam była to zauważyć.

Nie odpowiadam.

Przekrzywia głowę.

- Nie pamiętam, żebym dał ci notatnik. Zdecydowanie nie pamiętam również, żebym pozwolił ci posiadać cokolwiek na własność.

- Przyniosłam go z sobą. - Głos mi się łamie.

- Kłamiesz.

- Czego ode mnie chcesz? - Wpadam w panikę.

- To głupie pytanie, Julio.

Cichy dźwięk przesuwającego się gładkiego metalu. Ktoś otworzył drzwi. Kliknięcie.

- Zabieraj od niej swoje łapska, bo wpakuję ci kulkę w łeb.

Oczy Warnera bardzo powoli się zamykają. Bardzo powoli robi krok do tyłu. Jego usta wykrzywia niebezpieczny uśmiech.

- Kent.

Ręce Adama są spokojne, lufa pistoletu przystawiona od tyłu do głowy Warnera.

- A teraz umożliwisz nam wyjście stąd.

Warner już otwarcie się śmieje. Otwiera oczy i błyskawicznie wyciąga pistolet z wewnętrznej kieszeni marynarki, a potem kieruje go prosto w moje czoło.

- Zaraz ją zabiję.

- Nie jesteś taki głupi - mówi Adam.

- Jeżeli drgnie choćby o milimetr, zabiję ją. A potem rozerwę cię na strzępy.

Adam błyskawicznie uderza Warnera w głowę kolbą pistoletu. Broń Warnera nie wypala, a Adam łapie go za ramię i wykręca mu nadgarstek. Jego chwyt słabnie. Zabieram pistolet z bezwładnej dłoni Warnera i uderzam go kolbą w twarz. Szokują mnie własne odruchy. Nigdy wcześniej nie miałam

w ręce broni, ale chyba zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Celuję Warnerowi między oczy.

- Nie lekceważ mnie.

- W mordę... - Adam nie próbuje ukryć zaskoczenia. Warner krztusi się ze śmiechu. Odzyskuje równowagę i próbuje się uśmiechnąć, ocierając krwawiący nos.

- Nigdy cię nie lekceważę - mówi. - Nigdy.

Adam kręci głową przez ułamek sekundy i uśmiecha się do mnie promiennie, mocniej przyciskając pistolet do czaszki Warnera.

- Wynośmy się stąd.

Chwytam dwa worki marynarskie schowane w szafie i rzucam jeden Adamowi. Jesteśmy spakowani już od tygodnia. Jeśli chce uciekać teraz, ja nie mam nic przeciwko.

Warner ma szczęście, że okazujemy mu litość.

A my mamy szczęście, że cały budynek został ewakuowany. Nie został nikt, na kogo mógłby liczyć.

Warner odchrząkuje. Kiedy mówi, patrzy prosto na mnie.

- Mogę cię zapewnić, żołnierzu, że twój triumf będzie krótkotrwały. Równie dobrze możesz mnie teraz zabić, bo kiedy cię znajdę, będę się rozkoszował miażdżeniem ci kości. Po kawałku. Jesteś głupcem, jeżeli myślisz, że ujdzie ci to płazem.

- Nie jestem twoim żołnierzem - mówi Adam z kamienną twarzą. - Nigdy nie byłem. Byłeś tak pochłonięty własnymi fantazjami, że nie zauważyłeś niebezpieczeństwa pod swoim własnym nosem.

- Jeszcze nie możemy cię zabić - dodaję. - Musisz nas stąd wyciągnąć.

- Popelniasz wielki błąd, Julio - mówi. Jego głos mięknie. - Niszczysz swoją przyszłość - wzdycha. - Skąd wiesz, że możesz mu zaufać?

Zerkam na Adama. Adama, chłopca, który zawsze mnie bronił, nawet wtedy, kiedy nic z tego nie miał. Kręcę głową. Przypominam sobie, że Warner jest kłamcą. Szaleńcem. Psychotycznym mordercą. Nigdy by mi nie pomógł.

Chyba.

- Chodźmy, póki nie jest za późno - mówię do Adama. -Gra na zwłokę, liczy na to, że wrócą żołnierze.

- Nawet go nie obchodzisz! - wybucha Warner. Wzdrygam się, słysząc nagle niekontrolowane emocje w jego głosie. - On cię wykorzystuje, żeby się stąd wydostać! - Robi krok do przodu. - Mógłbym cię kochać, Julio... Traktowałbym cię jak królową...

Adam błyskawicznie go obezwładnia i przystawia pistolet do jego skroni.

- Najwyraźniej nie rozumiesz, co tu się dzieje - mówi bardzo powoli.

- Oświeć mnie, żołnierzu - charczy Warner. Jego oczy są niebezpieczne jak roztańczone płomienie. - Powiedz mi, czegoż to nie rozumiem.

- Adam - kręcę głową. Patrzy mi w oczy. Kiwa głową.

- Wykonaj telefon - mówi do Warnera, trochę mocniej ściskając jego szyję. - Wypuść nas stąd, natychmiast.

- Ona stąd wyjdzie tylko po moim trupie. - Warner porusza szczęką i spluwa krwią na podłogę. - Ciebie zabiłbym dla przyjemności - mówi do Adama. - Ale chcę mieć Julię. Na zawsze.

- Możesz sobie chcieć. Nie jestem twoją własnością. -Oddycham ciężko. Chciałabym już się stąd wydostać. Jego gadanie doprowadza mnie do furii, ale chociaż tak chciałabym rozwalić mu nos, wiem, że nieprzytomny na nic nam się nie przyda.

- Mogłabyś mnie pokochać - uśmiecha się jakoś dziwnie. - Nikt by nas nie powstrzymał. Zmienilibyśmy świat. Mógłbym cię uszczęśliwić - mówi do mnie.

Adam wygląda tak, jakby zamierzał skrócić Warnerowi kark. Jego twarz jest pełna napięcia i złości. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam.

- Nie masz jej nic do zaoferowania, chory draniu. Warner na sekundę zaciska powieki.

- Julio. Nie postępuj pochopnie. Nie podejmuj nierozważnych decyzji. Zostań ze mną. Będę cierpliwy. Dam ci czas na przystosowanie. Będę się tobą opiekował...

- Jesteś szalony. - Ręce mi drżą, ale znowu celuję w jego twarz. Muszę go wyrzucić ze swojej głowy. Muszę pamiętać, co mi zrobił. - Chcesz, żebym dla ciebie zamieniła się w p o t w o r a...

- Chcę, żebyś mogła wykorzystać swój potencjał!

- Pozwól mi odejść - mówię cicho. - Nie chcę być twoim monstrem. Nie chcę krzywdzić ludzi.

- Świat skrzywdził ciebie - ripostuje. - Świat sprawił, że się tu znalazłaś. Jesteś tutaj przez nich. Myślisz, że jeśli stąd odejdiesz, oni cię zaakceptują? Myślisz, że możesz uciec i żyć normalnym życiem? Nikt się o ciebie nie zatroszczy. Nikt się do ciebie nie zbliży... Będiesz wyrzutkiem, którym zawsze byłaś! Nic się nie zmieniło! Twoje miejsce jest przy mnie!

- Jej miejsce jest przy mnie. - Głos Adama mógłby przeciąć stal.

Warner się wzdyga. Po raz pierwszy wygląda tak, jakby zrozumiał to, co według mnie było oczywiste. Jego oczy są szeroko otwarte, przerażone, pełne niedowierzania. Wpatruje się we mnie z jakimś nowym wyrazem cierpienia na twarzy.

- Nie. - Krótki, szaleńczy śmiech. - Julio. Proszę. Proszę. Nie mów mi tylko, że nabił ci głowę romantycznymi bredniami. Proszę, nie mów mi, że nabrałaś się na jego fałszywe deklaracje...

Adam uderza kolanem w kręgosłup Warnera. Rozlega się głuchy trzask i Warner upada na podłogę, gwałtownie nabierając powietrza. Adam całkowicie go obezwładnił. Chyba powinienam wiwatować.

Ale jestem zbyt zdenerwowana, pełna niedowierzania, zagrożona, żeby mieć pewność co do własnych decyzji. Muszę się pozbierać.

- Adam...

- Kocham cię - mówi. Jego oczy są tak samo poważne, jak je zapamiętałam, słowa tak żarliwe, jak powinny być. - Nie pozwól, żeby zamącił ci w głowie...

- Kochasz ją? - wyrzuca z siebie Warner. - Nawet nie...

- Adam. - Pokój na przemian traci i odzyskuje ostrość. Patrzę w okno. Znowu zerkam na niego.

Jego oczy prawie dotykają brwi.

- Chcesz wyskoczyć? Kiwam głową.

- Jesteśmy na piętnastym piętrze...

- Jakie mamy wyjście, jeżeli on nie będzie współpracował? - Patrzę na Warnera. Przekrzywiam głowę. - Nie ma żadnego Kodu Siedem, prawda?

Usta Warnera się wykrzywiają. Nie odpowiada.

- Po co to robisz? - pytam go. - Po co ci fałszywy alarm?

- Dlaczego nie zapytasz tego żołnierza, na którym nagle tak bardzo ci zależy? - odwarkuje Warner z obrzydzeniem.

-Dlaczego nie zapytasz samej siebie, czemu powierzasz życie komuś, kto nie potrafi nawet odróżnić prawdziwego zagrożenia od fikcyjnego?

Adam przeklina pod nosem.

Patrzę mu w oczy, a on rzuca mi swój pistolet.

Kręci głową. Znowu przeklina. Zaciska i rozluźnia pięść.

- To były tylko ćwiczenia - mówi. Warner zaczyna się śmiać.

Adam patrzy na drzwi, na zegar, na moją twarz.

- Mamy mało czasu.

Trzymam pistolet Warnera w lewej ręce, a pistolet Adama w prawej, oba wycelowane w czoło Warnera. Robię, co mogę, żeby zignorować spojrzenie, którym mnie przewierca. Adam wolną ręką szuka czegoś w kieszeniach. Wyciąga plastikowe zaciski, kopie Warnera w plecy, a potem związuje mu ręce i nogi. Buty i rękawiczki Warnera leżą na podłodze. Adam trzyma stopę na jego brzuchu.

- Kiedy wyskoczymy oknem, rozlegną się kolejne alarmy - mówi Adam. - Będziemy musieli uciekać, nie możemy ryzykować połamania nóg. Zapomnij o skakaniu.

- Więc co zrobimy?

Przesuwa ręką po karku, przygryza wargę. Przez jedną szaloną chwilę pragnę tylko jednego: posmakować go. Zmuszam się, żeby na nowo zebrać myśli.

- Mam linę - mówi. - Musimy się po niej opuścić. I to szybko.

Wyciąga zwój liny z małą kotwicą na końcu przypominającą pazur. Miliony razy pytałam go, do czego, u licha, mu to potrzebne, po co to pakuje do swojego worka. Odpowiedział, że dobrej liny nigdy za dużo. Teraz prawie mam ochotę się roześmiać.

Odwraca się w moją stronę.

- Zejdę pierwszy, żeby cię złapać na dole... Warner śmieje się głośno, za głośno.

- Nie możesz jej złapać, głupcze. - Wije się w swoich plastikowych pętach. - Ma na sobie tyle co nic. Zabije cię i sama się zabije, spadając!

Moje oczy miotają się między Warnerem i Adamem. Nie mam już czasu, żeby dalej bawić się z Warnerem w szarady. Podejmuję pośpieszną decyzję.

- W porządku. Zejdę zaraz za tobą. Warner patrzy oszalały, zdezorientowany.

- Co ty robisz? Ignoruję go.

- Poczekaj... Ignoruję go.

- Julio. Ignoruję go.

- Julio! - jego głos jest coraz bardziej nerwowy, coraz wyższy, podszyty gniewem, strachem, poczuciem zdrady. Dociera do niego prawda, nowy element w jego skołowanym umyśle. - On może cię dotknąć?

Adam owija rękę w prześcieradło.

- Do diabła, Julio, odpowiedz mi! - Warner zwija się na podłodze. Jest bardziej szalony, niż sądziłam. Patrzy dzikim wzrokiem, pełnym niedowierzania i przerażenia. - Czy on cię dotknął?

Nie rozumiem, dlaczego ściany nagle są na suficie. Wszystko się przewraca.

- Julio...

Adam rozbija szybę jednym solidnym ciosem, z jednym krótkim brzękiem i w tej samej chwili pokój ogarnia histeryczne wycie alarmu, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam. Podłoga dudni mi pod stopami, na korytarzach grzmia kroki i wiem, że za minutę wszystko się wyda.

Adam wyrzuca linę przez okno i przewiesza sobie worek na plecach.

- Rzuć mi swój worek! - krzyczy.

Ledwie go słyszę. Rzucam swój worek, on go łapie i natychmiast wyślizguje się oknem. Biegnę za nim.

Warner próbuje złapać mnie za nogę.

Prawie się przewracam, ale potykając się, dobiegam do okna, nie tracąc zbyt wiele czasu. Zerkam na podłogę i czuję, jak serce galopuje po całym moim ciele. Kroki i wrzaski żołnierzy stają się coraz głośniejsze, bliższe i z każdą sekundą wyraźniejsze.

- Szybciej! - krzyczy Adam.

- Julio, proszę!...

Warner znowu zamierza się na moją nogę, a ja dyszę tak głośno, że prawie to słyszę przez odgłos syren rozsadzających mi bębenki w uszach. ~~Nie spojrzę na niego. Nie spojrzę na niego. Nie spojrzę na niego.~~

Przerzucam jedną nogę przez okno i uczepiam się liny. Z moimi gołymi nogami to będzie prawdziwy horror. Obie nogi na zewnątrz. Ręce na linie. Adam woła mnie z dołu, ale nie widzę, gdzie jest. Warner wrzeszczy moje imię. Mimo nadludzkich wysiłków oglądam się.

Jego oczy są jak dwa zielone wystrzelone przez szybę pociski. Wbijają się we mnie.

Biorę głęboki oddech i mam nadzieję, że nie zginę.

Biorę głęboki oddech i powolutku zsuwam się w dół.

Biorę głęboki oddech i liczę na to, że Warner nie zauważy, co się przed chwilą zdarzyło.

Mam nadzieję, że nie zdaje sobie sprawy, że właśnie dotknął mojej nogi.

I nic się nie stało.

Płonę.

Lina ociera mi skórę, zamieniając moje nogi w ognistą masę, tak bolesną, że dziwi mnie brak dymu. Wytrzymuję ból, bo nie mam wyjścia. Tumult w budynku taranuje moje zmysły, jest jak deszcz niebezpieczeństw wokół nas. Adam krzyczy z dołu, żebym skakała, obiecuje, że mnie złapie. Za bardzo się wstydzę przyznać, że się boję.

Nie jest mi dane podjąć decyzji samodzielnie.

Żołnierze już wlewają się do mojego dawnego pokoju, krzyczą zdezorientowani i prawdopodobnie zszokowani znalezieniem Warnera w takim położeniu. Dziwnie łatwo pozwolił się obezwładnić. To podejrzane.

Mam przez to wrażenie, że coś zrobiliśmy nie tak.

Kilku żołnierzy wystawia głowy przez rozbite okno, a ja bardzo chciałabym zjechać w dół, ale oni już szarpią kotwicę. Przygotowuję się właśnie na przyprawiające o mdłości uczucie swobodnego spadania, kiedy zdaję sobie sprawę, że oni nie próbują mnie zrzucić. Chcą wciągnąć mnie z powrotem.

Widocznie Warner wydaje im rozkazy.

Zerkam na Adama w dole i wreszcie robię to, o co prosi. Zaciskam powieki i lecę.

I spadam prosto w jego ramiona.

Przewracamy się na ziemię, upadek zapiera nam dech, ale tylko na chwilę. Adam chwyta mnie za rękę i uciekamy.

Przed nami nie ma nic, rozciąga się tylko pusta, jałowa przestrzeń. Popękany asfalt, nierówny chodnik, nieutwardzona droga, nagie drzewa, umierające rośliny i pożółkłe miasto porzucone na pastwę żywiołów, tonące w martwych liściach, które kruszą się pod naszymi stopami. Bloki dla cywilów, małe i przysadziste, stoją ściśnięte razem bez określonego porządku. Adam robi wszystko, żeby trzymać się od nich jak najdalej. Głośniki już pracują przeciwko nam. Młody, mechanicznie wygładzony kobiecy głos zagłusza syreny.

- Zarządza się godzinę policyjną. Wszyscy do domów. Rebelianci na wolności. Są uzbrojeni i gotowi do użycia broni. Zarządza się godzinę policyjną. Wszyscy do domów. Rebelianci na wolności. Są uzbrojeni i gotowi do użycia...

Łapie mnie kolka, mam napiętą skórę, suche gardło rozpaczliwie potrzebuje wody. Nie wiem, ile udało nam się przebiec. Wiem tylko, że słyszę odgłos butów na chodniku, pisk opon pojazdów ruszających z podziemnych parkingów, zawodzenie syren.

Oglądam się i widzę ludzi biegnących z krzykiem, aby się schronić, umykających przed żołnierzami. Żołnierze walą do drzwi, wpadają do domów, żeby sprawdzić, czy znaleźliśmy w nich schronienie. Adam odciąga mnie od cywilizacji i kieruje się w stronę opustoszałych ulic minionej dekady: starych sklepów i restauracji, wąskich zaułków i pustych placów zabaw. Wstęp na ziemię nieuregulowane, tereny naszego dawnego życia, jest surowo wzbroniony. To zakazane terytorium. Wszystko jest pozamykane. Rozbite, zardzewiałe, zamknięte

na cztery spusty, wymarłe. Nikomu nie wolno tu wchodzić. Nawet żołnierzom.

A my pędzimy tymi ulicami, starając się zgubić pogoń.

Słońce zsuwa się po niebie w stronę krańca ziemi. Niedługo zapadnie noc, a ja nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Nie spodziewałam się, że tak wiele wydarzy się w tak krótkim czasie, i nie spodziewałam się, że to wszystko stanie się jednego dnia. Mogę tylko mieć nadzieję, że przeżyjemy, ale nie mam zielonego pojęcia, dokąd moglibyśmy się udać. Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać Adama, gdzie możemy się schronić.

Kluczemy po mieście. Skręcamy gwałtownie, biegniemy kilka metrów przed siebie, aby potem skręcić w uliczkę, która prowadzi nas z powrotem. Przychodzi mi do głowy, że Adam stara się zmylić i/lub odwrócić uwagę pogoni, na ile się da. Mogę jedynie próbować dotrzymać mu kroku.

Ale nie udaje mi się.

Adam jest wyszkolonym żołnierzem. Przygotowanym na takie właśnie sytuacje. Wie, którądy uciekać, jak pozostać niewidocznym, jak przemieszczać się bezgłośnie w każdym terenie. Za to ja jestem zaniedbaną dziewczyną, odwykłą od wysiłku fizycznego. Moje płuca nie mogą podolać wdychaniu tlenu, ze świstem wydycham dwutlenek węgla.

W końcu zaczynam dyszeć tak rozpaczliwie, że Adam przystaje i wciąga mnie w boczną uliczkę. Oddycha trochę szybciej niż zwykle, podczas gdy ja całkowicie straciłam już kontrolę nad swoim słabym ciałem.

Adam bierze w dłonie moją twarz, chce, żebym na niego popatrzyła.

- Chcę, żebyś oddychała tak jak ja. Świszczę trochę bardziej.

- Skup się, Julio. - W jego oczach widać stanowczość. Nieskończoną cierpliwość. Patrzy bez lęku, a ja zazdroszczę

mu opanowania. - Uspokój serce - mówi. - Oddychaj dokładnie tak jak ja.

Bierze 3 małe oddechy, zatrzymuje powietrze na kilka sekund i wypuszcza je w jednym długim wydechu. Próbuje go naśladować. Nie idzie mi najlepiej.

- Dobrze. Chcę, żebyś oddychała w ten... - przerywa. Rzuca szybkie spojrzenie w głąb opuszczonej ulicy. Wiem, że musimy uciekać.

Strzały wstrząsają powietrzem. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak głośny jest huk broni palnej albo po prostu jak ostry to dźwięk. Teraz przeszywa każdy skrawek mojego ciała. Lodowate zimno przesącza mi się do krwi, kiedy myślę o tym, że nie próbują zabić mnie. Chcą zabić Adama.

Zaczyna mnie dławić nowy rodzaj strachu. Nie mogę pozwolić im go skrzywdzić.

Nie z mojego powodu.

Ale Adam nie może czekać, aż złapię oddech i pozbieram myśli. Podnosi mnie i rzuca się na ukos w kolejną uliczkę ze mną w ramionach.

Biegniemy.

Oddycham.

On krzyczy:

- Złap mnie za szyję! - Puszcza T-shirt, który zaciskałam mu wokół szyi. Jestem tak głupia, że czuję onieśmienie, kiedy go obejmuję. Poprawia chwyt, unosi mnie wyżej, przyciskając do swojej piersi. Niesie mnie tak, jakbym nic nie ważyła.

Zamykam oczy i opieram policzek na jego szyi.

Strzały rozlegają się gdzieś za nami, ale nawet ja potrafię ocenić po ich dźwięku, że są daleko i że się oddalają. Wygląda na to, że chwilowo ich zgubiliśmy. Nie mogą nas ścigać samochodami, bo Adam unika głównych ulic. Sprawia wrażenie,

jakby miał w głowie plan miasta. Jakby dokładnie wiedział, co robi, jakby planował to od bardzo dawna.

Dokładnie 594 wdechy później Adam stawia mnie na ziemi przed ogrodzeniem z drucianej siatki. Zdaję sobie sprawę, że oddycha z trudem, ale nie dyszy tak jak ja. Potrafi regulować oddech. Potrafi uspokoić puls, bicie serca, utrzymać kontrolę nad swoim ciałem. Wie, jak przeżyć. Mam nadzieję, że mnie też tego nauczy.

- Julio - mówi po chwili bez tchu. - Dasz radę przejść przez ten płot?

Tak bardzo bym chciała, żeby był ze mnie jakiś pożytek, że właściwie biegiem rzucam się na metalową siatkę. Jestem nieracjonalna. Działam pochopnie. Do reszty drę sukienkę i odrapuję sobie nogi. Krzywię się z piekącego bólu. Kiedy otwieram oczy, Adam stoi już obok mnie.

Patrzy na moje nogi i wzdycha. Prawie się śmieje. Zastanawiam się, jak muszę wyglądać, dzika i obszarpana, w strzępach sukienki. Rozcięcie, które zrobił Warner, teraz kończy się na mojej kości biodrowej. Prawdopodobnie przypominam wściekłe zwierzę. Adamowi raczej to nie przeszkadza.

Zwolnił tempo. Posuwamy się teraz szybkim krokiem, ale już nie pędzimy ulicami. Najwyraźniej zbliżamy się do jakiegoś miejsca, które może nam zapewnić namiastkę bezpieczeństwa, ale nie jestem pewna, czy to odpowiedni moment na zadawanie pytań. Adam odpowiada, jakby czytał w moich myślach.

- Tutaj nie będą mnie mogli wyśledzić - mówi, a do mnie dociera, że żołnierze muszą nosić z sobą rodzaj urządzeń rejestrujących ich położenie. Zastanawiam się, dlaczego ja czegoś takiego nie mam.

To dziwne, że tak łatwo było uciec.

- Nasze nadajniki nie są urządzeniami mechanicznymi - wyjaśnia. Skręcamy w lewo w kolejną uliczkę. Słońce właśnie

chowa się za horyzont. Zastanawiam się, gdzie jesteśmy. Jak daleko musimy być od Odnowionych osiedli, że nie ma tutaj ludzi. - To specjalny rodzaj surowicy, który wstrzykują do krwiobiegu żołnierza - ciągnie. - Surowica bierze udział w procesach zachodzących w ludzkim organizmie. Dzięki niej dowiedzieliby się na przykład o mojej śmierci. To doskonały sposób, żeby namierzyć żołnierzy zaginionych w czasie bitwy. - Zerka na mnie kątem oka. Uśmiecha się jednym kącikiem ust, który natychmiast mam ochotę pocałować.

- Więc jak unieszkodliwiłeś swój nadajnik?

Jego usta rozciągają się teraz w pełnym uśmiechu. Wskazuje ręką dokoła.

- Tu, gdzie stoimy, kiedyś była elektrownia atomowa. Pewnego dnia wszystko wybuchło.

Moje oczy robią się wielkie jak cała moja twarz.

- Kiedy to się stało?

- Jakieś pięć lat temu. Szybko tu posprzątali. Ukryli to przed mediami, przed ludźmi. Nikt właściwie nie wie, co tu się stało. Ale natężenie promieniowania jest wystarczające, żeby zabić - milknie. - Zdarzyły się już ofiary śmiertelne.

Zatrzymuje się.

- A ja byłem tutaj już z milion razy i nic mi nie jest. Warner wysyłał mnie po próbki gleby z miejsca katastrofy. Chciał zbadać jej skutki. - Przeczesuje ręką włosy. - Myślę, że planował wykorzystać promieniowanie do produkcji jakiejś trucizny. Za pierwszym razem, kiedy się tu znalazłem, Warner myślał, że nie żyję. Surowica jest powiązana z wszystkimi głównymi układami organizmu. Kiedy żołnierz ginie, w bazie odbierają sygnał alarmowy. Warner wiedział, że wysyłanie mnie tutaj jest ryzykowne, więc nie sądzę, żeby się zdziwił, kiedy usłyszał, że nie żyję. Bardziej był zaskoczony, kiedy wróciłem. - Wzrusza ramionami, jakby jego śmierć była nieistotnym szczegółem. - Jest w tutejszym skażeniu coś, co

neutralizuje strukturę molekularną układu naprowadzającego. Zasadniczo w tej chwili wszyscy myślą, że nie żyję.

- Czy Warner nie będzie podejrzewał, że jesteś tutaj?

- Być może. - Mruży oczy w blednącym świetle słońca. Nasze cienie są długie i nieruchome. - Ale mogłem też przecież zostać zastrzelony. W każdym razie powinniśmy zyskać trochę czasu.

Bierze mnie za rękę i śmieje się do mnie, kiedy nagle coś do mnie dociera.

- A co ze mną? - pytam. - Czy to promieniowanie nie może mnie zabić? - Mam nadzieję, że w moim głosie nie słyhać strachu, który mnie ogarnął. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciałam żyć. Nie mogę tak szybko wszystkiego stracić.

- Och... nie - kręci głową. - Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć... Jeden z powodów, dla których Warner chciał, żebym zbierał te próbki, był taki, że ty jesteś odporna na promieniowanie. Powiedział, że znalazł tę informację w twoich kartotekach szpitalnych. Że potwierdziły to wyniki badań...

- Ale nikt nigdy...

- ... przeprowadzonych prawdopodobnie bez twojej wiedzy. Mówił, że mimo pozytywnych testów na promieniowanie w sensie biologicznym jesteś zdrowa. Nie cierpisz na żadne wrodzone choroby.

Nie cierpisz na żadne wrodzone choroby. To stwierdzenie jest tak uderzająco nieprawdziwe, że zaczynam się śmiać. Próbuję opanować swoje niedowierzenie.

- Nie mam żadnej wrodzonej choroby? Żartujesz, prawda?

Adam przygląda mi się tak długo, że zaczynam się czerwienić. Unosi mi brodę, aż napotykam jego spojrzenie. Błękitne błękitne błękitne przenikliwe spojrzenie. Jego głos jest głęboki, spokojny.

- Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś się śmiała.

Nie da się ukryć, że ma rację, ale nie wiem, jak zareagować. Mogę być tylko szczerą. Moje usta układają się w linię prostą.

- Śmiech jest oznaką życia. - Wzruszam ramionami, starając się, żeby to brzmiało obojętnie. - Do tej pory tak naprawdę nie żyłam.

Nie przestaje przypatrywać mi się w skupieniu. Przyciąga mnie tą swoją potężną siłą pochodzącą gdzieś z jego wnętrza. Prawie odczuwam bicie jego serca na swojej skórze. Jego oddech we własnych płucach. Jego smak na języku.

Nabiera powietrza i przyciąga mnie bliżej. Całuje czubek mojej głowy.

- Chodźmy do domu - szepcze.

Dom. Dom.

Co ma na myśli?

Otwieram usta, żeby zadać to pytanie, ale już wiem, że jedyną odpowiedzią pozostanie jego przebiegły uśmiech. Jestem zmieszana, podekscytowana, zdenerwowana i nie mogę się doczekać. Mój żołądek wypełnia dudnienie w bębny zsynchronizowane z biciem serca. Mam wrażenie, że słyszę brzęczenie impulsów nerwowych w swoim ciele.

Każdy krok oddala mnie od szpitala psychiatrycznego, od Warnera, od bezsensu tej egzystencji, którą dotąd znałam. Wszystko, co robię, robię wyłącznie dlatego, że tego chcę. Po raz pierwszy w życiu idę do przodu, ponieważ tego chcę, odczuwam nadzieję, miłość i zachwyt, chcę wiedzieć, co to znaczy żyć. Jestem gotowa skakać, żeby schwytać wiatr i spacerować bez końca jego rozwianymi ścieżkami.

Czuję się, jakbym została stworzona, żeby mieć skrzydła.

Adam prowadzi mnie do opuszczonego hangaru na obrzeżach tego dzikiego terenu. Wszystko porasta czerwonawa

roślinność, oszalałe krzewiaste macki, kolczaste i odrażające, prawdopodobnie trujące - gdyby komuś zachciało się je zjeść. Zastanawiam się, czy to tutaj Adam chce się zatrzymać. Zanurzam się w ciemną przestrzeń i mrużę oczy. Wyłaniają się jakieś kontury.

W środku stoi samochód.

Mrugam.

Nie samochód. Transporter opancerzony.

Adam prawie nie panuje nad swoim podnieceniem. Patrzy na moją minę i chyba jest zadowolony z mojego zaskoczenia. Jego słowa płyną nieprzerwanym strumieniem:

- Powiedziałem Warnerowi, że transporter, którym tu przyjechałem, się zepsuł. A że miał napęd elektryczny, nakłamałem, że przez kontakt ze skażeniem spaliła się jednostka zasilająca, bo zaszkodziło jej promieniowanie. Po tym wszystkim Warner załatwił samochód, który miał mnie tu przywozić i odbierać, powiedział, że lepiej będzie zostawić transporter tam, gdzie stoi. - Prawie się uśmiecha. - Warner wysyłał mnie tutaj wbrew woli swojego ojca i nie chciał, żeby ktoś się dowiedział, że zepsułem pojazd kosztujący pięćset tysięcy dolarów. Oficjalny raport mówi, że został skradziony przez buntowników. - Jak to się stało, że nikt tego transportera nie znalazł? Adam otwiera drzwi po stronie pasażera.

- Cywile trzymają się od tego miejsca najdalej jak mogą, a żaden inny żołnierz tu nie był. Nikt nie chciał ryzykować napromieniowania - przekrzywia głowę. - To jeden z powodów, dla których Warner mi zaufał, jeśli chodzi o ciebie. Podobało mu się, że byłem gotowy ponieść śmierć na służbie.

- Nie przyszło mu do głowy, że mógłbyś być nielojalny -szepczę.

Adam kręci głową.

- Nie. A po tym, co się stało z surowicą naprowadzającą, nie miał powodu wątpić, że w tym miejscu wszystko może się

zdarzyć. Sam rozłączyłem zasilanie w transporterze, na wypadek gdyby jednak chciał sprawdzić. - Kiwa głową w kierunku monstrualnego pojazdu. - Miałem przecucie, że kiedyś może się przydać. Nigdy nie zaszkodzi być przygotowanym. Przygotowany.

Adam zawsze jest przygotowany. Do ucieczki. Zastanawiam się dlaczego.

- Chodź tutaj - mówi znacznie łagodniejszym tonem. Wyciąga rękę, a ja udaję, że to wyłącznie szczęśliwy przypadek, że jego ręce ocierają się w półmroku o moje nagie uda. Staram się ukryć burzę uczuć, którą rozpętałem, płacząc się w strzępach mojej sukienki, kiedy pomagał mi wsiąść. Udaję, że nie widzę, w jaki sposób na mnie patrzy, kiedy ostatnie promienie słońca znikają za horyzontem.

- Muszę się zająć twoimi nogami - stwierdza.

Czuję na skórze jego elektryzujący szept. Przez chwilę nie rozumiem, co mówi. Nawet mnie to nie obchodzi. Moje myśli biegną zupełnie niepraktycznym torem. To mnie zaskakuje, ale w końcu nigdy jeszcze nie mogłam nikogo tak po prostu dotknąć. A już z pewnością nikt dotąd nie chciał być dotykany przeze mnie. Adam jest dla mnie źródłem zupełnie nieznanego doznań.

Dotykanie go to jedyna rzecz, o jakiej mam ochotę myśleć.

- To nie wygląda bardzo groźnie - ciągnie, przesuując opuszkami palców po moich łydkach. Wstrzymuję oddech. - Ale tak czy owak rany trzeba oczyścić. Czasem bezpieczniej jest się skaleczyć rzeźnickim nożem, niż podrapać przypadkowym kawałkiem metalu. Zakażenie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz.

Podnosi głowę. Trzyma teraz rękę na moim kolanie.

Kiwam głową, chociaż nie wiem dlaczego. Zastanawiam się, czy na zewnątrz drzę tak samo jak wewnątrz. Mam nadzieję, że jest zbyt ciemno, żeby mógł zobaczyć, jaka czerwona

jestem na twarzy, jak bardzo czuję się zażenowana tym, że nie może dotknąć mojego kolana, nie doprowadzając mnie do szaleństwa. Muszę coś powiedzieć.

- Może powinniśmy już jechać?

- Tak. - Bierze głęboki oddech, jakby przychodził do siebie. - Tak. Musimy jechać. - Spogląda w wieczorny półmrok. - Mamy trochę czasu, zanim się zorientują, że żyję. Trzeba to wykorzystać.

- Ale kiedy opuścimy to miejsce, czy surowica naprowadzająca nie zacznie z powrotem działać? Nie zorientują się, że nie zginąłeś?

- Nie. - Wskazuje na miejsce kierowcy i po omacku szuka zapłonu. Zamiast kluczyka jest przycisk. Zastanawiam się, czy rozpoznaje odcisk kciuka Adama. Rozlega się krótki charkot i maszyna z rykiem budzi się do życia. - Warner musiał odnawiać moją surowicę naprowadzającą za każdym razem, kiedy stąd wracałem. Kiedy przestaje działać, to na dobre - śmieje się. - Możemy stąd spadać.

- Ale dokąd jedziemy? - pytam w końcu. Wrzuca bieg.

- Do mnie do domu.

- Masz dom?- Jestem zbyt zszokowana, żeby zawracać sobie głowę manierami.

Adam parska śmiechem i rusza. Pojazd jest zadziwiająco szybki i dyskretny. Silnik ucichł do poziomu uspokajającego buczenia. Może to dlatego zamienili spalinowe transportery opancerzone na elektryczne. W każdym razie dzięki temu zdecydowanie mniej rzucamy się w oczy.

- Niezupełnie - odpowiada. - Ale coś na kształt domu. Tak.

Chcę zadać pytanie, którego wolałabym nie zadawać, muszę jednak je zadać, chociaż nie mam na to ochoty. Zbieram się w sobie.

- Twój ojciec...

- Nie żyje już od jakiegoś czasu. - Adam już się nie uśmiecha. W jego głosie słychać napięcie i coś, co tylko ja potrafiłabym nazwać. Ból. Gorycz. Gniew.

-Och.

Jedziemy w milczeniu, każde z nas pochłonięte własnymi myślami. Nie mam odwagi zapytać, co się stało z jego matką. Zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że wyrósł na

tak dobrego człowieka, chociaż miał tak nikczemnego ojca. Ciekawi mnie też, dlaczego wstąpił do armii, skoro tak jej nie nawidzi. W tej chwili jestem zbyt onieśmielona, żeby zapytać. Nie chcę naruszać jego emocjonalnych granic.

Bóg jeden wie, że sama otoczyłam się milionem.

Wyglądam oknem i wyteżam wzrok, żeby zobaczyć, któredy jedziemy, ale nie mogę dostrzec niczego poza widokiem opustoszałej przestrzeni, do którego przywykłam. Nie ma tutaj cywilów: jesteśmy zbyt daleko od Odnowionych osiedli i bloków mieszkalnych. Zauważam inny pojazd opancerzony patrolujący teren niecałe 30 metrów od nas, ale jego załoga chyba nas nie widzi. Adam jedzie bez świateł, pewnie właśnie po to, żeby nie ściągać na nas zbyt wiele uwagi. Zastanawiam się, jak właściwie orientuje się w terenie. Księżyc to jedyny reflektor, który oświetla nam drogę.

Jest dziwnie cicho.

Na chwilę pozwalam myślom powrócić do Warnera. Zastanawiam się, co musi się teraz dziać, ilu ludzi mnie szuka, ile trudu zada sobie Warner, żeby ściągnąć mnie z powrotem. Chce śmierci Adama. Chce mnie żywej. Nie spocznie, dopóki nie będę uwięziona z powrotem przy nim.

Nigdy ~~nigdy nigdy~~ nie może się dowiedzieć, że może mnie dotknąć. Mogę sobie tylko wyobrażać, co by zrobił, gdyby miał dostęp do mojego ciała.

Biorę szybki, gwałtowny, drżący oddech i rozważam powiedzenie Adamowi, co się stało. Nie. Nie. Nie. Nie. Zaciskam powieki i zastanawiam się, czy mogłam źle zinterpretować sytuację. Panował chaos. Byłam zdenerwowana. Może to sobie wyobraziłam. Tak.

Może to sobie wyobraziłam.

Wystarczająco dziwne jest to, że Adam może mnie dotknąć. Prawdopodobieństwo istnienia na świecie 2 osób, które są odporne na mój dotyk, wydaje się bliskie zeru. Właściwie im

więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że musiałam się pomylić. Mnóstwo rzeczy mogło się otrzeć o moją nogę. Kawałek prześcieradła, które Adam wyrzucił po rozbiciu okna. Poduszka, która spadła z łóżka. Rękawiczka Warnera leżąca na podłodze. Tak.

Niemożliwe, żeby Warner mnie dotknął. Gdyby tak się stało, krzyczałby z bólu.

Tak jak wszyscy inni.

Dłoń Adama w milczeniu wślizguje się w moją, a ja chwytam jego palce obiema rękami. Muszę się upewnić, że on wciąż jest odporny na mój dotyk. Chcę chłonać każdą kroplę jego istnienia, smakować każdą chwilę, której nie zdążyłam przeżyć. Nagle zaczynam się martwić, że ten fenomen może mieć ograniczony termin ważności. Że jest jakiś zegar, który wybije północ, jakaś kareta z dyni.

Możliwość utracenia go

Możliwość utracenia go

Możliwość utracenia go to **100** lat samotności, których nie chcę sobie nawet wyobrażać. Nie chcę utracić ciepła jego ramion. Jego dotyku. Jego warg, Boże, jego wargi, jego usta na mojej szyi, jego ciało owinięte wokół mojego, jakby po to, żeby potwierdzić, że moje istnienie na tej ziemi jest komuś potrzebne.

Świadomość tego wszystkiego jest jak wahadło wielkości księżycy. Nie przestaje we mnie uderzać.

- Julio.

Przełykam pocisk, który tkwi w moim gardle. -Tak?

- Dlaczego płaczesz? - Jego głos jest prawie tak delikatny jak jego ręka, która uwalnia się z mojego uścisku. Dotyka łez płynących po mojej twarzy. Ze wstydu nie wiem, co powiedzieć.

- Możesz mnie dotknąć. - Pierwszy raz mówię to na głos. Moje słowa bledną, zamieniają się w szept. - Możesz mnie

dotknąć. Zależy ci na mnie, a ja nie wiem dlaczego. Jesteś dla mnie dobry, chociaż nie musisz. Mojej własnej matce nie zależało na mnie wystarczająco, ż-ż-eby... - Głos mi się łamie i zaciskam wargi. Zaklejam je. Narzucam sobie spokój.

Jestem skałą. Posągiem. Rzeźbą z lodu. Lód niczego nie czuje.

Adam nie odpowiada, nie odzywa się ani słowem, aż wreszcie zjeżdża z drogi na stary podziemny parking. Zdaję sobie sprawę, że to jakaś namiastka cywilizacji, ale panują tu nieprzeniknione ciemności. Prawie nic nie widzę i jeszcze raz zastanawiam się, jakim sposobem Adam sobie radzi. Mój wzrok pada na ekran świecący na desce rozdzielczej. Noktowizor. Oczywiście.

Adam gasi silnik. Słyszę, jak wzdycha. Ledwie dostrzegam zarys jego sylwetki. Nagle czuję na udzie dotyk jego prawej dłoni. Lewa szuka mojej twarzy. Po moim ciele rozchodzi się ciepło jak płynna lava. Palce u moich rąk i nóg z mrowieniem wracają do życia. Muszę powstrzymywać dreszcze.

- Julio - szepcze i zdaję sobie sprawę, jak jest blisko. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie rozwiązałam się w nicość. - Ty i ja zawsze byliśmy razem, przeciwko całemu światu - mówi. -Zawsze tak było. To moja wina, że potrzebowałam aż tyle czasu.

- Nie - kręcę głową. - To nie twoja wina...

- Moja. Zakochałem się w tobie dawno temu. Tylko nie starczyło mi odwagi, żeby coś zrobić.

- Bo mogłam cię zabić. Śmieje się cicho.

- Bo nie sądziłem, że na ciebie zasługuję. Jestem uosobieniem zdumienia.

-Co?

Dotyka nosem mojego nosa. Nachyla się w kierunku mojej szyi. Nawija na palce kosmyk moich włosów, a ja nie mogę nie mogę nie mogę oddychać.

- Masz w sobie tyle... dobroci - szepcze.

- Ale moje dłonie...

- Nigdy niczego nie zrobiły po to, żeby kogoś skrzywdzić.

Kiedy chcę zaprzeczyć, dodaje:

- Nie celowo. - Odsuwa się. Ledwie mogę dostrzec, jak pociera bok szyi. - Nigdy nie próbowałaś się bronić - mówi po chwili. - Zawsze zastanawiałem się dlaczego. Nigdy nie krzyknęłaś, nie byłaś wściekła ani nie próbowałaś nikomu niczego wyjaśniać - mówi, a ja wiem, że znowu jesteśmy w trzeciej czwartej piątej szóstej siódmej ósmej klasie. - Ale, do diabła, musiałaś przeczytać milion książek. - Wiem, że się uśmiecha, kiedy to mówi. Cisza. - Nikomu w niczym nie przeszkadzałaś, a każdego dnia byłaś dla nich ruchomym celem. Mogłaś się bronić. Mogłaś załatwić każdego, gdybyś chciała.

- Nie chcę nikomu zrobić krzywdy. - Mój głos jest cichszy od szeptu. Nie mogę wyrzucić z pamięci widoku 8-let-niego Adama. Leżącego na ziemi. Załamane. Porzuconego. Płaczącego w kurzu.

Czego ludzie nie robią dla władzy.

- Dlatego nigdy nie będziesz taka, jak Warner by chciał. Wpatruję się w jakiś punkt w ciemnościach, nęka mnie świadomość różnych ewentualności.

- Skąd ta pewność?

Jego usta są tak blisko moich.

- Stąd, że świat ciągle jeszcze nie jest ci obojętny. Wydaje stłumiony jęk, a on mnie całuje, mocno, głęboko i bez umiaru. Jego ręce otaczają moje plecy i zsuwają mnie do pozycji niemal leżącej. Nie mam nic przeciwko temu. Opieram głowę na siedzeniu, on unosi się nade mną, jego dłonie chwytają moje biodra pod obszarpaną sukienką, czuję się, jakby lizało mnie milion płomieni pożądania, tak niepohamowanego, że z trudem łapię powietrze. Adam jest jak ciepła kąpiel,

głęboki oddech, jak 5 dni lata zamkniętych w 5 palcach, które piszą opowiadania na moim ciele. Ja jestem żalosnym chaosem impulsów nerwowych, które rozbijają się o niego, niesione przez jeden prąd. Jego zapach obezwładnia moje zmysły.

Jego oczy

Jego dłonie

Jego pierś

Jego wargi

są tuż przy moim uchu, kiedy mówi:

- Jesteśmy na miejscu. - Oddycha teraz szybciej niż wtedy, kiedy uciekał, żeby ratować życie. Czuję, jak jego serce uderza o moje żebra. Mówi drżącym szeptem. - Może powinniśmy wejść do środka. Byłoby bezpieczniej. - Ale nie rusza się z miejsca.

Prawie nie rozumiem, co mówi. Kiwam głową, która kołysze się na mojej szyi. Uświadamiam sobie, że on mnie nie widzi. Próbuję sobie przypomnieć jakieś słowa, ale palce, którymi przesuwa po moich udach, za bardzo mnie rozpraszają, żebym mogła sklecić jakieś zdanie. Coś w tej absolutnej ciemności, w niemożności zobaczenia czegokolwiek doprowadza mnie do stanu upojenia, przyprawia o zachwycający zawrót głowy.

- Tak. - To wszystko, co jestem w stanie powiedzieć. Pomaga mi z powrotem usiąść, opiera czoło o moje czoło.

- Przepraszam - mówi. - Trudno mi się powstrzymać. -Jego głos jest niebezpiecznie zachrypnięty, jego słowa wywołują gęsią skórę.

Pozwalam swoim dłoniom wślizgnąć się pod jego koszulkę i poczuć jego rosnące napięcie. Dotykam idealnie wyrzeźbionych linii jego ciała. Składa się z samych mięśni.

- Nie musisz - mówię.

Bicie jego serca jest tak silne, że nie mogę go odróżnić od własnego. Powietrze między nami ma **1000** stopni. Jego palce

błądzą po wgłębieniu poniżej mojej kości biodrowej, przekomarzając się ze skrawkiem materiału, który pomaga mi zachować resztki przyzwoitości.

- Julio...

- Adam?

Zrywam się przerażona. Strach. Niepokój. Adam nie rusza się, zastygły na wprost mnie. Nie jestem pewna, czy oddycha. Rozglądam się, ale nie mogę odnaleźć twarzy, która pasowałaby do głosu, który wymówił jego imię. Wpadam w panikę, kiedy Adam hałaśliwie otwiera drzwi i wybiega na zewnątrz, a potem znowu to słyszę.

- Adam... czy to ty? Jakiś chłopiec.

- James!

Stłumiony odgłos uderzenia, zderzenia 2 ciał, 2 głosy, zbyt szczęśliwe, aby mogły oznaczać zagrożenie.

- Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty! To znaczy... No, myślałem, że to ty, bo myślałem, że coś słyszałem, i na początku zdawało mi się, że to nic takiego, ale potem pomyślałem, że lepiej sprawdzić, tak dla pewności, na wypadek gdybyś to jednak był ty i... - milknie. - Czeka... Co ty tu robisz?

- Wróciłem do domu. - Adam się śmieje.

- Naprawdę? - piszczy James. - Wróciłeś na dobre?

- Tak - wzdycha. - Kurczę, dobrze cię widzieć.

- Tęskniłem za tobą - mówi James, nagle dużo ciszej. Jeden głęboki oddech.

- A ja za tobą, brzdącu. A ja za tobą.

- Hej, jadłeś już coś? Benny właśnie przyniosła moją paczkę z obiadem, mógłbym się z tobą podzie...

- James. Cisza. - Tak?

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

Mam spocone dłonie, a serce w gardle. Słyszę, jak Adam z powrotem podchodzi do transportera i dopiero kiedy włącza światło, zdaję sobie sprawę, że zajrzał do środka. Słaba lampka awaryjna oświetla kabinę. Mrugam kilkakrotnie i dostrzegam małego chłopca stojącego jakieś półtora metra ode mnie. Ciemnoblond włosy okalają okrągłą niebieskooką buzię, która wygląda dziwnie znajomo. Chłopiec zaciska wargi w skupieniu. Przygląda mi się.

Adam otwiera drzwi. Pomaga mi wstać, ledwie powstrzymując uśmiech, a ja jestem zdumiona własnym zdenerwowaniem. Nie wiem, dlaczego tak się denerwuję. Boże, jak ja się denerwuję. Ten chłopiec jest dla Adama kimś ważnym, to oczywiste. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że ta chwila również jest ważna. Tak się martwię, że wszystko popsuję. Próbuję poprawić resztki sukienki, wygładzić pognieciony materiał. Chaotycznymi ruchami palców przeczesuję włosy. To bez sensu.

Biedne dziecko będzie przerażone.

Adam prowadzi mnie w jego stronę. James jest kilkanaście centymetrów niższy ode mnie, ale na jego twarzy wyraźnie widać, że jest jeszcze młody, nieskażony okrucieństwem tego świata. Chciałabym się upajać pięknem jego niewinności.

- James, to jest Julia. - Adam zerka na mnie. - Julio, to jest mój brat James.

Jego brat.

Próbuje się otrząsnąć ze zdenerwowania. Próbuje się uśmiechnąć do chłopca przyglądającego się badawczo mojej twarzy, żalosnym strzępkom materiału, które ledwie okrywają moje ciało. Jak to możliwe, że nie wiedziałam, że Adam ma brata? Jak mogłam nigdy się nie dowiedzieć?

James zwraca się do Adama.

- Ta Julia?

Stoję jak słup nonsensu. Zapominam o dobrych manierach.

- Wiesz, kim jestem?

James odwraca się w moją stronę.

- No, tak. Adam duuużo o tobie mówi.

Czerwienię się i mimowolnie zerkam na Adama. Patrzy w jeden punkt na podłodze. Odchrząkuje.

- Bardzo miło mi cię poznać - wykrztuszam. James przekrzywia głowę.

- Hm... zawsze się tak ubierasz? Trochę chciałabym umrzeć.

- Hej, brzdącu - przerywa Adam. - Julia zostanie u nas przez jakiś czas. Może byś sprawdził, czy nie masz jakichś skarpet na podłodze, co?

James wygląda na przerażonego. Bez słowa rzuca się w ciemność.

Na niezliczoną ilość sekund zapada cisza. W oddali słyszę dźwięk, który przypomina kapanie wody.

Biorę głęboki wdech. Zagryzam dolną wargę. Szukam właściwych słów. Nie udaje mi się ich znaleźć.

- Nie wiedziałam, że masz brata. Adam się waha.

- Nie masz nic przeciwko temu... że mam? Będziemy się musieli razem pomieścić i...

Czuję się, jakby żołądek opadł mi na wysokość kolan.

- Jasne, że nie mam! Ja tylko... chodzi o to... czy jemu to nie przeszkadza? Że ja tu będę?

- Nigdzie nie ma skarpet - ogłasza James, wyłaniając się z ciemności. Zastanawiam się, gdzie przed chwilą zniknął, gdzie jest dom. Patrzy na mnie. - Więc zostaniesz u nas?

Adam się wtrąca.

- Tak. Jakiś czas będzie u nas nocowała.

James patrzy to na mnie, to na Adama, to znowu na mnie. Wyciąga rękę.

- Cóż, miło mi wreszcie cię poznać.

Wszystkie kolory odpływają z mojej twarzy. Serce łomocze mi w uszach. Kolana się pode mną uginają. Nie mogę przestać wpatrywać się w małą rękę wyciągniętą w moim kierunku.

- James - mówi Adam trochę szorstko. James zaczyna się śmiać.

- Żartowałem - opuszcza rękę.

- Co? - Z trudem łapię oddech. W głowie mi się kręci, jestem zdezorientowana.

- Nie przejmuj się - mówi James, wciąż chichocząc. - Nie dotknę cię. Adam mi powiedział o twojej magicznej mocy.
-Przewraca oczami.

- Adam... c o powiedział...?

- Hej, może wejdziemy do środka. - Adam odchrząkuje trochę za głośno. - Wezmę tylko szybko nasze rzeczy... -I biegnie w stronę pojazdu.

Ja nadal stoję, wpatrując się w Jamesa. Nie kryje swojej ciekawości.

- Ile masz lat? - pyta.

- Siedemnaście. Kiwa głową.

- Tak mówił Adam. Obruszam się.

- Co jeszcze Adam ci o mnie mówił?

- Powiedział, że też nie masz rodziców. Powiedział, że jesteś taka jak my.

Moje serce jest jak kawałek masła, które mięknie w gorący letni dzień. Mój głos łagodnieje.

- A ty ile masz lat?

- W przyszłym roku będę miał jedenaście. Śmieję się.

- Więc masz dziesięć? Zakłada ręce. Marszczy brwi.

- Za dwa lata będę miał dwanaście. Chyba już kocham to dziecko.

Lampka w kabinie pojazdu gaśnie i przez chwilę otacza nas całkowita ciemność. Miękkie kliknięcie i słaba okrągła poświata rozjaśnia mrok. Adam ma latarkę.

- Hej, James, prowadź!

- Tak jest! - Zatrzymuje się ślizgiem tuż przed stopami Adama, saltuje przesadnie i biegnie tak szybko, że nie sposób dotrzymać mu kroku. Nie mogę powstrzymać uśmiechu rozciągającego się na mojej twarzy.

Ręka idącego obok Adama wsuwa się w moją.
- Wszystko w porządku? Ściskam jego palce.
- Powiedziałaś swojemu dziesięcioletniemu bratu o mojej magicznej mocy?

Śmieje się.

- Powiedziałem mu wiele rzeczy.
- Adam. -Tak?
- Czy przypadkiem Warner nie zacznie poszukiwać od twojego domu? Czy to nie jest niebezpieczne?

- Byłoby. Ale według oficjalnych danych ja nie mam domu.

- A twój brat?

- Byłby pierwszym celem Warnera. Najbezpieczniejszy jest tam, gdzie mogę go pilnować. Warner wie, że mam brata, ale nie wie, gdzie on jest. I zanim się dowie, a na pewno się dowie, my musimy się przygotować.

- Do walki?

- Tak, do obrony.

Nawet w przyćmionym świetle tego obcego miejsca widzę jego determinację. To sprawia, że chce mi się śpiewać. Zamykam oczy.

- Dobrze.

- Co się tak grzebiecie!?! - krzyczy James z oddali. Idziemy dalej.

Parking znajduje się w podziemiach starego opuszczonego biurowca pogrążonego w ciemnościach. Wyjście awaryjne prowadzi prosto do głównego holu.

James jest tak podekscytowany, że wskakuje na schody i zeskakuje z nich, wbiega po kilka stopni tylko po to, aby

z nich zbiec, skarżąc się, że nie idziemy dostatecznie szybko. Adam łapie go od tyłu i podnosi do góry. Śmieje się. - Skręcisz sobie kark.

James protestuje, ale bez przekonania. Jest szczęśliwy, że odzyskał brata.

Moje serce ściska się pod wpływem odległych emocji. To boli w jakiś gorzko-słodki, nieokreślony sposób, któremu towarzyszy dziwne ciepło i odrętwienie.

Adam wbija kod na klawiaturze obok masywnych stalowych drzwi. Słysząc ciche klik, krótkie bip, a potem przekręca klamkę.

Widok wnętrza zapiera mi dech.

To prawdziwy salon. Połączony z kuchnią, wypełniony pluszem. Gruby dywan, miękkie krzesła, ustawiona wzdłuż ściany sofa. Odcienie zieleni, czerwieni i oranżu, lampy wypełniające ciepłym światłem ogromną przestrzeń, która bardziej przypomina dom niż jakiegokolwiek miejsce, jakie w życiu widziałam. Nie można z tym nawet porównywać zimnych, samotnych wspomnień mojego dzieciństwa. Nagle czuję się tak bezpieczna, że mnie to przeraża.

- Podoba ci się? - Adam śmieje się do mnie, bez wątpienia rozbawiony moją miną.

Jakoś udaje mi się pozbiierać szczękę z podłogi.

- Bardzo. - Nie jestem pewna, czy mówię to głośno, czy tylko w myślach.

- To dzieło Adama - mówi James z dumą, wypinając pierś odrobinę bardziej niż to konieczne. - Zrobił to dla mnie.

- Nic tu nie zrobiłem - protestuje Adam ze śmiechem. -Tylko... trochę posprzątałem.

- Mieszkaś tu sam? - pytam Jamesa. Wpycha ręce do kieszeni i kiwa głową.

- Benny spędza u mnie dużo czasu, ale najczęściej jestem sam. Tak czy inaczej mam szczęście.

Adam rzuca na kanapę nasze torby, a ja przyglądam się mięśniom, które napinają się i prężą na jego plecach. Patrzę, jak wydycha napięcie. Wiem dlaczego, ale i tak pytam.

- Dlaczego masz szczęście?

- Bo ktoś mnie odwiedza. Inne dzieciaki nie mają gości.

- Są tu inne dzieci? - Mam nadzieję, że nie zdradzam tego, jak jestem przerażona.

James przytakuje tak energicznie, że głowa odskakuje mu na szyi.

- Tak. Cała ulica. Mnóstwo dzieci. Ale tylko ja mam swój pokój - wskazuje przestrzeń dokoła. - To wszystko jest moje, bo Adam mi to załatwił. Inni muszą się dzielić. Mamy szkołę, tak jakby. I Benny przynosi mi moje paczki z jedzeniem. Adam mówi, że mogę się bawić z innymi dziećmi, ale nie wolno mi ich tu przyprowadzać. - Wzrusza ramionami. - Może być.

Rzeczywistość rozchodzi się w moim żołądku jak trucizna. Ulica przeznaczona dla osieroconych dzieci. Zastanawiam się, jak zginęli ich rodzice. Nie zastanawiam się długo.

Zwiedzam pomieszczenie. Dostrzegam w rogu maleńką lodówkę i umieszczoną na niej kuchenkę mikrofalową, obok kilka szafek. Adam przyniósł tu, co się dało - zapasy wszelkiego rodzaju jedzenia w puszkach i inne produkty, które szybko się nie psują. Przywieźliśmy przybory toaletowe i kilka kompletów ubrań. Zapakowaliśmy dość rzeczy, żeby przeżyć przynajmniej jakiś czas.

James wyciąga z lodówki paczkę w folii aluminiowej i wkłada ją do mikrofalówki.

- Zaczekaj, James, nie... - próbuję go powstrzymać.

Nieruchomieje, wlepiając we mnie wzrok.

- Co?

- Folia. Nie możesz... nie można wkładać metalu do mikrofalówki....

- Co to jest mikrofalówka?

Mrugam tyle razy, że pokój zaczyna wirować.

- Co...?

Podnosi wieczko pojemnika z folii aluminiowej, odkrywając mały kwadracik. Wygląda jak kostka rosółowa. Wskazuje palcem kostkę, a potem głową mikrofalówkę. - W porządku. Zawsze to wkładam do automatu. Nic się nie dzieje.

- Pobiera skład molekularny żywności i mnoży go. -Adam stoi obok mnie. - Nie dodaje jej wartości odżywczej, ale sprawia, że czujesz się najedzona dłużej niż normalnie.

- I jest o wiele taniej! - mówi James, śmiejąc się, kiedy wkłada jedzenie z powrotem do tego ustrojstwa.

Jestem zszokowana, jak dużo się zmieniło. Ludzie są tak zdesperowani, że nauczyli się fałszować jedzenie.

Mam tyle pytań, że chyba zaraz wybuchnę. Adam ściska mnie delikatnie za ramię. Szepcze:

- Porozmawiamy o wszystkim, obiecuję.

Czuję się jak encyklopedia, w której zbyt wiele stron jest pustych.

James zasypia z głową na kolanach Adama.

Zanim zasnął, mówił bez przerwy, odkąd skończył jeść, opowiadał o swojej jakby-szkole, swoich jakby-kolegach i Benny, starszej pani, która się nim opiekuje, bo „chyba lubi Adama bardziej ode mnie, ale podkrada dla mnie cukier, więc może być”. Wszystkich obowiązuje godzina policyjna. Nikomu oprócz żołnierzy nie wolno wychodzić na zewnątrz po zachodzie słońca, wszyscy żołnierze są uzbrojeni i mają rozkaz strzelać, jeśli zajdzie taka potrzeba. James powiedział,

że niektórzy ludzie dostają więcej jedzenia i rzeczy niż inni. Ale to nie dlatego, że są istotami ludzkimi i chroni się ich przed śmiercią głodową. Ci ludzie zostali wybrani na podstawie tego, co mogą zaoferować Komitetowi Odnowy.

Z każdym jego słowem coraz bardziej pękało mi serce.

W pewnym momencie zagryzł dolną wargę i przyglądając mi się badawczo, zapytał, czy nie przeszkadza mi, że dużo mówi. Powiedziałam, że ani trochę mi nie przeszkadza.

- Wszyscy mówią, że dużo gadam - wzruszył ramionami. - Ale nic nie poradzę, że mam tyle do powiedzenia.

- Hej... skoro o tym mowa... - przerwał mu Adam. - Nie możesz nikomu powiedzieć, że tu jesteśmy, jasne?

Usta Jamesa znieruchomiały w jednej chwili. Zamrugał kilka razy. Wpatrywał się uważnie w swojego brata.

- Nawet Benny?

- Nikomu - powiedział Adam.

Wtedy przez jedną nieskończenie krótką chwilę zobaczyłam w jego oczach coś, co wyglądało jak błysk zrozumienia. Dziesięcioletek, któremu można zaufać, bez dwóch zdań. Raz po raz kiwał głową.

- Dobrze. Nigdy was tu nie było.

Adam odgarnia niesforne kosmyki włosów z czoła Jamesa. Przygląda się twarzy śpiącego brata w taki sposób, jakby starał się zapamiętać każdy ślad pędzla na obrazie olejnym. Patrzę na niego, jak przypatruje się Jamesowi.

Zastanawiam się, czy wie, że trzyma w dłoni moje serce. Biorę drżący oddech.

Adam podnosi oczy, a ja spuszczam wzrok i oboje czujemy się zażenowani, choć z różnych powodów.

On szepcze:

- Chyba powinienem go zanieść do łóżka. - Ale nie podnosi się, żeby wstać. James śpi głębokim ~~głębokim~~ ~~głębokim~~ snem.

- Kiedy ostatni raz go widziałeś? - pytam, starając się mówić cicho.

- Jakieś pół roku temu - cisza. - Ale dużo rozmawialiśmy przez telefon - uśmiecha się lekko. - Sporo mu o tobie opowiadałem.

Czerwienię się. Liczę palce u rąk, żeby się upewnić, że wszystkie są na miejscu.

- Nie obawiałeś się podsłuchu?

- Tak. Ale Benny ma tajną linię, poza tym zawsze starałem się ograniczać do oficjalnych sprawozdań. W każdym razie James wiedział o tobie od dawna.

- Naprawdę...? - To straszne, że muszę się upewnić, ale nic na to nie mogę poradzić. Zamieniam się w rój motyli.

Adam najpierw podnosi, potem odwraca wzrok. A później patrzy mi prosto w oczy. Wzdycha.

- Julio, szukałem cię od dnia, w którym zniknęłaś. Moje rzęsy prawie sięgają brwi, szczęka opada mi na kolana.

- Martwiłem się o ciebie - mówi cicho. - Nie wiedziałem, co zamierzają ci zrobić.

- Dlaczego? - Łapię oddech, przełykam ślinę, jąkam się. - Po co miałbyś się mną przejmować?

Opiera się na kanapie. Przesuwa ręką po twarzy. Zmieniają się pory roku. Gwiazdy wybuchają. Ktoś chodzi po Księżycu.

- Wiesz, że nadal pamiętam dzień, w którym pojawiłaś się w naszej szkole? - śmieje się miękkim, smutnym śmiechem. - Może miałem za mało lat, a może nie wiedziałem zbyt wiele o świecie, ale było w tobie coś, co natychmiast zaczęło mnie przyciągać. Po prostu chciałem być blisko ciebie... miałaś taką... jakąś dobroć... której wcześniej nigdzie nie

znalazłem. Słodycz, której nie było u mnie w domu. Chciałem cię usłyszeć, chciałem, żebyś mnie zauważyła, uśmiechnęła się do mnie. Każdego dnia obiecywałem sobie, że z tobą porozmawiam. Chciałem cię poznać. Ale każdego dnia tchórzyłem. A pewnego dnia zniknęłaś. Słyszałem plotki, ale wiedziałem lepiej. Wiedziałem, że nigdy nikogo byś nie skrzywdziła. - Spuszcza wzrok. Ziemia pode mną pęka, a ja wpadam w szczelinę. - To brzmi jak szaleństwo - mówi w końcu bardzo cicho - że tak mi na tobie zależało, chociaż nawet z tobą nie rozmawiałem - waha się. - Ale nie mogłem przestać o tobie myśleć. Nie mogłem przestać się zastanawiać, co się z tobą stało. Co ci groziło. Bałem się, że nie będziesz się bronić. Milczy tak długo, że prawie przegryzam sobie język.

- Musiałem cię znaleźć - szepcze. - Wypytywałem każdego, ale nikt nie potrafił mi odpowiedzieć. Świat wciąż się rozpadał. Sprawy miały się coraz gorzej, a ja nie wiedziałem, co robić. Musiałem opiekować się Jamesem, musiałem znaleźć sposób na życie, chociaż nie wiedziałem, czy wstąpienie do armii to dobry pomysł, ale nigdy o tobie nie zapomniałem. Zawsze miałem nadzieję - zacina się - że kiedyś znowu cię zobaczę.

Brak mi słów. Kieszenie mam pełne liter, których nie mogę ułożyć w zdania, tak bardzo chcę coś powiedzieć, że w końcu nic nie mówię, a serce chce mi wybuchnąć w piersi.

- Julio...?

- Znalazłeś mnie. - 4 sylaby. Jeden szept zdziwienia.

- Jesteś... zła?

Podnoszę wzrok i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że on się denerwuje. Martwi. Nie jest pewien, jak zareaguję na jego zwierzenia. Nie wiem, czy się śmiać, płakać czy całować każdy centymetr jego ciała. Chcę zasypiać przy dźwięku bicia jego serca. Wiedzieć, że on żyje i ma się dobrze, oddycha, jest cały i zdrowy na ciele i umyśle, zawsze.

- Jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek się o mnie troszczyła. - Moje oczy wypełniają się łzami, które próbuję powstrzymać, czuję, że pali mnie w gardle i wszystko wszystko wszystko mnie boli. Spada na mnie ciężar całego minionego dnia, grożąc pogruchoaniem mi kości. Chcę wrzeszczeć ze szczęścia i radości, wykrzyczeć całe swoje cierpienie i poczucie niesprawiedliwości. Chcę dotknąć serca jedynej osoby w moim życiu, która nie ma mnie w nosie. - Kocham cię -szepczę. - Bardziej niż kiedykolwiek będziesz w stanie pojąć.

Jego oczy to chwila o północy wypełniona wspomnieniami, jedyne okna do mojego świata. Zaciska zęby i usta. Podnosi wzrok, próbuje odkaszlnąć, wiem, że potrzebuje czasu, żeby się pozbierać. Mówię mu, że chyba powinien położyć Jamesa. Kiwa głową. Tuli brata do piersi. Wstaje i niesie Jamesa do schowka, w którym urządził mu sypialnię.

Patrzę, jak wychodzi z jedyną bliską osobą, jaka mu pozostała, i rozumiem, dlaczego wstąpił do wojska.

Wiem, dlaczego godził się być dla Warnera chłopcem do bicia. Wiem, dlaczego wybrał okrucieństwa wojny, skąd wzięła się jego determinacja, żeby uciec, uciec najszybciej, jak to będzie możliwe. Żeby się bronić.

Dla niego stawką jest znacznie więcej niż własne życie.

- Myślę, że powinienem zerknąć na te skaleczenia. Adam stoi z rękami w kieszeniach w drzwiach sypialni

Jamesa. Jego tors opina ciemnoczerwona koszulka. Ma fantastycznie wyrzeźbione ramiona, pokryte wojskowymi tatuażami, które potrafię teraz rozpoznać. Przyłapuje mnie na tym, że mu się przyglądam.

- Nie miałem wyboru - mówi, przyglądając się po kolei czarnym szlaczkom atramentu na przedramionach. - Musieliśmy przeżyć. To była jedyna praca, jaką mogłem dostać.

Idę do niego przez pokój, dotykam wzorów na jego skórze. Kiwam głową.

- Rozumiem.

Prawie się śmieje. Nieznacznie kręci głową.

- Co? - Gwałtownie cofam rękę.

- Nic - śmieje się. Oplata rękami moją talię. - Tylko że to mnie ciągle szokuje. Naprawdę tutaj jesteś. W moim domu.

Ciepło zalewa mi szyję, spadam z drabiny, trzymając pędzel zanurzony w czerwonej farbie. Komplementy nie są czymś, do czego przywykłam. Przygryzam wargę.

- Skąd masz swój tatuaż?

- Te tutaj? - Znowu patrzy na swoje ręce.

- Nie. - Sięgam pod jego koszulkę, szarpiąc ją tak niezgrabnie, że prawie go przewracam. Chwieje się i opiera plecami o ścianę. Podciągam materiał aż pod jego szyję. Powstrzymuję rumieniec. Dotykam jego piersi. Dotykam ptaka.

- Skąd masz ten?

- Ach. - Patrzy na mnie, ale teraz rozprasza mnie piękno jego ciała. I spodnie, które opadają mu na biodrach. Widocznie zdjął pasek.

Z trudem podnoszę wzrok. Pozwalam palcom wędrować po mięśniach jego brzucha. Nabiera powietrza.

- Nie wiem - mówi. - Ja tylko... ciągle mi się śnił ten biały ptak. Wiesz, że ptaki kiedyś latały?

- Śnił ci się?

- Tak. Cały czas. - Uśmiecha się lekko, wypuszcza powietrze, próbuje sobie przypomnieć. - To było miłe. Czuję się dobrze... miałem... nadzieję. Chciałem zachować tamto wspomnienie, bo nie byłem pewien, czy będzie trwało. Więc je utrwaliłem. Przykrywam tatuaż dłonią.

- Mnie też śnił się kiedyś ten ptak.

- Ten sam? - Jego brwi mogłyby dotknąć nieba. Kiwam głową.

- Dokładnie ten. - Nagle doznaję olśnienia. - Do dnia, w którym pojawiłeś się w mojej celi. Nie śnił mi się od tamtego czasu. - Podnoszę na niego wzrok.

- Żartujesz.

Ale wie, że nie żartuję.

Opuszczam jego koszulkę i opieram czoło o jego pierś. Wdycham jego zapach. Nie czekając, przyciąga mnie bliżej. Opiera brodę na mojej głowie, a ręce na moich plecach.

I stoimy tak razem, aż starzeję się za bardzo, żeby móc sobie przypomnieć świat bez jego ciepła.

Adam dezynfekuje moje skaleczenia w łazience urządzonej w kącie mieszkania. To małe pomieszczenie z ubikacją, umywalką, niewielkim lustrem i miniaturowym prysznicem. Wszystko mi się w nim podoba. Potem Adam czeka w ciemności, aż wyjdę, wreszcie przebrana i umyta, żeby położyć się spać. Na podłodze rozłożone są koce i poduszki, jest tu jak w niebie. Czuję się tak wyczerpana, że mogłabym przespać kilkaset lat.

Wślizguję się obok niego, a on zagarnia mnie w swoje ramiona. Jest tu wyraźnie chłodniej, ale Adam to idealny piecyk. Chowam twarz w jego piersi, a on przyciąga mnie bliżej. Przesuwam palce wzdłuż jego pleców i czuję mięśnie twardniejące pod wpływem mojego dotyku. Opieram rękę o brzeg jego spodni. Zahaczam palec o pętelkę przy pasku. Sprawdzam smak słów na języku.

- Mówiłam poważnie.

Jego oddech spóźnia się o jedno uderzenie serca. Jego serce bije o jedno uderzenie za szybko.

- Poważnie... o czym? - pyta. Chociaż świetnie wie, o co mi chodzi.

Nagle czuję się tak zawstydzona. Tak zaślepiona, tak niepotrzebnie śmiała. Nie wiem nic o tym, na co się odważam. Wiem tylko, że nie chcę czuć niczyjego dotyku, tylko jego. Na zawsze.

Adam się odsuwa. Mogę odróżnić jedynie zarys jego twarzy, jego oczy zawsze błyszczące w ciemności. Wpatruję się w jego usta, kiedy mówię.

- Nigdy cię nie prosiłam, żebyś przestał. - Moje palce opierają się o guzik jego spodni. - Ani razu.

Wpatruje się we mnie, a jego pierś unosi się i opada kilka razy na sekundę. Wygląda, jakby oniemiał z niedowierzania. Zbliżam usta do jego ucha.

- Dotknij mnie. Już po nim.

Moja twarz jest już w jego dłoniach, moje wargi przy jego wargach, całuje mnie. Dusi się, a ja jestem tlenem. Przyciska mnie całym sobą, jedną rękę trzyma w moich włosach, druga wędruje po omacku w dół mojego ciała, wślizguje się pod moje kolano, żeby przyciągnąć mnie bliżej, wyżej, ciaśniej. Gubi na mojej szyi pocałunki, jak ekstazę, jak prąd elektryczny, od którego zaczynam płonąć. Mogłabym zapalić się od samych emocji. Chciałabym zanurzyć się w niego, poczuć go wszystkimi 5 zmysłami, utonąć w falach cudu otaczającego moje istnienie.

Chcę smakować krajobraz jego ciała.

Bierze moje ręce w swoje i przyciska je do piersi, prowadzi moje palce w dół, a potem jego usta spotykają się z moimi znowu i znowu i znowu, upajają mnie, wprowadzają w delirium i chciałabym, żeby to trwało wiecznie. Ale to mi nie wystarcza. To wciąż mało. Chcę roztopić się w nim, zbadać kształt jego ciała samymi tylko ustami. Moje serce pędzi wraz z krwią, niszczy moją samokontrolę, porywa wszystko w wir intensywności. Adam przerywa, żeby zaczerpnąć powietrza, a ja przyciągam go z powrotem, przeraźliwie tęskniąc, umierając z tęsknoty za jego dotykiem. Jego ręce wślizgują się pod moją bluzkę, okrążają moje ciało, dotyka mnie tak, jak jeszcze nigdy dotąd się nie ośmielił. Bluzkę mam prawie nad głową, kiedy rozlega się skrzypnięcie drzwi. Oboje zastygamy w bezruchu.

- Adam...?

Ledwie może oddychać. Z trudem osuwa się na poduszkę obok mnie, ale ja wciąż czuję jego ciepło, jego ciało, jego serce bijące w moich uszach. Powstrzymuję milion okrzyków. Adam unosi głowę tylko odrobinę. Próbuje mówić zwyczajnym tonem.

- James?

- Czy mogę spać tutaj z tobą?

Adam siada. Oddycha z trudem, ale nagle robi się czujny.

- Oczywiście, że możesz. - Cisza. Jego głos się uspokaja, mięknie. - Miałeś zły sen?

James nie odpowiada. Adam jest już na nogach.

Słyszę stłumiony szloch dziesięciolatka, ale ledwie udaje mi się odróżnić zarys sylwetki Adama obejmującego Jamesa.

- Mówiłeś, że już jest lepiej. - Słyszę, jak szepcze, jego słowa brzmią łagodnie, nie słychać w nich wyrzutu.

James mówi coś, czego nie słyszę.

Adam podnosi go do góry i zdają sobie sprawę, jaki drobny jest James w porównaniu z nim. Znikają w sypialni Jamesa i po chwili wracają z pościelą. Dopiero leżąc bezpiecznie w odległości metra od Adama, James wreszcie poddaje się wyczerpaniu. Jego ciężki oddech to jedyny dźwięk, jaki słychać w pokoju.

Adam odwraca się do mnie. Jestem żywym milczeniem, porażona, zszokowana, głęboko zraniona tym wydarzeniem. Nie mam pojęcia, czego doświadczył już James mimo młodego wieku. Nie mam pojęcia, co musiał wycierpieć Adam, zostawiając go samego. Nie mam pojęcia, jak ludzie teraz żyją. Jak udaje im się przetrwać.

~~Nie wiem, co się stało z moimi rodzicami.~~

Adam gładzi mnie po policzku. Otacza mnie ramionami. Mówi:

- Przepraszam. Scałowuję jego przeprosiny.

- Jeszcze przyjdzie odpowiedni czas - mówię. Przetyka ślinę. Wtula się w moją szyję. Wciąga powietrze.

Trzyma ręce pod moją koszulką. Na plecach. Powstrzymuje westchnienie.

- Już niedługo.

Adam i ja siłą woli odsunęliśmy się od siebie na odległość półtora metra, ale jakimś sposobem i tak budzę się w jego ramionach. Oddycha miękko, spokojnie, równo, wydając ciepły pomruk w porannym powietrzu. Kiedy mrugam, patrząc na światło dzienne, wita mnie para dużych niebieskich oczu na buzi dziesięciolatka.

- Jak to możliwe, że możesz go dotknąć? - James stoi nad nami z założonymi rękami. Znowu jest tym upartym chłopcem, którego pamiętam. Ani śladu strachu, łez, które grożą przelaniem się na jego twarz. Zupełnie jakby w ogóle nie było zeszłej nocy. - No?

Wystraszona jego niecierpliwością odskakuję od nagiej piersi Adama tak szybko, że on się zrywa i budzi. Ale nie całkiem.

Wyciąga rękę w moim kierunku.

- Julio...

- Dotykasz dziewczyny!

Adam siada tak szybko, że zaplątuje się w pościel i opada z powrotem na łokcie.

- Jezu, James...

- Spałeś obok dziewczyny!

Adam kilkakrotnie otwiera i zamyka usta. Zerka na mnie. Zerka na swojego brata. Zamyka oczy i w końcu wzdycha. Przesuwa dłonią po twarzy.

- Nie wiem, co chciałbyś, żebym ci odpowiedział.

- Mówiłeś, że ona nie może nikogo dotknąć. - James przygląda mi się teraz podejrzliwie.

- Nie może.

- Oprócz ciebie?

- Właśnie. Oprócz mnie. ~~I Warnera:~~

- Nie może dotknąć nikogo oprócz ciebie. ~~I Warnera.~~

- Właśnie.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. - Oczy Jamesa się zwężają.

Adam śmieje się głośno.

- Gdzie się nauczyłeś tak mówić? James marszczy brwi.

- Benny często tak mówi. Kiedy uważa, że szukam wymówki. - Robi dwoma palcami znak cudzysłowu w powietrzu.

- Mówi, że to znaczy „nie wierzę ci”. A ja nie wierzę tobie.

Adam wstaje. Światło wczesnego poranka przenika przez niewielkie okna pod idealnym kątem, w idealnym momencie, żeby ubrać w złoto jego napięte mięśnie. Spodnie nadal opadają mu na biodrach i muszę się zmusić, żeby jasno myśleć. Wciąż mnie szokuje brak kontroli nad sobą, ale po prostu nie wiem, jak zapanować nad tymi uczuciami. Adam sprawia, że czuję głód czegoś, o czym dotąd nie miałam pojęcia, że jest dla mnie osiągalne.

Przyglądam się, jak otacza brata ramieniem, a potem kuca, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Możemy porozmawiać? - mówi. - W cztery oczy?

- Tylko ty i ja? - James zerka na mnie kątem oka.

- Tak. Tylko ja i ty.

- Dobrze.

Patrzę, jak znikają w pokoju Jamesa, i zastanawiam się, co Adam zamierza mu powiedzieć. Dopiero po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że James musi się czuć zagrożony moją obecnością. Kiedy wreszcie widzi brata po prawie sześciu miesiącach, okazuje się, że ten przywiózł do domu obcą dziewczynę, która ma jakąś dziwną, magiczną moc. Prawie zaczynam się śmiać na samą myśl. Chciałabym, żeby to magia sprawiła, że taka jestem.

Nie chcę, żeby James myślał, że odbieram mu Adama.

Wślizguję się z powrotem pod kołdrę i czekam. Ranek jest chłodny i rześki, a moje myśli zaczynają powracać do Warnera. Muszę pamiętać, że nie jesteśmy bezpieczni. Jeszcze nie, a może nigdy nie będziemy. Muszę pamiętać, żeby nigdy nie czuć się zbyt komfortowo. Siadam. Podciągam nogi i obejmuję je w kostkach.

Zastanawiam się, czy Adam ma jakiś plan.

Drzwi do sypialni Jamesa otwierają się, skrzypiąc. Bracia wychodzą, młodszy przodem, za nim starszy. James jest odrobinę zaróżowiony na twarzy i trudno mu spojrzeć mi w oczy. Patrzy zażenowany i nagle przychodzi mi do głowy, że Adam go ukarał.

Serce na chwilę mi zamiera.

Adam klepie Jamesa po ramieniu, lekko je ścisza.

- Wszystko w porządku?

- Przecież wiem, co to znaczy twoja dziewczyna a...

- Nikt nie twierdzi, że nie wiesz...

- Więc jesteś jego dziewczyną? - James zakłada ręce i patrzy na mnie.

W tchawicy utkwilo mi coś, jakby **400** kulek bawełny. Patrzę na Adama, bo nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

- Hej, może powinieneś się szykować do szkoły, co? - Adam otwiera lodówkę i podaje Jamesowi nową paczkę opakowaną folią. Zakładam, że to jego śniadanie.

- Nie muszę iść - protestuje James. - To nie jest prawdziwa szkoła, nikt nie musi...

- Chcę, żebyś poszedł - ucina Adam. Odwraca się z powrotem do brata z łagodnym uśmiechem. - Nie martw się. Będę tutaj, kiedy wrócisz.

James się waha.

- Obiecujesz?

- Tak. - Znowu uśmiech. Przywołuje go ruchem głowy. - Chodź tutaj.

James biegnie i uczepia się kurczowo Adama, jakby się bał, że brat zniknie. Adam wkłada foliowe jedzenie do automatu i wciska przycisk. Mierzwi włosy Jamesa.

- Trzeba ci obciąć włosy, brzdącu. James marszczy nos.

- Podobają mi się takie.

- Nie uważasz, że są trochę za długie? James obniża głos.

- Myślę, że j e j włosy są za długie.

James i Adam odwracają się, żeby spojrzeć na mnie, a ja się zamieniam w różową plastelinę. Mimowolnie dotykam włosów, nagle zawstydzona. Spuszczam wzrok. Ostatnio jakoś nie było powodu obcinać włosów. Nie miałam czym. Ludzie nie dają mi ostrych przedmiotów.

Odważam się podnieść wzrok i widzę, że Adam wciąż mi się przygląda. James patrzy na automat.

- Podobają mi się takie - mówi Adam, choć nie jestem pewna do kogo.

Obserwuję ich, kiedy Adam pomaga bratu przygotować się do szkoły. James jest tak pełen energii, tak podekscytowany, że ma brata w pobliżu. Zastanawiam się, jak to jest mieszkać samemu, kiedy się ma **10** lat. Jak to jest być jednym z tych wszystkich dzieci, które mieszkają na tej ulicy.

Chciałabym wstać i się przebrać, ale nie mogę się zdecydować. Nie chcę zajmować łazienki, na wypadek gdyby James albo Adam jej potrzebowali. Nie chcę zajmować więcej miejsca, niż zajmuję w tej chwili. Wiąż między Adamem i Jamesem wydaje się tak osobista, tak intymna. To ten rodzaj więzi, którego nigdy nie poznałam i nie poznam. Ale przebywanie w miejscu tak pełnym miłości sprawiło, że zamrożnięte części mojego ciała rozmroziły się w coś ludzkiego. Czuję się człowiekiem. Jakby istniała szansa, że stanę się częścią tego świata. Jakbym niekoniecznie musiała być potworem. Może nie jestem potworem.

Może jeszcze wszystko może się zmienić.

James jest w szkole, Adam pod prysznicem, a ja wpatruję się w miskę muesli, którą zostawił dla mnie Adam. Jedzenie tego wydaje mi się tak niewłaściwe, kiedy James musi jeść niezidentyfikowaną substancję w foliowym pojemniku. Ale Adam mówi, że James dostaje ustaloną porcję na każdy posiłek i ma obowiązek ją zjeść. Jeżeli zostałby przyłapany na marnowaniu lub wyrzucaniu jedzenia, mógłby zostać ukarany. Wszystkie sieroty mają jeść jedzenie z paczek przygotowywane w automacie. James twierdzi, że „nie jest takie złe”.

Trochę się trzęsę w chłodzie poranka i przyglądam ręką włosy, wciąż wilgotne po kąpieli. Woda tutaj nie jest gorąca. Nie jest nawet ciepła. Jest lodowata. Ciepła woda to luksus.

Ktoś wali w drzwi.

Zrywam się na nogi. Obracam się. Oglądam się. Boję się.

Znaleźli nas. To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Mój żołądek zmienia się w cienki naleśnik, serce we wściekłego dziecięcia, moja krew jest jak rzeka niepokoju.

Adam jest pod prysznicem.

James jest w szkole.

~~Jestem całkowicie bezbronna.~~

Przetrząsam marynarski worek Adama, aż znajduję to, czego szukam. 2 pistolety, po 1 do każdej ręki. 2 ręce, na wypadek gdyby pistolety zawiodły. Wreszcie mam na sobie ubranie, które nadaje się do walki. Nabieram powietrza i błagam swoje dłonie, żeby przestały się trząść.

Walenie w drzwi staje się coraz głośniejsze.

Celuję w drzwi.

- Julio...

Obracam się i widzę, że Adam patrzy na mnie, na pistolety, na drzwi. Ma mokre włosy. Szeroko otwarte oczy. Wskazuje głową dodatkowy pistolet w mojej ręce, a ja rzucam mu go bez słowa.

- Warner by nie pukał - mówi, ale nie opuszcza broni.

Wiem, że ma rację. Warner by je przestrzelił albo wysadził w powietrze, zabijając setkę ludzi, żeby się do mnie dostać. Z całą pewnością nie czekałby, aż mu otworzę. Trochę się uspokajam, ale nie pozwalam sobie na zbyt ni komfort.

- Kto to może...

- To może być Benny... zwykle zagląda do Jamesa...

- Wiedziałyby chyba, że jest teraz w szkole?

- Nikt więcej nie wie, gdzie mieszkam...

Walenie jest coraz słabsze. Wolniejsze. Słysząc niski, gardłowy głos, jakby jęk bólu.

Wymieniamy z Adamem spojrzenia. Jeszcze jedna pięść spada na drzwi. Ktoś się przewraca. Kolejny jęk. Czyjeś ciało uderza o drzwi. Wzdrygam się. Adam przeczesuje ręką włosy.

- Adam! - krzyczy ktoś. Kaszle. - Człowieku, jesteś tam? Zastygam. Głos brzmi jakoś dziwnie znajomo.

Plecy Adama natychmiast się prostują. Usta ma otwarte, w oczach zdziwienie. Wklepuje kod i odsuwa zasuwkę. Uchyła drzwi, trzymając broń wycelowaną w szparę.

- Kenji?

Krótki, świszczący oddech. Stłumiony jęk.

- Kurde, facet, czemu to tyle trwało?

- Co, do cholery, tutaj robisz? - Szczęk. Ledwie mogę coś zobaczyć przez szparę w drzwiach, ale jest jasne, że Adam nie cieszy się z odwiedzin. - Kto cię tu przysłał? Z kim jesteś?

Kenji przeklina kilka razy pod nosem.

- Popatrz na mnie - domaga się, chociaż brzmi to bardziej jak błaganie. - Myślisz, że przyszedłem cię zabić?

Adam milczy. Nabiera powietrza. Ma wątpliwości.

- Jeżeli będę musiał wpakować ci kulkę w plecy, nie zawaham się.

- Wyluzuj. Już mam kulkę w plecach. Albo w nodze. Albo, kurwa, gdzieś indziej. Nawet nie wiem gdzie.

Adam otwiera drzwi.

- Wstawaj.

- Dobra, możesz wciągnąć mój tyłek do środka. Nie mam nic przeciwko.

Adam porusza szczęką.

- Nie chcę mieć na dywanie twojej krwi. To nie widok dla mojego brata.

Kenji chwiejnie wstaje i zataczając się, wchodzi do środka. Słyszałam jeden raz jego głos, ale nigdy nie widziałam jego twarzy. Chociaż to chyba nie najlepszy moment na korzystne pierwsze wrażenie. Jego oczy są spuchnięte, nabrzmięte, purpurowe. Ma ranę na czole i rozciętą wargę, z której trochę krwawi. Jest pochylony, w strasznym stanie. Krzywi się przy każdym ruchu i płytko oddycha. Ubranie ma w strzępach, górną część ciała okrywa wyłącznie podkoszulek bez rękawów. Dobrze zbudowane ramiona są całe pokaleczone i posiniaczone. Dziwię się, że nie zamarzł. Zachowuje się tak, jakby mnie nie dostrzegał. Aż w końcu mnie zauważa.

Przystaje. Mruga. Jego twarz się rozciąga w idiotycznym uśmiechu przysłoniętym przez grymas bólu.

- Cholera - mówi, wciąż chłonąc mój widok. - Cholera - próbuje się roześmiać. - Facet, chyba ci odbiło...

- Łazienka jest tam. - Adam jest jak z kamienia.

Kenji posuwa się do przodu, ale wciąż ogląda się za siebie. Celuję w jego twarz. Śmieje się głośniejszym, wzdryga się, trochę świszcząc, kiedy oddycha.

- Facet, uciekłeś z tą stukniętą laską! Uciekłeś z wariatką! - woła do Adama. - Myślałem, że to jakieś bzdety. Co sobie, kurwa, myślisz? Co chcesz zrobić z laską od czubków? Nic dziwnego, że Warner chce cię ukatrupić... **000**, człowieku...

- Ona nie jest stuknięta. Ani głucha, dupku.

Drzwi zatrząskują się za nimi i dobiegają mnie stłumione odgłosy kłótni. Mam wrażenie, że Adam nie chce, żebym słyszała, co ma do powiedzenia Kenjiemu. Albo chodzi o jego krzyki.

Nie mam pojęcia, co Adam robi, ale zakładam, że to ma coś wspólnego z usuwaniem kuli z ciała Kenjiego i w ogóle

opatrywaniem reszty jego ran najlepiej, jak się da. Adam ma dobrze zaopatrzoną apteczkę i silne, spokojne ręce. Zastanawiam się, czy to rezultat ćwiczeń. Może uczył się na sobie. A może na swoim bracie. To możliwe.

O ubezpieczeniu zdrowotnym ludzie już nawet nie marzą.

Trzymam pistolet w ręce prawie godzinę. Prawie godzinę słucham, jak Kenji krzyczy. Wiem to tylko dlatego, że lubię liczyć mijające sekundy. Nie mam pojęcia, która jest godzina. W sypialni Jamesa pewnie jest budzik, ale nie chcę tam wchodzić bez pozwolenia.

Wpatruję się w pistolet w swojej dłoni, w jego gładki, ciężki metal. Zaskakuje mnie odkrycie, że jest przyjemny w dotyku. Jest jak przedłużenie mojego ciała. Już mnie nie przeraża.

Bardziej przeraża mnie myśl, że mogłabym go użyć.

Drzwi łazienki otwierają się i wychodzi z niej Adam. W ręce trzyma niewielki ręcznik. Wstaję. Uśmiecha się do mnie. Sięga do małej lodówki i otwiera jeszcze mniejszy zamrażalnik. Chwyta kilka kostek lodu, owija je ręcznikiem. Z powrotem znika w łazience.

Siadam na kanapie.

Dzisiaj pada. Niebo nad nami płacze.

Adam wychodzi z łazienki, tym razem z pustymi rękami, ciągle sam.

Znowu wstaję.

On pociera dłonią czoło, potem kark. Siada obok mnie.

- Przepraszam - mówi. Otwieram szeroko oczy.

- Za co?

- Za wszystko - wzdycha. - W bazie Kenji był dla mnie kimś w rodzaju przyjaciela. Kiedy uciekliśmy, Warner go torturował. Chciał z niego wyciągnąć jakieś informacje.

Powstrzymuję jęk.

- Mówi, że nic nie powiedział, tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia, ale nieźle oberwał. Nie wiem, czyjego żebra są połamane, czy tylko poobijane, ale udało mi się wyjąć pocisk z jego nogi.

Biorę go za rękę. Ściskam.

- Postrzelili go, kiedy uciekał - mówi Adam po chwili. I coś uderza w moją świadomość. Wpadam w panikę.

- Surowica naprowadzająca...

Adam kiwa głową, ma ciężki, zrozpaczony wzrok.

- Możliwe, że przestała działać, ale nie majak tego sprawdzić. Wiem, że gdyby działała, Warner już by tu był. Ale nie możemy ryzykować. Musimy stąd uciekać, a zanim uciekniemy, musimy pozbyć się Kenjiego.

Kręcę głowę, zaplątana w dwa kolidujące z sobą nurty niedowierzania.

- Jak on cię w ogóle znalazł? Twarz Adama tężeje.

- Zaczął krzyczeć, zanim zdążyłem zapytać.

- A James? - szepczę, bojąc się nawet o tym myśleć. Adam spuszcza głowę i ukrywa twarz w dłoniach.

- Musimy ruszać, kiedy tylko wróci do domu. Teraz mamy czas, żeby się przygotować - napotyka mój wzrok. - Tu już nie jest bezpiecznie.

Dotykam jego policzka, a on wtula twarz w moją dłoń, przytrzymując ją swoją ręką. Zamyka oczy. - O w mordę...

Adam i ja odsuwamy się od siebie. Czerwienię się po czubek głowy. Adam wygląda na zirytowanego. Kenji stoi oparty

o ścianę w przejściu do łazienki, trzymając przy twarzy ręcznik z lodem. Wpatruje się w nas.

- Możesz jej dotknąć? Znaczący... cholera, przecież widać, że jej dotknąłeś, ale to nawet...

- Musisz już iść - mówi do niego Adam. - Zostawiłeś za sobą chemiczny ślad, który prowadzi prosto do mojego domu. Musimy uciekać, a ty nie możesz iść z nami.

- Hola, hola... wolnego. - Kenji wchodzi niepewnym krokiem do pokoju, krzywiąc się, kiedy przenosi ciężar na zranioną nogę. - Ja was nie trzymam. Znam jedno miejsce. Bezpieczne miejsce. No nie: sprawdzone, super bezpieczne miejsce. Mogę was tam zabrać. Pokażę wam drogę. Znam jednego gościa.

- Nonsens. - Adam wciąż jest wściekły. - Jak mnie w ogóle znalazłeś? Jak ci się udało trafić do moich drzwi, Kenji? Nie ufam ci...

- Nie wiem, człowieku. Przysięgam, nie pamiętam, co się stało. Od pewnego czasu nie pamiętam, którędy biegłem. Tylko przeskakiwałem ogrodzenia. Znalazłem wielki plac ze starym hangarem. Spałem tam jakiś czas. Musiałem w końcu odlecieć, albo z bólu, albo z zimna, na dworze jest zimno jak diabli. Następna rzecz, jaką sobie przypominam, to to, jak jakiś facet mnie niesie. Zostawia mnie pod twoimi drzwiami. Mówi mi, żebym wołał Adama, bo Adam tu mieszka - śmieje się. Próbuje puścić oko. - Śniłeś mi się, stary.

- Co ty chrzaniasz? - Adam nachyla się do przodu. - Jakiś facet cię niósł? Jaki facet? Jak się nazywał? Skąd wiedział, jak ja się nazywam?

- Nie wiem. Nie powiedział. Nie żebym był na tyle przytomny, żeby go zapytać. Ale gość był potężny. No, musiał być wielki, skoro udźwignął mój tyłek.

- Chyba się nie spodziewasz, że ci uwierzę.

- Nie masz innej opcji. - Kenji wzrusza ramionami.

- Oczywiście, że mam. - Adam wstaje. - Nie mam powodu ci ufać. Nie mam powodu wierzyć w choćby jedno twoje słowo.

- Więc co tutaj robię z kulą w nodze? Dlaczego Warner jeszcze cię nie znalazł? Dlaczego jestem nieuzbrojony...

- Może to część twojego planu!

- Ale i tak mi pomogłeś! - Kenji ośmiela się podnieść głos. - Dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć? Dlaczego mnie nie dobiłeś? Dlaczego mi pomogłeś?

Adam się waha.

- Sam nie wiem.

- Wiesz. Wiesz, że nie przyszedłem tu, żeby wam bruździć. Przez ciebie cholernie oberwałem...

- Nie mogłeś mnie wsypać, bo nie wiedziałeś, gdzie jestem.

- Cholera, człowieku, jak mam cię przekonać? Chcieli mnie wykończyć. Musiałem uciekać. To nie moja wina, że jakiś facet zostawił mnie pod twoimi drzwiami...

- Tu nie chodzi o mnie, nie rozumiesz? Tyle wysiłku włożyłem w znalezienie bezpiecznego miejsca dla mojego brata, a ty w jeden ranek zrujnowałeś wszystko, co planowałem latami. Co według ciebie mam teraz zrobić? Muszę uciekać, dopóki nie znajdę sposobu, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Jest za mały, żeby mieć do czynienia z tym...

- Wszyscy jesteśmy za młodzi, żeby mieć do czynienia z tym głównym. - Kenji oddycha z trudem. - Nie rób sobie jaj. Nikt nie powinien oglądać tego co my. Nikt nie powinien znajdować rano trupów w salonie, ale to się zdarza. Radzimy sobie z tym, a potem uczymy się, jak przetrwać. Nie ty jeden masz problemy.

Adam opada na sofę. **40** kilogramów zmartwień ciąży mu na barkach. Nachyla się i ukrywa twarz w dłoniach.

Kenji patrzy na mnie. A ja na niego. Śmieje się i kuśtyka do przodu.

- Jak na laskę od czubków to nawet jesteś sexy. Klik.

Kenji wycofuje się z rękami nad głową. Adam przyciska lufę do jego czoła.

- Trochę szacunku, bo rozwalę ci czaszkę.

- Żartowałem...

- Uśmiełem się.

- Do diabła, Adam, uspokój się...

- Gdzie jest to super bezpieczne miejsce, do którego możesz nas zabrać? - Wstaję, wciąż z pistoletem w dłoni. Przesuwam się w stronę Adama. - A może zmyślasz?

Twarcz Kenjiego się rozjaśnia.

- Skąd. To prawda. Naprawdę prawda. Może nawet napomknąłem im coś o tobie. A może nie. Facet, który prowadzi to miejsce, jakoś idiotycznie chce cię poznać. A może nie.

- Myślisz, że jestem jakimś dziwolągiem do pokazywania kumplom?

Odbezpieczony. Naładowany.

- No, nie dziwolągiem... Tylko... interesującą osobą. Celuję w jego nos.

- Jestem tak interesująca, że mogę cię zabić gołymi rękami.

Ledwie dostrzegam błysk strachu w jego oczach. Przełyka kilkanaście litrów upokorzenia. Próbuje się uśmiechnąć.

- Pewna jesteś, że nie jesteś stuknięta?

- Nie - przekrzywiam głowę. - Nie jestem pewna. Kenji się śmieje. Mierzy mnie wzrokiem.

- Cholera. Ale dzięki tobie stuknięty naprawdę nieźle się kojarzy.

- Jestem o jakieś piętnaście centymetrów od rozkwaszenia cię gęby. - Adam ostrzega go stalowym głosem, sztywny

ze złości, mrużąc nieruchome oczy. Nie wygląda, jakby był w nastroju do żartów. - Mam dość powodów, żeby to zrobić.

- No co? - Kenji śmieje się niezniechęcony. - Nie byłem tak blisko żadnej laski stanowczo zbyt długo, bracie. Stuknięta czy nie...

- Nie jestem zainteresowana. Kenji odwraca się w moją stronę.

- Cóż, chyba nawet nie mam ci za złe. Wyglądam teraz jak pół dupy z za krzaka. Ale zobaczysz, jak się ogarnę - próbuje się uśmiechać. - Daj mi parę dni. Możesz zmienić zdanie...

Adam uderza go łokciem w twarz i nie przeprosza.

Kenji przeklina, krwawi, wyczerpuje cały swój zasób nie-cenzuralnych słów i potykając się, idzie do łazienki. Trzyma się za nos.

Adam ciągnie mnie do sypialni Jamesa.

- Powiedz mi coś - mówi. Patrzy na sufit, bierze ciężki, głęboki oddech. - Powiedz mi cokolwiek...

Próbuję przyciągnąć jego wzrok, łagodnie łagodnie łagodnie chwytam go za rękę. Czekam, aż na mnie popatrzy.

- Jamesowi nic się nie stanie. Będzie bezpieczny. Obiecuję.

Jeszcze nigdy nie widziałam jego oczu tak przepelnionych bólem. Otwiera usta. Zaciska je. Waha się bardzo długo, w końcu słowa płyną w powietrzu między nami.

- On nawet nie wie o tacie. - Pierwszy raz porusza ten temat. Pierwszy raz przyznaje, że coś o tym wiem. - Nie chciałem, żeby wiedział. Zmyślałem różne historie. Chciałem, żeby miał szansę być normalny. - Jego usta literują tajemnice, a moje uszy je likwidują. - Nie chcę, żeby ktoś go zranił. Boję się o jego psychikę. Nie mogę... Boże, nie mogę pozwolić, żeby... - mówi. Szepcze. Cicho.

Przeszukuję świat, ale nie znajduję odpowiednich słów. Moje usta są puste.

- To nie wystarczy - szepcze. - Nigdy nie uda mi się zrobić wystarczająco dużo. On wciąż budzi się z krzykiem. Wciąż płacze przed snem. Widzi rzeczy, którym nie mogę zapobiec. - Mruga milion razy. - Tylu ludzi, Julio.

Wstrzymuję oddech.

- Zabitych.

Dotykam słów na jego ustach, a on całuje moje palce. Jego oczy są jak dwa kręgi doskonałości, otwarte, szczere, skromne.

- Nie wiem, co robić - mówi, a brzmi to jak wyznanie, które kosztuje go o wiele więcej, niż jestem w stanie pojąć. Spokój wyslizguje mu się spomiędzy palców, chociaż rozpaczliwie próbuje go zachować. - Powiedz mi, co mam robić.

Słyszę uderzenia serca w ciszy między nami. Badam kształt jego ust, silne rysy jego twarzy, rzęsy, za które dziewczyna mogłaby zabić, głębokie, ciemnoniebieskie oczy, w których nauczyłam się pływać. Mogę zaproponować tylko jedno.

- Może warto przemyśleć plan Kenjiego.

- Ufasz mu? - Adam odsuwa się nagle zaskoczony.

- Wydaje mi się, że mówi prawdę o tym miejscu, do którego możemy pójść.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Dlaczego...?

Coś, co nie może być śmiechem.

- Mógłbym go zabić, zanim zdążymy się tam dostać. Moje usta wykrzywają się w smutnym uśmiechu.

- Nie ma innego miejsca, gdzie moglibyśmy się ukryć, prawda?

Ziemia okrąży Słońce, zanim on odpowiada. Kręci głową. Raz. Szybko. Zdecydowanie. Ściskam jego dłoń.

- Więc musimy spróbować.

- Co wy tam robicie!?! - Kenji krzyczy przez drzwi. Wali w nie kilka razy. - Znaczący, cholera, facet, niby każda pora jest dobra, ale teraz to nie najlepszy moment na szybki numer. Jeżeli nie chcesz zginąć, moja propozycja jest taka, żebyś zabierał stąd swój tyłek. Musimy się szykować.

- Mógłbym go zabić zaraz - Adam zmienia zdanie. Biorę jego twarz w swoje ręce, staję na palcach i całuję go.

Jego usta są jak 2 poduszki, miękkie, słodkie.

- Kocham cię.

Patrzy mi w oczy i patrzy na moje usta, a jego głos jest ochryłym szeptem.

- Tak?

- Zdecydowanie.

Cała nasza trójka jest spakowana i gotowa do drogi jeszcze przed przyjściem Jamesa ze szkoły. Adam i ja zebraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy: jedzenie, ubrania, pieniądze, które Adam odłożył. Wciąż rozgląda się po niewielkiej przestrzeni, jakby nie mógł uwierzyć, że tak łatwo ją traci. Mogę sobie tylko wyobrazić, ile pracy włożył w to miejsce, jak bardzo się starał stworzyć dom dla swojego młodszego brata. Moje serce jest rozdarte.

Jego przyjaciel należy do zupełnie innego gatunku.

Kenji opatruje nowe siniaki, ale wygląda na to, że jest w niezłym nastroju, podekscytowany z niepojętych dla mnie powodów. Jest dziwnie wytrzymały i pełen optymizmu. Odnoszę wrażenie, że nie da się go zniechęcić, i nie mogę nie podziwiać jego determinacji. Drażni mnie tylko to, że nie przestaje się na mnie gapić.

- Więc jak to się dzieje, że możesz dotknąć Adama?

- Nie wiem. Prycha.

- Gówno prawda.

Wzruszam ramionami. Nie czuję potrzeby przekonywania go, że nie mam bladego pojęcia, dlaczego spotkało mnie tyle szczęścia.

- Skąd w ogóle wiedziałaś, że możesz go dotknąć? Jakiś chory eksperyment?

Mam nadzieję, że się nie czerwienię.

- Gdzie jest to miejsce, do którego nas zabierasz?

- Dlaczego zmieniasz temat? - śmieje się. Jestem pewna, że się śmieje. Ale postanawiam na niego nie patrzeć. -A może mnie też możesz dotknąć? Może warto spróbować?

- Nie chcesz, żebym cię dotknęła.

- A może chcę - zdecydowanie się śmieje.

- Może powinieneś zostawić ją w spokoju, zanim wpakuję ci nową kulkę w nogę - proponuje Adam.

- Przepraszam... czy już nie wolno samotnemu mężczyźnie zrobić pierwszego kroku, Kent? Może naprawdę jestem zainteresowany. Może powinieneś się w końcu zamknąć i pozwolić jej mówić za siebie.

Adam przeczesuje ręką włosy. Zawsze tą samą ręką. Jest podenerwowany. Sfrustrowany. Może nawet zażenowany.

- Wciąż nie jestem zainteresowana - przypominam mu z irytacją w głosie.

- Tak, ale nie zapominajmy, że to - wskazuje na swoją pokiereszowaną twarz - nie jest trwałe.

- Cóż, jestem trwale niezainteresowana. - Tak bardzo chciałabym mu powiedzieć, że nie jestem wolna. Chcę mu powiedzieć, że już z kimś jestem. Chciałabym mu powiedzieć, że Adam coś mi obiecał.

A nie mogę.

Nie mam pojęcia, co to znaczy się z kimś związać. Nie wiem, czy słowa „kocham cię” są kodem, który może służyć za oznaczenie „na wyłączność”, i nie wiem, czy Adam akurat to miał na myśli, kiedy powiedział Jamesowi, że jestem jego dziewczyną. Może to była wymówka, przykrywka, łatwa odpowiedź na trudne pytanie. Chciałabym, żeby powiedział coś Kenjiemu, chciałabym, żeby mu powiedział, że oficjalnie jesteśmy z sobą. Na wyłączność.

Ale nie mówi.

A ja nie wiem dlaczego.

- Sądzę, że nie powinnaś podejmować decyzji, dopóki opuchlizna nie zejdzie - ciągnie Kenji rzeczowym tonem. - To byłoby nie *fair*. Mam zachwycającą twarz.

Adam dławi się kasznięciem, które prawdopodobnie było śmiechem.

- Wiesz, kiedyś mogłem przysiąc, że dobrze się dogadujemy - mówi Kenji, patrząc na Adama.

- Nie mogę sobie tylko przypomnieć dlaczego. Kenji się obrusza.

- Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

- Nie ufam ci.

- Więc dlaczego wciąż tutaj jestem?

- Bo ufam j e j.

Kenji odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Zdobywa się na głupi uśmiech.

- Auu, ty mi ufasz?

- Kiedy nic mi nie stoi na linii strzału. - Zaciskam rękę na broni.

Uśmiech robi się krzywy.

- Nie wiem dlaczego, ale nawet lubię, kiedy mi grozisz.

- Dlatego że jesteś idiotą.

- Eee - kręci głową. - Masz seksowny głos. W twoich ustach wszystko brzmi pikantnie.

Adam wstaje tak nagle, że przewraca stolik do kawy. Kenji wybuchając śmiechem, dysząc z bólu.

- Cholera, uspokój się, Kent. Tylko się z wami drocę. Lubię patrzeć, jak laska od czubków się denerwuje. - Zerka na mnie, zniża głos. - To miał być komplement. Bo wiesz - chaotycznie macha ręką w moim kierunku - te psychiczne klimaty do ciebie pasują.

- Co, do diabła, jest z tobą nie tak? - zwraca się do niego Adam.

- Co, do diabła, jest z wami nie tak? - Kenji zakłada ręce zdenerwowany. - Wszyscy są tu tacy spięci.

Adam ściska pistolet w ręce. Idzie w kierunku drzwi. Wraca. Chodzi po pokoju.

- Nie martw się o swojego brata - dodaje Kenji. - Jestem pewien, że zaraz tu będzie.

Adam jest poważny. Nie przestaje chodzić po pokoju. Drży mu szczęka.

- Nie martwię się o mojego brata. Zastanawiam się, czy zastrzelić cię teraz czy później.

- Później - mówi Kenji, opadając na kanapę. - Teraz jeszcze mnie potrzebujesz.

Adam próbuje coś powiedzieć, ale nie zdąża. Klik, bip i otwierają się drzwi. James jest w domu.

- Naprawdę się cieszę, że to rozumiesz, naprawdę, James, tylko że nie ma się czym ekscytować. Uciekamy, żeby ratować życie.

- Ale robimy to r a z e m - powtarza po raz piąty z uśmiechem od ucha do ucha. Aż za szybko polubił Kenjiego, a teraz razem spiskują, jak by tu zamienić nasze kłopotliwe położenie w coś na kształt misji specjalnej. - A ja będę mógł wam p o m a g a ć!

- To nie będzie...

- Jasne, że będziesz...

Adam i Kenji mówią jednocześnie. Kenji reflektuje się pierwszy.

- Dlaczego nie może pomagać? Jest wystarczająco duży.

- Nie ty o tym decydujesz - mówi Adam, starając się kontrolować głos. Wiem, że chce być opanowany ze względu na brata. - Nie twoja sprawa.

- Wreszcie jadę z tobą - mówi James niezniechęcony. - Chcę pomagać.

James nie przejął się złymi wieściami. Nawet się nie wzdrygnął, kiedy Adam wyjaśnił mu prawdziwy powód swojego

przyjazdu do domu razem ze mną. Sądziłam, że widok pokiereszowanej twarzy Kenjiego go przerazi, wytrąci z równowagi, zasieje lęk w jego sercu, ale James był dziwnie nieporuszony. Przyszło mi do głowy, że musiał już widzieć znacznie gorsze rzeczy.

Adam bierze kilka głębokich oddechów, a potem zwraca się do Kenjiego.

- Jak daleko?

- Piechotą? - Kenji po raz pierwszy wygląda, jakby stracił pewność siebie. - Co najmniej kilka godzin. Jeżeli nie zrobimy niczego głupiego, powinniśmy być tam przed zmrokiem.

- A samochodem?

Kenji mruga. Jego zaskoczenie rozlewa się na twarz ogromnym uśmiechem.

- Cholera, Kent, dlaczego wcześniej nie powiedziałaś?

- Wyrażaj się przy moim bracie. James przewraca oczami.

- Codziennie słyszę gorsze rzeczy. Nawet Benny używa brzydkich słów.

- Benny? - Brwi Adama przesuwają się wysoko na czoło. - Tak.

- Co ona sobie... - przerywa. - To nie oznacza, że wolno ci powtarzać.

- Mam prawie jedenaście lat!

- Hej, młody człowieku - przerywa mu Kenji. - W porządku. To moja wina. Powinienem bardziej uważać. Poza tym tu są panie. - Kenji puszcza do mnie oko.

Odwracam wzrok. Rozglądam się.

Nawet mnie jest ciężko opuścić ten skromny dom, więc mogę sobie tylko wyobrażać, co czuje teraz Adam. Myślę, że James jest zbyt podekscytowany czekającą nas niebezpieczną podróżą, żeby zdawać sobie sprawę, co się dzieje. Żeby w pełni zrozumieć, że nigdy tu nie wróci.

Wszyscy jesteśmy uchodźcami. Musimy ratować życie.

- Więc co... ukradłeś samochód? - pyta Kenji.
 - Transporter opancerzony. Kenji wybucha śmiechem.
 - ŁAAADNIE.
 - Tylko że jeżdżenie nim w dzień jest trochę ostentacyjne.
 - Co to znaczy „ostentacyjny”? - pyta James.
 - Że trochę... łatwo go zauważyć. - Adam jest zażenowany.
 - CHOLERA - Kenji zrywa się na nogi.
 - Mówiłem ci, żebyś uważał, co mówisz...
 - Słyszałeś?
 - Co słyszałem?
- Oczy Kenjiego skaczą we wszystkie strony.
- Jest stąd jakieś inne wyjście? Adam już jest na nogach.
 - JAMES...

James już jest koło niego. Adam sprawdza broń. Zarzucam bagaże na ramiona, Adam robi to samo, skupiając uwagę na drzwiach wejściowych.

- SZYBKO...
- Jak blisko...?
- NIE MA CZASU...
- Co ty...
- KENT, UCIEKAJ...

I uciekamy, biegniemy za Adamem do pokoju Jamesa. Adam zrywa z jednej ze ścian zasłonę, odsłaniając ukryte drzwi dokładnie w chwili, gdy z salonu dobiegają 3 piski.

Adam strzela w drzwi wejściowe.

Niecałe 5 metrów za nami coś wybucha. Huk roztrzaskuje się w moich uszach, wibruje w całym moim ciele. Prawie zwala mnie z nóg. Wszędzie słychać strzały. W domu rozlega się łomot kroków, ale my już wybiegamy na zewnątrz. Adam bierze Jamesa na ręce i gnamy przez ulice z nagłym błyskiem oślepiającego światła. Deszcz ustał. Drogi są śliskie

i błotniste. Wszędzie są dzieci, małe postacie w jaskrawych kolorach, które nagle zaczynają krzyczeć na nasz widok. Nie ma już sensu myśleć o kamuflażu. Już nas znaleźli.

Kenji zostaje w tyle, idzie, potykając się, w jakimś ostatnim przyplywie adrenaliny. Skręcamy z wąską uliczkę, a on osuwa się na ścianę.

- Przepraszam - dyszy. - Nie mogę... Możecie mnie zostawić...

- Nie możemy cię zostawić! - krzyczy Adam, rozglądając się, jakby chciał zapamiętać szczegóły otoczenia.

- To urocze, stary, ale nie pogniewam się...

- Musisz pokazać nam drogę!

- Oż, cholera...

- Powiedziałeś, że nam pomożesz....

- Powiedziałeś, że mamy transporter opancerzony...

- Gdybyś nie zauważył: zaszły nieoczekiwane zmiany...

- Nie dam rady, Kent. Ledwie chodzę...

- Musisz spróbować...

- Rebelianci na wolności. Są uzbrojeni i gotowi do użycia broni. Zarządza się godzinę policyjną. Wszyscy do domów. Rebelianci na wolności. Są uzbrojeni i gotowi do użycia...

Głośniki wrzeszczą, ściągając uwagę na nas, stłoczonych w wąskiej uliczce. Kilkoro ludzi zauważa nas i zaczyna krzyczeć. Kroki są coraz głośniejsze. Strzały coraz bardziej zajadłe.

Przez chwilę badam otaczające nas budynki i zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy w strefie zasiedlonej. Ulica, na której mieszka James, znajduje na ziemiach nieuregulowanych: rząd opuszczonych biurów stłoczonych razem, pozostałości naszego dawnego życia. Nie rozumiem, dlaczego on nie mieszka w bloku, jak pozostali. Nie mam czasu się zastanawiać, dlaczego widzę tylko przedstawicieli dwóch grup

wiekowych, dlaczego osierocone dzieci i osoby starsze są tu jedynymi mieszkańcami, dlaczego zostali wyrzuceni na nie-
dozwolony teren pełen żołnierzy, których też nie powinno tu
być. Uciekamy. Boję się zastanawiać nad odpowiedziami na
swoje pytania i w przypiływie paniki boję się o życie Jamesa.
Oglądam się w biegu, zerkając na jego małe ciało otulone ra-
mionami Adama.

Jego oczy są tak mocno zaciśnięte, że muszą go boleć.

Adam przeklina pod nosem. Kopniakiem otwiera pierwsze z
brzegu drzwi opuszczonego budynku i wrzeszczy, żebyśmy
wchodzili za nim do środka.

- Chcę, żebyś tutaj został - mówi do Kenjiego. - Może
straciłem rozum, ale muszę zostawić z tobą Jamesa. Musisz go
przypilnować. Szukają Julii i szukają mnie. Nie będą szukali
was.

- Co ty zamierzasz zrobić? - pyta Kenji.

- Muszę ukraść samochód. Potem po was wrócę. - James
nawet nie protestuje, kiedy Adam stawia go na ziemi. Jego
maleńkie usta są białe. Oczy szeroko otwarte. Ręce mu drżą.
-Wrócę po ciebie, James - powtarza Adam. - Obiecuję.

James bez przerwy kiwa głową. Adam całuje go w czoło, raz,
mocno, szybko. Rzuca nasze torby na podłogę. Mówi do
Kenjiego:

- Jeżeli pozwolisz, żeby coś mu się stało, zabiję cię. Kenji się
nie śmieje. Nie wygląda na zagniewanego. Bierze
głęboki oddech.

- Zajmę się nim.

- Julio.

Adam bierze mnie za rękę i znikamy na ulicy.

Drogi są pełne ludzi, którzy próbują uciekać. Adam i ja chowamy broń za paski spodni, ale mamy wrażenie, że zdradzają nas dzikie spojrzenia i gwałtowne ruchy. Wszyscy trzymają się od nas z daleka, rzucają się w przeciwnym kierunku, niektórzy piszczą, krzyczą, płaczą, rzucają rzeczy, które akurat niosą. Ale w zasięgu wzroku nie ma ani jednego samochodu. Pewnie rzadko się je widuje, szczególnie w tej okolicy.

Adam popycha mnie na ziemię dokładnie w chwili, kiedy jakiś pocisk przelatuje obok mojej głowy. Strzela w kolejne drzwi i biegniemy przez coś w rodzaju labiryntu w poszukiwaniu drugiego wyjścia ze zrujnowanego budynku, który kiedyś był sklepem z odzieżą. Słyszę strzały i odgłosy kroków tuż za nami. Musi nas gonić przynajmniej setka żołnierzy, podzielonych na grupy, rozproszonych po różnych częściach miasta, gotowych nas złapać i zabić.

Ale wiem, że mnie nie zabiją.

Boję się o Adama.

Próbuję trzymać się jak najbliżej niego, bo jestem pewna, że Warner wydał im rozkaz przyprowadzenia mnie żywej.

Jednak moje wysiłki są w najlepszym razie wątpliwe. Adam jest zbyt wysoki i mocno zbudowany, żebym go mogła osłonić. Każdy, kto potrafi celnie strzelać, bez trudu może do niego wymierzyć. Mogą strzelić mu prosto w głowę. Na moich oczach.

Adam odwraca się i strzela. Raz pudłuje. Za drugim razem rozlega się zduszony krzyk. Wciąż biegniemy.

Adam nic nie mówi. Nie mówi, żebym była dzielna. Nie pyta, czy nic mi nie jest, czy się boję. Nie próbuje dodawać mi otuchy ani zapewniać mnie, że nic nam się nie stanie. Nie mówi, żebym go zostawiła i sama uciekała. Nie mówi mi, żebym zaopiekowała się jego bratem, gdyby on zginął.

Nie musi.

Oboje rozumiemy, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. Adam może zostać zastrzelony w każdej chwili. Może zostać złapany. Cały budynek może wylecieć w powietrze. Ktoś może znaleźć Kenjiego i Jamesa. Wszyscy możemy dzisiaj zginąć. To oczywiste.

Ale równie dobrze wiemy, że musimy wykorzystać szansę.

A posuwanie się naprzód to jedyny sposób.

Pistolet robi się śliski w mojej dłoni, ale i tak go trzymam. Moje nogi krzyczą z bólu, ale i tak je popędzam. Płuca piłują mi klatkę piersiową na pół, ale zmuszam je, żeby dalej dostarczały tlen. Nie mogę przestać się poruszać. Nie ma czasu na ludzkie słabości.

Wyjście awaryjne z tego budynku wydaje się niemożliwe do znalezienia. Nasze kroki rozbrzmiewają na wykafelkowanych podłogach, prawie po omacku szukamy w bladym świetle jakiegoś wyjścia na ulicę. Budynek jest bardziej rozległy, niż sądziliśmy, potężny, mamy do wyboru setki kierunków. Zdaję sobie sprawę, że to musiało być coś większego niż sklep, może jakiś magazyn. Adam nurkuje za opuszczone biurko, pociągając mnie za sobą.

- Nie bądź głupi, Kent. Nie możesz uciekać w nieskończoność! - krzyczy ktoś. Głos dobiega z odległości nie większej niż 3 metry.

Adam przełyka ślinę. Zaciska zęby. Próbuje go zabić ci sami ludzie, z którymi kiedyś jadał lunch. Trenował. Mieszkał. Zna tych chłopaków. To raczej nie ułatwia sprawy.

- Po prostu oddaj nam dziewczynę - dodaje nowy głos.
- Oddaj nam dziewczynę, a my cię nie zastrzelimy. Będziemy udawali, że cię zgubiliśmy. Pozwolimy ci uciec. Warner chce tylko dziewczynę.

Adam ciężko oddycha. Chwyta za broń. Na ułamek sekundy wystawia głowę i strzela. Ktoś z krzykiem upada na podłogę.

- Kent, ty sukin...

Adam wykorzystuje ten moment na ucieczkę. Wyskakujemy zza biurka i przelatujemy w stronę klatki schodowej. Strzały chybiają o milimetry. Zastanawiam się, czy tylko ci dwaj weszli za nami do środka.

Spiralna klatka schodowa prowadzi na niższy poziom, który jest czymś w rodzaju piwnicy. Ktoś próbuje mierzyć do Adama, ale nasze nieskoordynowane ruchy bardzo to utrudniają. Możliwość, że trafi mnie zamiast jego, jest zbyt duża. Rzucą w ślad za nami stek przekleństw.

Adam strąca po drodze jakieś przedmioty, próbuje zrobić coś, co odwróci uwagę, w jakiś sposób spowolni żołnierza za nami. Dostrzegam podwójne drzwi schronu przeciwburzowego. Widocznie do tego służyła piwnica. Okolicę nawiedzały tornada. Pogoda jest nieprzewidywalna, a klęski żywiołowe dość częste. Cyklony musiały obracać miasto w ruinę.

- Adam... - Ciągnę go za ramię. Chowamy się za niskim murkiem. Wskazuję na jedyną drogę ucieczki.

Ściska moją dłoń.

- Masz oko.

Ale nie ruszamy się, czekając na drgnienie powietrza. Fałszywy krok, stłumiony krzyk. Panuje tu prawie całkowita ciemność, prąd oczywiście odłączono już dawno temu. Wreszcie żołnierz potyka się o jedną z przeszkód, którą zostawił za sobą Adam.

Adam trzyma broń przy piersi. Bierze głęboki oddech. Odwraca się i strzela.

Celnie.

Potwierdza to eksplozja przekleństw.

- Strzelam, żeby ich unieruchomić - mówi. - Nie żeby zabić.

- Wiem - zapewniam. Chociaż wcale nie byłam pewna.

Biegniemy do drzwi, a Adam szarpie zasuwę. Jest tak zardzewiała, że odsunięcie jej wydaje się niemożliwe. Ogarnia nas czarna rozpacz. Nie wiem, ile minie czasu, zanim znajdzie nas inna grupa żołnierzy. Właśnie mam zaproponować Adamowi, żeby spróbował ją przestrzelić, kiedy wreszcie udaje mu się ją odsunąć.

Otwiera drzwi kopniakiem i chwiejnie wydostajemy się na ulicę. Mamy do wyboru trzy samochody.

Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym płakać.

- W samą porę - słyszę. Tylko że to nie Adam mówi.

Wszędzie jest krew.

Adam leży na ziemi zwinięty z bólu, ale nie widzę, gdzie został trafiony. Wokół niego roi się od żołnierzy. Drapię czyjeś ramiona, które mnie przytrzymują, kopię w powietrze, krzyczę w pustkę. Ktoś mnie odciąga, nie wiem, co zrobili Adamowi. Czuję ból chwytający mnie za ręce i nogi, wykręcający mi stawy, łamiący kości. Chcę krzyczeć, chcę upaść na kolana i łkać w ziemię. Nie rozumiem, dlaczego nie mogę wykrzyczeć całego swojego cierpienia. Dlaczego moje usta zakrywa czyjaś dłoń.

- Puszczę, jeżeli obiecasz nie krzyczeć - mówi do mnie.

Dotyka mojej twarzy gołymi rękami. Nie wiem, gdzie upuściłam pistolet.

Warner zaciąga mnie do jakiegoś wciąż jeszcze czynnego budynku i kopniakiem otwiera drzwi. Uderza w przełącznik. Migotają fluorescencyjne żarówki i zapalają się z głuchym brzęczeniem. Na ścianach pozawieszane są obrazki, na korkowych tablicach wiszą tęczę ułożone z liter alfabetu. Dookoła porozstawiane są małe stoliki. Jesteśmy w szkolnej klasie.

Może to tutaj James chodził do szkoły. Warner opuszcza rękę. Paraliżuje mnie zadowolenie, jakie wyrażają jego szkliste zielone oczy.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - mówi. - Chyba nie sądziłaś, że tak łatwo pozwolę ci odejść?

- Strzeliłeś do Adama - to jedyne słowa, jakie przychodzą mi na myśl. W głowie mam mętlik niedowierzania. Wciąż widzę jego zachwycające ciało na ziemi, a wokół czerwień czerwień czerwień. Muszę wiedzieć, czy żyje. Musi żyć.

Błyskają oczy Warnera.

- Kent nie żyje. - Nie...

Cofam się w róg pomieszczenia. Nagle zdaję sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka bezbronna. Tak bezradna. Przeżyłam 17 lat, marząc, aby przekleństwo zostało ze mnie zdjęte, a teraz tak rozpaczliwie pragnę je odzyskać. Oczy Warnera nieoczekiwanie stają się cieplejsze. Trudno nadążyć za ciągłymi zmianami jego emocji. Trudno się przed nimi bronić.

- Julio - mówi. Dotyka mojej dłoni. Zaskakuje mnie swoją delikatnością. - Zauważyłaś? Wygląda na to, że jestem odporny na twój dar. - Bada moje oczy. - Prawda, że to niewiarygodne? Zauważyłaś? - pyta znowu. - Kiedy próbowałaś uciec? Poczulaś to...?

Warner, który absolutnie niczego nie przegapi. Warner, który przyswaja każdy szczegół. Oczywiście, że wie.

Mimo wszystko szokuje mnie czułość w jego głosie. Szczera chęć poznania prawdy. Jest jak zdziczały pies, oszalały i wściekły, żądny chaosu, a jednocześnie spragniony uznania i akceptacji.

Miłości.

- Naprawdę możemy być razem - mówi niezniechęcony moim milczeniem. Przyciąga mnie bliżej, zbyt blisko.

Czuję się obezwładniona przez pięćset warstw strachu. Sparaliżowana żalem, niedowierzaniem.

Zbliża ręce do mojej twarzy, usta do moich ust. W głowie mam ogień, mój umysł gotów jest eksplodować porażony nieprawdopodobieństwem tej chwili. Czuję się tak, jakbym obserwowwała, co się dzieje, oddzielona od swojego ciała, niezdolna do interwencji. Wszystko inne przysłania szok wywołany przez jego delikatne dłonie, jego żarliwe spojrzenie.

- Chcę, żebyś wybrała mnie - mówi. - Żebyś zdecydowała się ze mną być. Chcę, żebyś ty też tego chciała...

- Jesteś szalony - wykrztuszam. - Jesteś chory psychicznie...

- Boisz się tego, do czego jesteś zdolna. - Jego głos jest miękki. Spokojny. Powolny. Brzmi przekonująco. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jaki atrakcyjny może być jego głos. - Przyznaj - mówi. - Jesteśmy dla siebie stworzeni. Chcesz władzy. Uwielbiasz czuć w dłoni broń. Pociągam cię.

Próbuję zamachnąć się pięścią, ale chwytą mnie za przedramiona. Przytrzymuje je wzdłuż mojego ciała. Przyciska mnie do ściany. Jest znacznie silniejszy, niż się wydaje.

- Nie okłamuj się, Julio. Wrócisz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie. Ale możesz zdecydować, że tego chcesz. Możesz się tym cieszyć...

- Nigdy - mówię łamiącym się szeptem. - Jesteś chory... jesteś chorym wykolejeńcem, zwyrodnialcem...

- To nie jest właściwa odpowiedź - mówi i wydaje się szczerze rozczarowany.

- To jedyna odpowiedź, jakiej możesz się ode mnie spodziewać.

Jego usta są zbyt blisko.

- Ale ja cię kocham.

- Nieprawda.

Jego oczy się zamykają. Opiera czoło o moje.

- Nie masz pojęcia, co mi robisz.

- Nienawidzę cię.

Kręci głową bardzo powoli. Nachyla się. Jego nos muska mój kark, a ja sztywnieję od pełnego grozy dreszczu, który on interpretuje po swojemu. Jego usta dotykają mojej skóry, a ja wydaję z siebie jęk.

- Boże, marzę o tym, żeby odgryźć kęs twojego ciała. Dostrzegam srebrny błysk w wewnętrznej kieszeni jego kurtki.

Czuję dreszcz nadziei. Dreszcz przerażenia. Zbieram siły na to, co muszę zrobić. Przez chwilę opłakuję utratę własnej godności.

I odprężam się.

On czuje, że napięcie ucieka z mojego ciała. Uśmiecha się, rozluźnia uchwyt na moich ramionach. Jego ręce otaczają mnie w talii. Przełykam odruch wymiotny, który może mnie zdemaskować.

Jego wojskowa kurtka ma milion guzików i zastanawiam się, ile ich będę musiała odpiąć, zanim dostanę się do pistoletu. Jego ręce przemierzają moje ciało, ześlizgują się po moich plecach. Tylko jedno mogę zrobić, aby powstrzymać jego zuchwalstwo. Nie mam wystarczających umiejętności, żeby go obezwładnić, nie mam pojęcia, dlaczego może mnie dotknąć. Nie wiem, jak wczoraj udało mi się przebić beton. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła tamta energia.

Dzisiaj to on ma przewagę pod każdym względem, ale to nie czas, aby się zdradzić.

Jeszcze nie.

Kładę ręce na jego piersi. Przyciska mnie do swojego ciała. Unosi mój podbródek, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Będę dla ciebie dobry - szepcze. - Będę dla ciebie taki dobry, Julio. Obiecuję.

Mam nadzieję, że nie czuje mojego drżenia.

Całuje mnie. Łapczywie. Rozpaczliwie. Chce dostać się do mojego wnętrza i posmakować mnie. Jestem jak sparaliżowana, przerażona, otoczona kokonem szaleństwa. Zapominam się. Stoję zastygła, zde gustowana. Moje ręce ześlizgują się z jego piersi. Mogę myśleć tylko o Adamie i krwi, Adamie i dźwięku strzałów, Adamie w kałuży krwi i prawie odpycham od siebie Warnera. Ale on się nie zniechęca.

Przerywa pocałunek. Szepcze mi do ucha coś, co nie ma żadnego sensu. Ujmuje w dłonie moją twarz i tym razem pamiętam, że mam udawać. Chwytam jego kurtkę, przyciągam go do siebie i całuję z całą energią, na jaką mnie stać. Moje palce tymczasem już próbują odpiąć pierwszy z jego guzików. Warner chwyta za moje biodra i pozwala dłoniom na dalszą wędrówkę. Smakuje miętą, pachnie gardeniami. Jego ramiona są silne, usta miękkie, prawie słodkie. Między nami iskrzy. To coś, czego nie przewidziałam.

Kręci mi się w głowie.

Jego usta są na mojej szyi, smakują mnie, pozerają, a ja zmuszam się, żeby jasno myśleć. Z trudem pojmuję perwersję tej sytuacji. Nie wiem, jak pogodzić własne zagubienie, niezdecydowany wstręt i niewyjaśnioną reakcję na jego usta. Muszę to mieć za sobą. Zaraz.

Sięgam do jego guzików.

To jeszcze wzmacnia jego podniecenie.

Podnosi mnie, trzymając w talii, przyciska do ściany, jego ręce chwytają moje pośladki, a potem owijają wokół jego bioder moje nogi. Nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ułatwił mi zadanie.

Jego usta odnajdują moje usta, jego ręce wślizgują mi się pod bluzkę. Ciężko dyszy, zaciskając uchwyt wokół mnie, a ja w skrajnej desperacji praktycznie rozdzieram jego kurtkę. Nie mogę pozwolić, żeby to dłużej trwało. Nie wiem, do

czego Warner może się posunąć, ale nie mogę dalej prowokować jego szaleństwa.

Potrzebuję, żeby nachylił się jeszcze kilka centymetrów...

Zaciskam ręce na broni.

Czuję, jak zastyga. Odsuwa się. Obserwuję na jego twarzy kolejne fale emocji, kadry dezorientacji/przerażenia/bólu/zgrozy/gniewu. Puszczam mnie dokładnie w chwili, gdy moje palce pociągają za spust.

Siła wystrzału jest obezwładniająca, dźwięk o wiele głośniejszy, niż się spodziewałam. Pogłos wibruje mi w uszach i w każdym uderzeniu mojego serca.

To słodki rodzaj muzyki.

Moje małe zwycięstwo.

Ponieważ tym razem to nie jest krew Adama.

Warner leży.

A ja wstaję i uciekam z jego bronią.

Muszę znaleźć Adama. Ukraść samochód. Znaleźć Jamesa i Kenjiego. Nauczyć się prowadzić. Dowieźć nas bezpiecznie na miejsce. Muszę zrobić wszystko dokładnie w tej kolejności.

Adam nie może umrzeć.

Adam nie umarł.

Adam nie umrze.

Moje stopy uderzają o asfalt w jednostajnym rytmie, moja bluzka i twarz są pochłapane krwią, w zachodzącym słońcu widać jeszcze lekkie drżenie moich rąk. Gwałtowna bryza świszczę, wyrywając mnie z szalonej rzeczywistości, w której pływam. Biorę głęboki oddech, mrużę oczy, patrząc na niebo, i zdaję sobie sprawę, że niedługo zrobi się ciemno. Przynajmniej ulice już dawno opustoszały. Ale mam dokładnie zerowe pojęcie o tym, gdzie mogą się teraz podziewać ludzie Warnera.

Zastanawiam się, czy Warner też ma surowicę naprowadzającą. Zastanawiam się, czy wiedzieliby, gdyby nie żył.

Przebiegam przez ciemne zaułki, staram się odczytywać wskazówki na ulicach, próbuję sobie przypomnieć, gdzie Adam upadł, ale moja pamięć działa słabo, zbyt łatwo się rozpraszam, mój umysł jest zbyt niespokojny, żeby odtworzyć informacje o detalach. W moim mózgu tamta koszmarna chwila zamieniła się w pełen obłędu chaos. Nie potrafię odnaleźć w nim żadnego sensu, a Adam może teraz być wszędzie. Mogli mu zrobić wszystko.

Nie wiem nawet, czego szukam.

~~Możliwe, że tracę czas.~~

Słyszę jakieś poruszenie i rzucam się w boczną uliczkę, moje palce zaciskają się wokół broni, śliskiej w dotyku. Teraz, kiedy już strzelałam, jestem jej bardziej pewna, bardziej świadoma, jak działa i czego się spodziewać. Ale nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy bać, że tak szybko zaczynam odczuwać spokój dzięki czemuś tak śmiercionośnemu.

Kroki.

Ślizgam się wzdłuż ściany, rękami i nogami przylegając do chropowatej powierzchni. Mam nadzieję, że jestem ukryta w jej cieniu. Zastanawiam się, czy ktoś już znalazł Warnera.

Obserwuję żołnierza przechodzącego niedaleko mnie. Na piersi ma karabiny, a w dłoniach jakąś mniejszą broń automatyczną. Zerkam na pistolet w swoich własnych rękach i zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, ile jest różnych typów broni. Wiem tylko, że jedne są większe od innych. Niektóre ciągle trzeba ładować. Niektórych, jak ta, którą trzymam, nie. Może Adam mi kiedyś wyjaśni, czym się różnią.

Adam.

Wciągam powietrze i dalej chyłkiem przemykam ulicami. Dostrzegam wyjątkowo ciemny cień na chodniku przed sobą i staram się go ominąć. Ale w miarę jak się zbliżam, zdaję sobie sprawę, że to nie cień. To plama.

Krew. Adama.

Zaciskam zęby, aż ból płoszy mój krzyk. Oddycham płytko, zbyt szybko. Muszę się skupić. To ważne. Muszę uważać... Muszę iść szlakiem krwi.

Ktokolwiek ciągnął Adama, nie wrócił, żeby posprzątać. Równy pochłapany ślad oddala się od głównych ulic w stronę słabo oświetlonych bocznych zaułków. Oświetlenie jest tak słabe, że muszę się schylać, żeby odnaleźć plamy na ziemi. Tracę je z oczu. Jest ich tu mniej. Mam wrażenie, że całkowicie zniknęły. Nie wiem, czy ciemne ślady, które znajduję, są krwią czy wdeptanymi w chodnik kawałkami gumy do żucia albo kroplami życia z ciała innego człowieka. Nie widać już ścieżki Adama.

Cofam się kilka kroków i odnajduję linię.

Muszę to zrobić 3 razy, zanim odkrywam, że zabrali go do budynku. Jest tu stara stalowa konstrukcja z zardzewiałymi drzwiami, które wyglądają tak, jakby nigdy nie były otwierane. Jakby nie używano ich od lat. Nie widzę innej możliwości.

Naciskam klamkę. Drzwi są zamknięte.

Napieram na nie całym ciężarem ciała, walę w nie, ale udaje mi się tylko zarobić kilka siniaków. Mogłabym drzwi przestrzelić, widziałam, jak to robił Adam, ale nie mam zaufania do swojej celności ani sprawności w posługiwaniu się bronią, nie jestem też pewna, czy mogę sobie pozwolić na taki hałas. Boję się zdradzić swoją obecność.

Musi być jakieś inne wejście do tego budynku.

Nie ma innego wejścia do tego budynku.

Moja frustracja rośnie, ogarnia mnie czarna rozpacz, jestem bliska załamania, chce mi się krzyczeć, ile sił w płucach. Adam jest w tym budynku. Musi być w tym budynku.

Stoję dokładnie przed wejściem i nie mogę się dostać do środka.

To nie może być prawda.

Zaciskam pięści, próbuję opanować nieznośną bezsilność, która trzyma mnie w swoim uścisku, ale czuję się tak, jakbym miała postradać zmysły. Jestem dzika. Szalona. Adrenalina gdzieś ulatuje, koncentracja zawodzi, słońce kładzie się na horyzoncie, a ja przypominam sobie o Jamesie, Kenjim i Adamie ~~Adamie Adamie i rękach Warnera na moim ciele i jego wargach na moich ustach i jego języku na mojej szyi~~

i całej tej krwi

wszędzie

wszędzie

wszędzie

i robię coś głupiego. Zamierzam się pięścią.

W jednej chwili mój umysł dogania mięśnie i przygotowuje się na uderzenie ręką w stal, na ból pogruchotanych kości prawej dłoni. Ale moja pięść przelatuje przez prawie 40 centymetrów stali, jakby to było masło. Stoję jak wryta. Wykorzystuję tę samą nieprzewidywalną energię i kopię w drzwi. Rękami rozdzieram stal na strzępy, wydrapuję sobie drogę przez metal jak dzikie zwierzę.

To niesamowite. Porywające. Całkowicie szalone.

To tak musiałam się przebić przez ścianę w izbie tortur Warnera. Co oznacza, że wciąż nie mam pojęcia, w jaki sposób przebiłam się przez ścianę w izbie tortur Warnera.

Wspinam się przez dziurę, którą zrobiłam, i wślizguję się w cień. To nie jest trudne. Wewnątrz panuje półmrok. Żadnych świateł, dźwięków maszyn ani elektryczności. Po prostu kolejny opuszczony magazyn porzucony na pastwę żywiołów.

Sprawdzam podłogę, ale nie ma tu śladów krwi. Moje serce jednocześnie unosi się i opada. On musi być zdrowy. Musi żyć. Adam nie zginął. To niemożliwe.

Adam obiecał Jamesowi, że po niego wróci.

Nigdy by nie złamał tej obietnicy.

Z początku posuwam się wolno z obawy, że mogą tu być żołnierze, ale niebawem okazuje się, że w budynku nikogo nie ma. Zaczynam biec.

Chowam ostrożność do kieszeni z nadzieją, że w razie potrzeby zdążę po nią sięgnąć. Przelatuję przez drzwi, zbieram zakręty, chłonę szczegóły otoczenia. To nie mógł być magazyn. To jakaś fabryka.

Stłoczone pod ścianami stare maszyny, zastygłe w bezruchu taśmociągi, tysiące pudeł poustawianych niepewnie w wysokie sterty. Słyszę czyjś niewyraźny oddech. Zdławiony kaszel.

Rzucam się przez ciąg wahadłowych drzwi w poszukiwaniu tego nikłego dźwięku, walcząc z sobą, żeby skupić się na najdrobniejszych szczegółach. Wyteżam słuch i słyszę go znowu.

Ciężki, mozolny oddech.

Im bardziej się zbliżam, tym wyraźniej go słyszę. To musi być on. Trzymam pistolet wycelowany przed siebie i gotowy do strzału, wzrok mam uważny, spodziewam się napastników. Moje nogi poruszają się szybko, łatwo, cicho. Omal nie strzelam do cienia, który pudła rzucają na podłogę. Uspokajam oddech. Skręcam za kolejny róg.

I prawie mdleję.

Adam wisi przywiązany za nadgarstki, bez koszuli, cały zakrwawiony i posiniaczony. Jego głowa zwisa bezwładnie, lewa noga zalana jest krwią, mimo opaski uciskowej związanej na udzie. Nie wiem, jak długo ciężar całego ciała obciążał jego nadgarstki. Nie ma zwichniętych ramion. Widocznie wcięż walczy, żeby się utrzymać.

Lina związana w nadgarstkach jest przywiązana do jakiegoś metalowego pręta biegnącego pod sufitem. Przyglądam się bliżej i zdaję sobie sprawę, że pręt jest częścią taśmociągu. Adam jest na taśmociągu.

To nie jest fabryka. To rzeźnia.

Histeria to luksus, na który chwilowo mnie nie stać.

Muszę znaleźć sposób, żeby opuścić go na ziemię, ale boję się zbliżyć. Moje oczy przeszukują przestrzeń w przekonaniu, że gdzieś muszą być strażnicy, żołnierze, którzy czyhają, aż wpadnę w zasadzkę. Ale wtedy przychodzi mi do głowy, że może wcale się mnie nie spodziewają. Skoro Warnerowi udało się mnie odciągnąć.

Nikt nie przypuszcza, że się tu pojawię.

Wspinam się na taśmociąg, a Adam próbuje podnieść głowę. Muszę być ostrożna, nie przyglądać się zbyt dokładnie jego ranom, nie pozwolić, żeby okaleczyła mnie własna wyobraźnia. Nie tutaj. Nie teraz.

- Adam...?

Jego głowa podrywa się w nagłym przypiływie energii. Jego oczy mnie odnajdują. Jego twarz właściwie wyszła bez szwanku - ma na niej tylko niewielkie skaleczenia i siniaki. Znany widok pomaga mi się uspokoić.

- Julio...?

- Muszę cię odciąć...

- Jezu, Julio... jak mnie znalazłaś? - Kaszle. Oddycha chrapliwie. Z trudem nabiera powietrza.

- Później. - Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego twarzy. -Później ci wszystko opowiem. Najpierw muszę znaleźć jakiś nóż.

- W moich spodniach... - Co?

- W... - przełyka - w moich spodniach...

Sięgam do jego kieszeni, a on kręci głową. Podnoszę wzrok.

- Gdzie...

- Mam wewnętrzną kieszeń...

Prawie rozrywam na nim ubranie. Wewnątrz jego spodni jest wszyta niewielka kieszeń. Wsuwam rękę i wydostaję scyzoryk. Motylek. Widziałam już takie noże.

Są nielegalne.

Zaczynam ustawiać pudła na taśmociągu. Wspinam się po nich i w Bogu pokładam nadzieję, że wiem, co robię. Nóż jest bardzo ostry i szybko udaje mi się przeciąć nim więzy. Trochę poniewczasie zdaję sobie sprawę, że lina, którą Adam jest związany, to ten sam sznur, którego użyliśmy do ucieczki.

Adam jest wolny. Schodzę na dół, zamykam nóż i chowam go do kieszeni. Nie wiem, jak wydostanę stąd Adama. Nadgarstki, obtarte do żywego mięsa, krwawią, jego dotkliwie pobite ciało jest ucieleśnieniem bólu, noga krwawi z rany postrzałowej.

Adam prawie się przewraca.

Próbuję podtrzymać go tak delikatnie, jak to możliwe, nie sprawiając mu bólu. Nic nie mówi, z całych sił stara się ukryć, że ma trudności z oddychaniem. Krzywi się, ale nie wydaje z siebie ani słowa skargi.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie znalazłaś - to wszystko, co mówi.

Wiem, że nie powinnam. Że to nie najlepsza pora. Że to niepraktyczne. Ale i tak go całuję.

- Nie umrzesz - mówię. - Wydostaniemy się stąd. Ukradniemy samochód. Znajdziemy Jamesa i Kenjiego. A potem będziemy bezpieczni.

Patrzy na mnie.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - mówi. A ja go całuję.

Całą wieczność zajmuje nam dotarcie z powrotem do drzwi. Ukryli Adama głęboko w zakamarkach budynku i znalezienie wyjścia jest jeszcze trudniejsze, niż się spodziewałam.

Adam bardzo się stara, posuwa się najszybciej, jak może, ale to wciąż znaczy powoli.

- Powiedzieli, że Warner chce mnie zabić osobiście - wyjaśnia. - Że specjalnie postrzelił mnie w nogę tylko po to, żeby mnie obezwładnić. Dzięki temu mógł cię odciągnąć i później wrócić po mnie. Widocznie miał w planie zamęczyć mnie na śmierć - krzywi się. - Powiedział, że chce się tym nacieszyć. Nie chciał się spieszyć. - Głośny śmiech. Krótki kaszel.

~~Jego ręce na moim ciele jego ręce na moim ciele jego ręce na moim ciele~~

- Związali cię i zostawili?

- Powiedzieli, że nikt mnie tu nigdy nie znajdzie. Powiedzieli, że budynek jest cały z betonu i wzmocniony stalą, więc nikomu nie uda się dostać do środka. Warner miał po mnie wrócić, kiedy będzie gotowy - przerywa. Patrzy na mnie. -Boże, jestem taki szczęśliwy, że nic ci nie jest.

Uśmiecham się. Próbuję nie rozpaść się na kawałki.

Przystaje, kiedy docieramy do drzwi. Wyglądają jak sterta złomu. Jakby zaatakowało je dzikie zwierzę, ale przegrało walkę.

-Jak ty...

- Nie wiem - przyznaję. Próbuję wzruszyć ramionami, okazać obojętność. - Po prostu w nie rąbnęłam.

- Po prostu w nie rąbnęłaś.

- I kopnęłam. Tak trochę.

Uśmiecha się, a mnie chce się płakać w jego ramionach. Muszę się skupić na jego twarzy. Nie mogę pozwolić swoim oczom na poznawanie jego obrażeń.

- Chodź - mówię. - Zróbmy coś nielegalnego.

Zostawiam Adama w cieniu i biegnę do głównej ulicy w poszukiwaniu porzuconych pojazdów. Muszę przebyć 3 uliczki, zanim udaje mi się jakiś znaleźć.

- Jak się trzymasz? - pytam Adama, bojąc się odpowiedzi.

Zaciśnięte usta. Ruch przypominający skinienie głowy.

- W porządku. Niedobrze.

- Zaczekaj tu.

Jest ciemno, choć oko wykol, w zasięgu wzroku nie świeci ani jedna latarnia. To dobrze. I źle. Ciemność daje mi przewagę, ale też sprawia, że jestem bardziej narażona na atak. Muszę być ostrożna. Na palcach skradam się do samochodu.

Jestem gotowa, żeby rozbić szybę, ale najpierw sprawdzam klamkę. Tak na wszelki wypadek.

Drzwi nie są zamknięte.

Kluczyki tkwią w stacyjce.

Na tylnym siedzeniu leży torba z zakupami.

Ktoś musiał wpaść w panikę na dźwięk alarmu i nieoczekiwane ogłoszenie godziny policyjnej. Porzucił wszystko i pobiegł szukać schronienia. Niewiarygodne. Byłoby wprost idealnie, gdybym miała pojęcie o prowadzeniu samochodu.

Wracam po Adama i pomagam mu dojść do siedzenia pasażera. Kiedy siada, wiem już, jaki ból sprawia mu poruszanie się. Ucisk na żebra. Napięcie mięśni.

- W porządku - mówi. Kłamie. - Nie mogę dłużej stać. Sięgam na tylne siedzenie i grzebię w torbach z zakupami.

W środku jest prawdziwe jedzenie. Nie same dziwne kostki rosołowe do automatu, ale owoce i warzywa. Nawet Warner nigdy nie dawał nam bananów. Podaję żółty owoc Adamowi.

- Zjedz to.

- Chyba nie dam rady jeść... - milknie. Patrzy na kształt w swoich rękach. - Czy to jest to, co myślę, że jest?

- Myślę, że tak.

Nie mamy czasu, żeby analizować nierealność tej sytuacji. Obieram owoc dla Adama. Namawiam, żeby ugryzł mały

kawałek. Mam nadzieję, że dobrze robię. Słyszałam, że banany zawierają potas. Oby go nie zwymiotował.

Próbuję się skupić na urządzeniach pod stopami.

- Jak myślisz, ile mamy czasu, zanim Warner nas znajdzie? - pyta Adam.

Wdycham kilka porcji tlenu.

- Nie wiem. Cisza.

- Jak ci się udało mu uciec...?

Odpowiadam ze wzrokiem utkwionym w przednią szybę.

- Strzeliłam do niego.

- Nie. - Osłupienie. Podziw. Zdumienie.

Pokazuję mu pistolet Warnera. Ma grawerowaną rękojeść. Adam jest oszołomiony.

- Więc on... nie żyje?

- Nie wiem - przyznaję w końcu ze wstydem. Spuszczam wzrok, badam rowki na kierownicy. - Nie jestem pewna.

Za dużo czasu zajęło mi naciśnięcie spustu. Chodził ciężiej, niż się spodziewałam. Trudniej, niż sobie wyobrażałam, było utrzymać w rękach pistolet. Warner już mnie puszczał, kiedy pocisk przeszył jego ciało. Celowałam w serce.

Mogę mieć tylko nadzieję, że nie spudłowałam.

Milczymy.

- Adam... -Tak?

- Nie umiem prowadzić.

- Masz szczęście, że tu nie ma ręcznej skrzyni biegów -Adam próbuje się śmiać.

- Ręcznej?

- Manualnej.

- To znaczy jakiej?

- Trochę bardziej skomplikowanej. Przygryzam wargę.

- Pamiętasz, gdzie zostawiliśmy Jamesa i Kenjiego? -Nawet nie chcę brać pod uwagę możliwości, że się przemieścili. Zostali znaleźieni. Czegokolwiek podobnego. Nic takiego nie mieści mi się w głowie.

- Tak. - Wiem, że myśli dokładnie o tym samym co ja.

- Jak tam dojechać?

Adam mówi, że prawy pedał to gaz. Lewy to hamulec. Muszę ustawić drążek w pozycji D, jak „Drive”. Skręcam kierownicą. W lusterkach można zobaczyć, co jest z tyłu. Nie mogę włączyć świateł i będę musiała liczyć na to, że księżyc oświetli mi drogę.

Przekręcam kluczyk, wciskam hamulec, ustawiam drążek na „Drive”. Głos Adama to jedyny system nawigacyjny,

jakiego potrzebuję. Puszczam hamulec. Wciskam gaz. Prawie rozbijam się o ścianę.

W taki sposób dostajemy się z powrotem do opuszczonego budynku.

Gaz. Hamulec. Gaz. Hamulec. Za dużo gazu. Za ostre hamowanie. Adam nie narzeka, ale to jest chyba jeszcze gorsze. Mogę sobie tylko wyobrażać, co taka jazda robi z jego ranami. Jestem wdzięczna, że przynajmniej żyjemy. Na razie.

Nie wiem, dlaczego nikt nas nie zauważył. Przychodzi mi do głowy, że może Warner naprawdę zginął. Może wszystko jest pogrążone w chaosie. Może to dlatego nie ma w mieście żołnierzy. Wszyscy zniknęli.

Chyba.

Zapominam, że trzeba ustawić drążek na „Park”, kiedy dojeżdżamy do znajomo zrujnowanego budynku. Adam wyciąga rękę i robi to za mnie. Pomagam mu przenieść się na tylne siedzenie. Pyta dlaczego.

- Bo nie chcę, żeby twój brat cię oglądał w tym stanie. Jest ciemno, dzięki temu nie zobaczy twojego ciała. Nie musi wiedzieć, że cierpisz. Kenji będzie prowadził.

Adam kiwa głową po trwającej w nieskończoność chwili.

- Dziękuję.

I biegnę do zrujnowanego budynku. Szarpię drzwi. Ledwie udaje mi się dostrzec dwie postacie w ciemności. Mrugam, aż nabierają ostrości. James śpi z głową na kolanach Kenjiego. Worki marynarskie są otwarte, puszki z jedzeniem rozrzucone po podłodze. Nic im nie jest.

Dzięki Bogu, nic im nie jest.

Ulga, którą czuję, mogłaby mnie zabić.

Kenji bierze Jamesa na ręce, uginając się nieco pod jego ciężarem. Jego twarz jest spokojna, poważna, nieruchoma. Nie uśmiecha się. Nie mówi nic głupiego. Badawczo patrzy

mi w oczy, jakby rozumiał, dlaczego tak długo trwało, zanim wróciliśmy, jakby istniał tylko jeden powód, dla którego wyglądam jak nieszczęście, dla którego mam krew na bluzce. Na twarzy pewnie też. I na rękach.

- Co z nim?

I wtedy prawie się załamuję.

- Musisz prowadzić.

Bierze oddech. Kiwa głową kilka razy.

- Prawą nogę mam jeszcze dobrą - mówi, ale chyba nie obchodziłoby mnie, gdyby nawet było inaczej. Musimy się dostać w bezpieczne miejsce, a ze mną w roli kierowcy daleko nie zajedziemy.

Kenji sadowi śpiącego Jamesa na siedzeniu pasażera, a ja jestem bardzo szczęśliwa, że nie obudził się w tym momencie.

Chwytam worki z rzeczami i niosę je na tylne siedzenie. Kenji wślizguje się na przednie. Spogląda w lusterko.

- Dobrze cię widzieć żywego, Kent. Adam prawie się uśmiecha. Kręci głową.

- Dzięki, że zająłeś się Jamesem.

- Teraz mi ufasz? Lekkie westchnienie.

- Może.

- Dobrze i to - śmieje się. Zapala silnik. - Spadajmy stąd.

Adam cały się trzęsie.

Jest wycieńczony zimnem, torturami, wysiłkiem, jaki kosztowała go walka przez tak długi czas. Grzebię w workach, szukając płaszcza, ale znajduję tylko koszulki i swetry. Nie wiem, jak je na niego włożyć, nie sprawiając mu bólu.

Postanawiam je pociąć. Biorę nóż motylkowy i rozcinam kilka swetrów, a potem owijam je wokół niego jak koc. Podnoszę wzrok.

- Kenji... Czy ten samochód ma ogrzewanie?

- Jest włączone, ale działa do dupy.

- Daleko jeszcze?

- Nie za bardzo.

- Widziałeś, żeby ktoś nas śledził?

- Nie - przerywa. - To dziwne. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie zauważył samochodu na ulicy po godzinie policyjnej. Coś jest nie tak.

- Wiem.

- I nie wiem, o co chodzi, ale to oczywiste, że moja surowica naprowadzająca nie działa. Albo oni mają mnie w dupie, albo ona naprawdę nie działa, ale nie wiem dlaczego.

Jakiś szczegół tkwi na obrzeżach mojej świadomości. Wygrzebuję go.

- Nie mówiłeś przypadkiem, że spałeś w szopie? Tamtej nocy, kiedy uciekłeś?

- Tak, dlaczego?

- Gdzie to było...? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Jakieś wielkie pole. Dziwne takie. Straszny syf tam rósł. Prawie zjadłem coś, co wyglądało jak owoc, na szczęście się zorientowałem, że śmierdzi jak gówno.

Łapię oddech.

- Puste pole? Suche? Całkowicie opuszczone? -Tak.

- Elektrownia atomowa - mówi Adam.

- Jaka elektrownia atomowa? - pyta Kenji. Wyjaśniam mu.

- Ja pierdolę. - Kenji ściska kierownicę. - Mogłem umrzeć? I nie umarłem?

Ignoruję go.

- Ale w takim razie jak nas znaleźli? Jak udało im się namierzyć twój dom...?

- Nie wiem - wzdycha Adam. Zamyka oczy. - Może Kenji kłamie.

- Daj spokój człowieku, co ci się tak usra...

- A może... - przerywa Adam. - Może przekupili Benny.

- Nie - wzdycham.

- To możliwe.

Na dłuższą chwilę wszyscy milkniemy. Próbuję wyrzec przez okno, ale to praktycznie bez sensu. Nocne niebo jest jak kadz smoły wylewającej się na świat wokół nas.

Odwracam się do Adama i widzę, że głowę ma odchyłoną do tyłu, dłonie zaciśnięte, usta bieleją mu w ciemności. Owijam swetry ciaśniej wokół niego. Próbuje opanować drzenie.

- Adam... - Odgarniam kosmyk z jego czoła. Włosy urosły mu trochę za długie. Zdaję sobie sprawę, że dotąd jakoś nie zwracałam na nie uwagi. Kiedy wszedł do mojej celi, były krótko przycięte. Nie sądziłam, że są tak miękkie w dotyku. Jak roztopiona czekolada. Zastanawiam się, kiedy przestał je obcinać.

Napina szczękę. Z trudem otwiera usta.

- Nic mi nie jest. - Wciąż mnie okłamuje.

- Kenji...

- Pięć minut, obiecuję... robię, co mogę...

Dotykam nadgarstków Adama, wyczuwam opuszkami palców delikatną skórę. Zakrwawione blizny. Całuję jego dłoń. Drząc, nabiera powietrza.

- Wyzdrowiejesz - mówię.

Wciąż ma zamknięte oczy. Próbuje kiwać głową.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że jesteście razem? -pyta niespodziewanie Kenji. Jego głos jest spokojny, neutralny.

- Co? - Kiepska pora, żeby się czerwienić.

Kenji wzdycha. Dostrzegam błysk jego oczu w lusterku. Opuchlizna już prawie zniknęła. Jego twarz się goi.

- Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć czegoś takiego. Znaczący, kurczę, jak on na ciebie patrzy. Jakby w życiu nie widział kobiety. Jakby ktoś postawił jedzenie przed głodującym i zabronił mu jeść.

Oczy Adama otwierają się gwałtownie. Próbuje z nich coś wyczytać, ale nie patrzy w moją stronę.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - powtarza Kenji.

- Sam jakoś nie miałem okazji zapytać - odpowiada Adam. Jego głos jest cichszy od szeptu. Szybko traci energię. Nie chcę, żeby ją marnował na mówienie. Musi oszczędzać siły.

- Do mnie mówisz czy do niej? - Kenji odwraca się, zerkając na nas.

- Możemy porozmawiać o tym później... - próbuję powiedzieć, ale Adam kręci głową.

- Powiedziałem Jamesowi, nie pytając cię. Założyłem... że... - przerywa. - Nie powinienem był. Powinnaś zdecydować. Zawsze powinnaś mieć wybór. To od ciebie zależy, czy chcesz ze mną być.

- Hej, więc będę po prostu udawał, że was nie słyszę, dobra? - Kenji robi przypadkowy ruch głową. - Dalej, miejcie chwilę dla siebie.

Ale ja jestem zbyt pochłonięta badaniem oczu Adama, jego miękkich miękkich ust. Jego nastroszonych brwi.

Nachylam się do jego ucha, zniżam głos. Szepczę tak cicho, że tylko on może mnie usłyszeć.

- Poczujesz się lepiej - obiecuję mu. - A wtedy pokażę ci, jaki jest mój wybór. Zamierzam zbadać ustami i zapamiętać każdy centymetr twojego ciała.

Słyszę gwałtowny wydech, drżący, nierówny. Przełyka z trudem.

Oczy mu płoną. Wygląda, jakby miał gorączkę, i nie wiem, czy nie pogarszam sprawy.

Odsuwam się, ale on mnie powstrzymuje. Opiera rękę na moim udzie.

- Zostań - mówi. - Tylko twój dotyk trzyma mnie przy zdrowych zmysłach.

- Jesteśmy na miejscu i jest noc. Więc według moich wyliczeń nie zrobiliśmy nic głupiego.

Kenji parkuje. Znowu jesteśmy pod ziemią, na jakimś skomplikowanym parkingu. W jednej chwili byliśmy na powierzchni ziemi, w następnej zniknęliśmy w jakimś rowie. Zlokalizowanie tego miejsca graniczy z cudem, zwłaszcza w ciemności. Kenji mówił prawdę o kryjówce.

Przez ostatnie kilka minut byłam zajęta staraniem się, aby Adam nie stracił przytomności. Jego ciało walczy z wyczerpaniem, utratą krwi, głodem, milionem różnych rodzajów bólu. Czuję się taka bezużyteczna.

- Adam musi trafić prosto do skrzydła medycznego -oznajmia Kenji.

- Mają tu skrzydło medyczne? - Moje serce wzlatuje jak parolotnia za motorówką w wiosenny dzień.

Kenji się śmieje.

-Wszystko tu mają. Padniecie z wrażenia. - Uderza w przełącznik na suficie. Słabe światło oświetla starego sedana. Kenji wysiada. - Zaczekajcie tutaj... poproszę kogoś, żeby przynieśli nosze.

- Co z Jamesem? .

- Aaa - usta Kenjiego drgają. - On... hm... pośpi jeszcze trochę.

- Dlaczego...?

Odchrząkuje. Raz. Drugi. Wygładza fałdy ubrania.

- Może dałem mu coś... żeby mu ułatwić zniesienie trudów podróży. A może nie. .

- Dałeś dziesięciolatkowi t a b l e t k ę n a s e n n ą? - Boję się, że skręcę mu kark.

- Wolałabyś, żeby przez cały czas nie spał?

- Adam cię zabije.

Kenji zerka na opadające powieki Adama.

-Taaak. Cóż, chyba mam szczęście, że nie jest dzisiaj w formie - waha się. Daje nura do samochodu, czochra włosy Jamesa. Uśmiecha się. - Ten dzieciak jest aniołem. Rano będzie jak nowo narodzony.

- Nie wierzę, że...

Hej hej - Podnosi ręce. - Zaufaj mi. Nic mu nie będzie Po prostu nie chciałem, żeby przeżył większy koszmar niż to konieczne. - Wzrusza ramionami. - Cholera, może Adam przyzna mi rację.

- Zamorduję cię - głos Adama jest cichym mamrotaniem.

Kenji się śmieje.

- Trzymaj się, bracie, bo pomyślę sobie, że me mówisz poważnie.

Kenii znika. . Patrzę na Adama, proszę, żeby nie zasypiał. MoW1ę mu, że jest już prawie bezpieczny. Dotykam ustami jego czoła. Badam każdy cień, każdy kontur, każde skaleczenie i siniak na jego twarzy. Jego mięśnie są rozluźnione, jego rysy mnie, napięte. Wydycha powietrze z trochę mniejszym trudem. Całuję jego górną wargę. Całuję jego dolną wargę. Całuję policzki. Jego nos. Jego podbródek.

Potem wszystko dzieje się tak szybko.

4 ludzi biegnie w stronę samochodu. 2 starszych ode mnie, 2 starszych od nich. 2 mężczyzn. 2 kobiety.

- Gdzie on jest? - pyta starsza kobieta. Wszyscy rozglądają się zaniepokojeni. Zastanawiam się, czy widzą, jak im się przyglądam.

Kenji otwiera drzwi od strony Adama. Kenji już się nie uśmiecha. Właściwie, Kenji wygląda... inaczej. Jest silniejszy. Szybszy. Wyższy nawet. Kontroluje sytuację. Jak ktoś, kto ma władzę. Tamci go znają.

Adam zostaje ułożony na noszach, a jego stan natychmiast poddany ocenie. Wszyscy mówią jednocześnie. Coś o złamanym żebrach. Coś o utracie krwi. Coś o drogach oddechowych i pojemności płuc i „co się stało z jego nadgarstkami?”. Coś o zmierzeniu mu pulsu i „jak długo krwawi?”. Młody mężczyzna i kobieta zerkają w moją stronę. Wszyscy mają na sobie dziwne stroje.

Dziwne stroje. Całe białe z szarymi paskami wzdłuż boków. Zastanawiam się, czy to uniformy medyczne.

Wynoszą Adama.

- Chwileczkę... - Potykając się, wysiadam z samochodu.
-Chwileczkę! Chcę iść z nim...

- Nie teraz. - Kenji zatrzymuje mnie. Łagodnieje. - Nie możesz tam być, kiedy oni będą się nim zajmowali. Nie teraz.

- O co chodzi? Co mu chcą zrobić? - Świat na przemian traci i odzyskuje ostrość, szare cienie drżą jak postacie na szrudłach o załamujących się ruchach. Nagle wszystko traci sens. Nagle wszystko wokół wiruje. Nagle moja głowa zamienia się we fragment chodnika, czuję, że jestem tratowana na śmierć. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie wiem, kim jest Kenji. Kenji był przyjacielem Adama. Adam go zna. Adam. Mój Adam. Adam, którego mi zabierają, a ja nie mogę iść z nim, chcę iść z nim, ale oni mi nie pozwalają, nie wiem dlaczego...

- Pomogą mu... Julio... Musisz się skupić. Nie możesz się teraz załamać. Wiem, że ten dzień to był jakiś obłąd... ale spróbuj się opanować. - Jego głos. Tak spokojny. Nagle zrobił się taki elokwentny.

- Kim jesteś...? - Zaczynam wpadać w panikę. Chcę chwycić Jamesa i uciekać, ale nie mogę. Coś mu zrobił i nawet gdybym wiedziała, jak go obudzić, nie mogę go dotknąć. Chcę sobie powrywać paznokcie. - Kim j e s t e s...

Kenji wzdycha.

- Umierasz z głodu i wyczerpania. Jesteś w szoku, doświadczasz teraz miliona różnych emocji. Zachowuj się logicznie. Nie zrobię ci krzywdy. Jesteś teraz bezpieczna. Adam jest bezpieczny. James jest bezpieczny.

- Chcę być z nim... chcę zobaczyć, co mu zrobią...

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Co mi zrobisz? Po co mnie tu przywiozłeś...? - Moje oczy są szeroko otwarte, rozbiegane w przeróżnych kierunkach. Wiruję zdana na własne siły na środku oceanu swojej własnej wyobraźni. Nie umiem pływać. - Czego ode mnie chcesz?

Kenji spuszcza wzrok. Pociera czoło. Sięga do kieszeni.

- Naprawdę nie chciałem. Chyba krzyczę.

Kiedy się budzę, czuję się jak stare trzeszczące schody.

Ktoś wymyślił mnie do czysta. Moja skóra jest jak satyna. Moje rzęsy są miękkie, włosy dokładnie rozczesane, bez kołtunów, błyszczą w sztucznym świetle jak czekoladowa rzeka opływająca blady brzeg mojej skóry. Puszyste fale spływają kaskadą po moim obojczyku. Bolą mnie stawy. Oczy pieką od niewypowiedzianego wyczerpania. Moje ciało pod ciężkim prześcieradłem jest nagie. Nigdy jeszcze nie czułam się tak nieskazitelnie czysta.

Jestem zbyt zmęczona, żeby zwracać na to uwagę.

Moje senne oczy przyglądają się wyposażeniu pokoju, w którym się znalazłam, choć nie ma tu za wiele mebli. Leżę w łóżku. Są 4 ściany. 1 drzwi. Mały stolik przy łóżku. Szklanka wody. Nade mną brzęczą lampy fluorescencyjne. Wszystko jest białe.

Świat, który kiedyś znałam, ciągle się zmienia.

Sięgam po szklankę z wodą i w tej samej chwili otwierają się drzwi. Naciągam prześcieradło tak wysoko, jak się da.

- Jak się czujesz?

Wysoki mężczyzna ma na nosie plastikowe okulary. Czarne oprawki. Prosty sweter. Wyprasowane spodnie. Włosy koloru piaskowego blondu opadają mu na oczy.

Trzyma podkładkę do pisania z klipsem.

- Kim jesteś?

Chwyta za krzesło, którego nie zauważyłam w rogu pomieszczenia. Przysuwa je bliżej. Siada obok mojego łóżka.

- Czy masz zawroty głowy? Czujesz się zdezorientowana?

- Gdzie jest Adam?

Trzyma długopis nad kartką papieru. Coś zapisuje.

- Czy twoje nazwisko pisze się przez dwa „r” czy przez jedno?

- Co zrobiliście z Jamesem? Gdzie jest Kenji? Przerywa pisanie. Podnosi wzrok. Nie może mieć więcej niż **30** lat. Ma zakrzywiony nos. Jednodniowy zarost.

- Czy mogę się najpierw upewnić, że dobrze się czujesz? Potem odpowiem na wszystkie twoje pytania. Obiecuję. Tylko pozwól, że przejdziemy przez prostą procedurę.

Mrugam.

Jak się czuję. Nie wiem.

Czy miałam jakieś sny. Chyba nie.

Czy wiem, gdzie jestem. Nie.

Czy czuję się bezpieczna. Nie wiem.

Czy pamiętam, co się stało. Tak.

Ile mam lat. **17**.

Jaki jest kolor moich oczu. Nie wiem.

- Nie wiesz? - Odkłada długopis. Zdejmuje okulary. -Pamiętasz, co zdarzyło się wczoraj, ale nie wiesz, jaki jest kolor twoich oczu?

- Chyba zielony. Albo niebieski. Nie jestem pewna. Dlaczego to takie ważne?

- Chcę mieć pewność, że czujesz się sobą. Że nie straciłaś poczucia tożsamości.

- Nigdy nie wiedziałam, jakiego koloru mam oczy. W ciągu

Muszę się dowiedzieć, czy żyje.

Powinnam zachować spokój. Opanować drżenie, dreszcz obrzydzenia i odruch wymiotny. Muszę zmienić temat.

- Gdzie jest moje ubranie? - Bawię się nieskazitelnie białym prześcieradłem, ukrywającym moje ciało.

- Zostało zniszczone z tych samych powodów, dla których musieliśmy cię zdezynfekować. - Podnosi okulary. Wsuwa je na nos. - Mamy dla ciebie specjalny strój. Myślę, że znacznie ułatwi ci życie.

- Specjalny strój? - Podnoszę wzrok. Rozchyłam usta w zdumieniu.

- Tak. Przejdziemy do tego za chwilę - urywa. Uśmiecha się. W jego brodzie jest dołeczek. - Nie zaatakujesz mnie jak Kenjiego, prawda?

- Zaatakowałam Kenjiego? - Jestem zawstydzona.

- Niegroźnie - wzrusza ramionami. - Przynajmniej teraz wiemy, że nie jest odporny na twój dotyk.

- Dotknęłam go? - Siadam na łóżku i prawie zapominam podciągnąć prześcieradło. Płonę od stóp do głów, czerwienię się w myślach, ściskam materiał jak linę ratunkową. - Tak mi przykro...

- Jestem pewien, że przyjmie przeprosiny. - Blondas studiuje nabożnie swoje notatki, zafascynowany nagle własnym charakterem pisma. - Ale wszystko w porządku. Spodziewaliśmy się pewnych skłonności destrukcyjnych. Miałaś porąbany tydzień.

- Jesteś psychologiem?

- Tak jakby. - Odgarnia włosy z czoła.

- Tak jakby?

Śmieje się. Milknie. Kręci długopisem między palcami.

- Tak. Praktycznie rzecz biorąc, jestem psychologiem. Czasami.

- Co to ma znaczyć?

Otwiera usta. Zaciska je. Wygląda tak, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią, ale zamiast tego przygląda mi się badawczo. Patrzy tak długo, że czuję, jak moja twarz robi się gorąca. Zaczyna zawzięcie gryzmolić.

- Co ja tutaj robię? - pytam.

- Wracasz do zdrowia.

- Jak długo tutaj jestem?

- Spałaś prawie czternaście godzin. Daliśmy ci dość silny środek uspokajający. - Patrzy na zegarek. - Wydaje mi się, że czujesz się nieźle - waha się. - Wyglądasz w sumie bardzo dobrze. Wręcz oszałamiająco.

W ustach mam garść splątanych słów. Rumieniec zalewa mi twarz.

- Gdzie jest Adam?

Bierze głęboki wdech. Podkreśla coś w swoich papierach. Jego usta drgają i rozciągają się w uśmiechu.

- Gdzie on jest?

- Wraca do zdrowia. - Wreszcie podnosi wzrok.

- Nic mu nie jest? Kiwa głową.

- Nic mu nie jest. Wpatruję się w niego.

- Co to znaczy?

2 stuknięcia do drzwi.

Obcy w okularach nie rusza się. Ponownie czyta swoje notatki.

- Proszę! - woła.

Do środka wchodzi Kenji, z początku trochę się wahając. Zerka na mnie ostrożnie. Nigdy nie sądziłam, że jego widok może mnie tak ucieszyć. Ale choć to ulga zobaczyć znajomą twarz, mój żołądek natychmiast skręca się w supeł poczucia winy, tak gwałtownie, że kręci mi się w głowie. Zastanawiam się, jak mocno go zraniłam. Robi krok naprzód.

Poczucie winy znika.

Przyglądam się bliżej i zdaję sobie sprawę, że w ogóle nie jest ranny. Jego noga sprawuje się bez zarzutu. Jego twarz wróciła do normy. Oczy nie są już opuchnięte, czoło zagoiło się bez śladu. Miał rację.

Rzeczywiście ma wspaniałą twarz.

Wyzywający podbródek. Idealne brwi. Oczy smoliście czarne, tak samo jak włosy. Dobrze zbudowany. Silny. Trochę niebezpieczny.

- Cześć, ślicznotko.

- Przepraszam, o mało cię nie zabiłam - wyrzucam z siebie.

- Och - jest zaskoczony. Wsuwa ręce do kieszeni. - Cóż. Cieszę się, że mamy to już za sobą.

Dostrzegam, że ma na sobie zniszczony podkoszulek. Ciemne dzinsy. Od tak dawna nie widziałam nikogo ubranego w dzinsy. Mundury wojskowe, zwyczajna bawełna albo wyszukane sukienki to wszystko, co ostatnio widywałam.

Nie mogę spojrzeć mu w oczy.

- Spanikowałam - próbuję tłumaczyć. Splatam i rozplatam palce obu dłoni.

- Zorientowałam się. - Unosi brew.

- Przykro mi.

- Wiem. Kiwam głową.

- Wyglądasz już lepiej.

Śmieje się. Przeciąga. Stoi oparty o ścianę z rękami założonymi na piersi i nogami skrzyżowanymi w kostkach.

- To musi być dla ciebie trudne.

- Słucham?

- Patrzeć na mnie. I przyznać, że miałem rację. Zrozumieć swój błąd. - Wzrusza ramionami. - Rozumiem to. Wiesz, nie jestem dumny. Byłbym skłonny ci wybaczyć.

Patrzę na niego i nie wiem, czy się roześmiać, czy czymś w niego rzucić.

- Nie prowokuj mnie, żebym cię znowu dotknęła. Kręci głową.

- Niesamowite, że ktoś, kto tak miło wygląda, może być tak niemiły w dotyku. Kent to szczęśliwy drań.

- Przepraszam... - Psycholog wstaje. - Skończyliście? - Zerka na Kenjiego. - Myślałem, że macie coś do załatwienia.

Kenji odsuwa się od ściany. Staje prosto.

- Tak. Właśnie. Castle chce ją poznać.

- Teraz? - Blondas jest bardziej skołowany ode mnie. -Ale nie skończyłem jej jeszcze badać.

Kenji wzrusza ramionami.

- Chce ją poznać.

- Kto to jest Castle? - pytam.

Blondas i Kenji patrzą na mnie. Kenji odwraca wzrok. Blondas nie. Przekrzywia głowę.

- Kenji nie opowiadał ci o tym miejscu?

- Nie - wykrztuszam niepewnie, zerkając na Kenjiego, który nie patrzy na mnie. - Nie wyjaśnił mi niczego. Powiedział, że zna kogoś w jakimś bezpiecznym miejscu, i pomyślał, że może nam pomóc...

Blondas się gapi. Parska śmiechem. Wstaje. Czyści okulary brzegiem koszuli.

- Ale z ciebie dupek - mówi do Kenjiego. - Dlaczego nie powiedziałaś jej prawdy?

- Nie zgodziłaby się tu przyjechać, gdybym powiedział jej prawdę.

- Skąd wiesz?

- Prawie mnie zabił a...

Moje oczy przeskakują od jednej twarzy do drugiej. Blond włosy, czarne włosy i z powrotem.

- Co się tutaj dzieje? - nalegam. - Chcę się zobaczyć z Adamem. Chcę się zobaczyć z Jamesem. I chcę jakieś ubranie...

- Jesteś naga? - Kenji nagle zaczyna przyglądać się badawczo mojemu prześcieradłu, nie zwracając sobie głowy sileniem się na subtelność. Czerwienię się mimowolnie zdenerwowana, sfrustrowana.

- Blondas powiedział, że zniszczyli moje ubranie.
- Blondas? - Blondyn jest obrażony.

- Nie przedstawiłeś się.

- Winston. Mam na imię Winston. - Już się nie uśmiecha.

- Nie wspominałeś, że masz dla mnie ubranie? Marszczy brwi. Zerka na zegarek.

- Nie ma czasu, żeby się tym teraz zajmować - wzdycha. - Przynieś jej coś tymczasowego, dobra? - zwraca się do Kenjiego. Kenjiego, który wciąż się na mnie gapi.

- Chcę się zobaczyć z Adamem.

- Adam nie może się jeszcze z tobą zobaczyć. - Blondas Winston chowa długopis do kieszeni. - Damy ci znać, kiedy będzie gotowy.

- Jak mam zaufać któremuś z was, skoro nawet nie pozwalacie mi się z nim zobaczyć? Nie pozwalacie mi zobaczyć się z Jamesem. Nie mam nawet podstawowych rzeczy. Chcę wstać z tego łóżka i potrzebuję coś do ubrania.

- Moto, przynieś. - Winston poprawia zegarek.

- Nie jestem twoim psem, Blondasie - rzuca Kenji. - I mówiłem ci, żebyś nie mówił do mnie Moto.

Winston uciska palcami nasadę nosa.

- W porządku. Powiem Castleowi, że przez ciebie Julia nie może się z nim teraz spotkać.

Kenji mruczy pod nosem coś wulgarnego. Odmaszerowuje. Prawie trzaska drzwiami.

Kilka sekund mija w pełnej napięcia ciszy. Biorę głęboki oddech.

- No więc co to znaczy „moto”? Winston przewraca oczami.

- Nic. To tylko przezwisko. Nazywa się Kishimoto. Wścieka się, kiedy dzielę jego nazwisko na pół. Jest przewrażliwiony na tym punkcie.

- Więc po co dzielisz je na pół? Prycha.

- Bo jest trudne do wymówienia.

- I to ma być wytłumaczenie? Marszczy brwi.

- Co?

- Sam się wściekasz, kiedy mówi się o tobie Blondas zamiast Winston. Dlaczego on ma się nie wściekać, kiedy mówisz do niego Moto zamiast Kenji?

Mamrocze coś w rodzaju:

- To nie to samo.

Opadam na łóżko. Opieram głowę na poduszce.

- Nie bądź hipokrytą.

Czuję się jak klaun w za dużym ubraniu. Mam na sobie czyjś T-shirt. Czyjeś spodnie od pidzamy. Czyjeś kapcie. Kenji mówi, że musieli zniszczyć ubrania w moim worku marynarskim, więc nie wiem nawet, czyje ciuchy wiszą obecnie na moim ciele. Praktycznie w nich pływam.

Próbuję związać na supeł nadwyżkę materiału, a Kenji mnie powstrzymuje.

- Zniszczysz mi koszulkę - narzeka. Ręce mi opadają.

- Dałeś mi swoje ubrania?

- A czego się spodziewałaś? Że wszędzie tu się walają niepotrzebne kiecki? - Piorunuje mnie wzrokiem, jakbym powinna być wdzięczna, że się w ogóle podzielił.

Cóż. To chyba lepsze, niż chodzić nago.

- Więc jeszcze raz: kim jest Castle?

- Kieruje wszystkim - mówi Kenji. - Jest szefem całego ruchu.

Nadstawiam uszu. - R u c h u ?

Winston wzdycha. Wydaje się spięty. Zastanawiam się dlaczego.

- Jeżeli Kenji do tej pory nic ci nie powiedział, powinnaś chyba poczekać, aż Castle sam ci wszystko powie. Trzymaj się. Obiecuję, że odpowiemy na twoje pytania.

- Ale co z Adamem? Gdzie jest James...

- O rany. - Winston przeczesuje ręką opadające włosy. - Nie odpuścisz, co?

- Nic mu nie jest, Julio - przerywa Kenji. - Potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby wrócić do zdrowia. Musisz zacząć nam ufać. Nikt tutaj nie zamierza skrzywdzić ciebie, Adama ani Jamesa. Obaj czują się dobrze. Wszystko jest w porządku.

Ale nie wiem, czy w porządku to wystarczająco dobrze.

Przemierzamy całe podziemne miasto: korytarze, przejścia, gładkie kamienne podłogi, chropowate ściany, które pozostawiono nietknięte. W podłodze co 2 metry znajdują się wywiercone w kamieniu okrągłe otwory, z których wydobywa się sztuczne światło. Dostrzegam komputery, różnego rodzaju urządzenia, których nie rozpoznaję, mijam drzwi otwarte na oścież, a za nimi pokoje wypełnione elektroniką.

- Skąd bierzecie prąd, żeby to wszystko mogło działać? - Przyglądam się dokładniej niezidentyfikowanym urządzeniom, połyskującym ekranom, wsłuchuję się w charakterystyczny szum setek komputerów wbudowanych ten podziemny świat.

Kenji pociąga za zabłąkany kosmyk moich włosów. Obracam się za siebie.

- Kradniemy - śmieje się. Wskazuje głową wąskie przejście.

- Tędy.

Ludzie starzy i młodzi, wszystkich możliwych ras wchodzą i wychodzą z pomieszczeń, podążają korytarzami. Wielu się nam przygląda, inni są zbyt zajęci, żeby nas zauważyć. Niektórzy są ubrani jak ci, którzy wybiegli wczorajszego wieczoru do naszego samochodu. To jakiś dziwny rodzaj munduru. Wydaje się niepotrzebny.

- Więc... wszyscy się tak ubierają? - szepczę, wskazując na przechodzących nieznajomych najdyskretniej, jak to możliwe.

Kenji drapie się po głowie. Nie spieszy się z odpowiedzią.

- Nie wszyscy. Nie przez cały czas.

- A ty? - pytam.

- Nie dzisiaj.

Postanawiam nie pobudzać jego skłonności do kalamburów i dla odmiany zadaję bezpośrednie pytanie.

- Zamierzasz mi w końcu powiedzieć, jak to się stało, że tak szybko zagoiła ci się twarz?

- Tak - mówi Kenji niewzruszony. - Właściwie powiemy ci wiele rzeczy. - Skręcamy w ukazujący się niespodziewanie korytarz. - Ale najpierw... - Kenji przystaje przed potężnymi drewnianymi drzwiami. - Castle chce cię poznać. Bardzo mu na tym zależało.

- Zależało?

- Tak. - Przez ułamek sekundy Kenji wygląda tak, jakby czuł się niezręcznie.

- Czekaj... co masz na myśli...

- Mam na myśli to, że to nie był przypadek, że trafiłem do wojska, Julio - wzdycha. - To nie był przypadek, że pojawiłem się w drzwiach Adama. Może nie miałem w planach dać się postrzelić ani prawie zatłuc na śmierć, ale stało się. Tylko że nie zostałem podrzucony do jego domu przez jakiegoś przypadkowego gościa - prawie się śmieje. - Zawsze

wiedziałem, gdzie mieszka Adam. Dowiedzenie się tego należało do moich obowiązków. - Cisza. - Wszyscy cię szukaliśmy.

Szczękę mam na kolanach. A moje brwi sięgają sufitu.

- No, dalej. - Kenji popycha mnie do środka. - Wyjdzie do ciebie, kiedy będzie gotowy.

- Powodzenia - dodaje Winston.

1320 sekund dotrzymuje mi towarzystwa, zanim on wchodzi do pokoju.

Porusza się metodycznie, jego twarz jest doskonale obojętna. Zagarnia sterczące dredy w koński ogon i siada na środku pokoju. Jest szczupły, w dobrej formie, nienagannie ubrany w prosty garnitur. Granatowy. Biała koszula. Bez krawata. Na jego twarzy nie ma zmarszczek, ale we włosach widać siwe nitki, a oczy zdradzają, że przeżył co najmniej **100** lat. Musi być po czterdziestce. Rozglądam się.

Puste pomieszczenie imponujące minimalizmem. Podłoga i sufit są zbudowane z równo ułożonych cegieł. Wszystko wydaje się stare, wiekowe, ale nowoczesne technologie utrzymują to miejsce przy życiu.

Sztuczne światło oświetla ogromną powierzchnię, w kamienne ściany są wbudowane małe monitory. Nie wiem, co tutaj robię. Nie wiem, czego się spodziewać. Nie mam pojęcia, jakim Castle jest człowiekiem, ale po doświadczeniach z Warnerem staram się powściągnąć entuzjizm. Nie zdaję sobie sprawy, że przestałam oddychać, dopóki on nie zaczyna mówić. - Mam nadzieję, że jak dotąd dobrze się pani u nas bawi? Podnoszę gwałtownie głowę, żeby spojrzeć w jego ciemne oczy. Ma łagodny, jedwabisty i silny głos. Jego oczy połyskują szczerą ciekawością, odrobiną zaskoczenia. Zatyka mnie.

- Kenji powiedział, że chciał pan mnie poznać - to jedyna odpowiedź, jaką udaje mi się wydobyć.

- To prawda - oddycha spokojnie. Niespiesznie przesuwa się na swoim krześle. Niespiesznie przygląda się moim oczom, dobiera słowa, dotyka dwoma palcami ust. Wydaje się, że zdominował pojęcie czasu. Słowo niecierpliwość nie należy do jego słownika. - Słyszałem różne... historie. Na pani temat - uśmiecha się. - Po prostu chciałem się przekonać, czy są prawdziwe.

- Co pan słyszał?

Uśmiecha się. Jego zęby są tak białe, że wyglądają jak śnieg w czekoladowej dolinie jego twarzy. Rozkłada ręce. Przygląda im się przez chwilę. Podnosi wzrok.

- Potrafi pani zabić człowieka wyłącznie dotykiem swojej skóry. Potrafi pani rozbić półtorametrowej grubości beton gołymi rękami.

Wspinam się na górę z powietrza. Ślizgają mi się stopy. Muszę się na czymś oprzeć.

- Czy to prawda? - pyta.

- Plotki są bardziej śmiertelne ode mnie. Przygląda mi się bardzo długo.

- Chcę pani coś pokazać - mówi po chwili.

- A ja chcę usłyszeć odpowiedzi na moje pytania. - To już zbyt długo trwa. Nie chcę, żeby usypiali moją czujność. Nie chcę zakładać, że Adam i James są cali i zdrowi. Nie chcę ufać nikomu, dopóki nie mam do tego podstaw. Nie mogę udawać, że coś w tym wszystkim jest w porządku. Jeszcze nie. - Chcę wiedzieć, że jestem bezpieczna - mówię. - I chcę wiedzieć, że moi przyjaciele są bezpieczni. Kiedy tu przyjechaliśmy, był z nami dziesięcioletni chłopiec, i chcę się z nim zobaczyć. Muszę się upewnić, że jest cały i zdrowy. W przeciwnym razie nie będę współpracować.

Jego oczy badają mnie jeszcze przez kilka chwil.

- Pani lojalność jest krzepiąca - mówi i brzmi to szczerze. -
Będzie tu pani pasowała.

- Moi przyjaciele...

- Tak. Oczywiście. - Wstaje. - Proszę iść ze mną.

To miejsce jest znacznie bardziej skomplikowane i lepiej zorganizowane, niż sobie wyobrażałam. Setki korytarzy, w których można się pogubić, i prawie tyle samo pomieszczeń, niektóre większe niż inne, każde przeznaczone do innych celów.

- Jadalnia - mówi do mnie Castle.

- Sypialnie. - W przeciwległym skrzydle.

- Urządzenia treningowe. - Prosto tym korytarzem.

- Wspólne pokoje. - Tutaj.

- Łazienki. - Na końcach piętra.

- Sale spotkań. - Za tymi drzwiami.

Z wszystkich pomieszczeń wylewają się postacie, z których każda postępuje zgodnie z określonymi procedurami. Ludzie podnoszą wzrok, kiedy nas widzą. Niektórzy machają, uśmiechają się zadowoleni. Zdaję sobie sprawę, że oni wszyscy patrzą na Castlea. A on kiwa głową. Jego oczy są dobre, skromne. Jego uśmiech silny, krzepiący.

On jest przywódcą całego tego ruchu, tak powiedział Kenji. Ci ludzie są od niego zależni w kwestiach bardziej złożonych niż samo przetrwanie. To więcej niż schron przeciw-atomowy. To o wiele więcej niż kryjówka. Tu chodzi o jakiś wyższy cel. Większe przedsięwzięcie.

- Witam w Punkcie Omega - mówi do mnie Castle.

- W Punkcie Omega?

- To ostatnia litera greckiego alfabetu. Końcowe przedsięwzięcie, ostatnie z serii. - Przystaje przede mną i po raz pierwszy zauważam symbol omegi naszyty na plecach jego marynarki. - Jesteśmy jedyną nadzieją, jaka pozostała naszej cywilizacji.

- Ale jak... przy tak niewielkiej liczebności... jak możecie mieć nadzieję, że uda wam się wygrać z...

- Budujemy to wszystko od dawna. - Jego głos jest silny, spokojny, pewny. - Planujemy, organizujemy, opracowujemy naszą strategię od wielu lat. Upadek cywilizacji raczej nikogo nie zaskoczył. Sami go spowodowaliśmy. Pytanie nie brzmiało: czy wszystko legnie w gruzach - ciągnie - tylko: kiedy. To było kwestią czasu. Kwestią tego, kto pierwszy spróbuje przejąć władzę i jak będzie chciał ją spożytkować. Strach jest silnym bodźcem - mówi, odwracając się, a jego kroki na kamiennej posadzce cichną na chwilę.

- To żalosne.

- Zgadzam się. I dlatego jednym z moich celów jest rozbudzenie na nowo nadziei w sercach ludzi, którzy już jej nie mają - skręcamy w kolejny korytarz - i powiedzenie pani, że prawie wszystko, czego dowiedziała się pani dotąd o stanie naszego świata, jest kłamstwem.

Przystaję. Prawie się przewracam.

- Co pan ma na myśli?

- Mam na myśli to, że rzeczy nie mają się aż tak źle, jak ludzie Komitetu Odnowy chcieliby nam wmówić.

- Ale nie ma żywności...

- Którą by udostępnił.

- Zwierzęta...

- Są trzymane w ukryciu. Modyfikowane genetycznie. Wypasane na ukrytych pastwiskach.

- Ale powietrze... pory roku... pogoda...

- Nie jest aż tak źle, jak nam wmawiają. Prawdopodobnie to nasz jedyny prawdziwy problem... ale on jest spowodowany perwersyjnymi manipulacjami na Matce Ziemi. Manipulacjami człowieka, które wciąż jeszcze można naprawić.

Odwraca się do mnie. Przyciąga moją uwagę jednym spokojnym spojrzeniem.

- Wciąż jest jeszcze szansa, żeby wszystko zmienić. Możemy udostępnić wodę pitną wszystkim ludziom. Możemy dopilnować, żeby nie sterowano plonami dla pieniędzy, możemy się upewnić, że uprawy nie będą modyfikowane genetycznie dla zysku producentów. Ludzie umierają, ponieważ karmimy ich trucizną. Zwierzęta zdychają, ponieważ zmuszamy je do jedzenia śmieci, do życia w ich własnych odchodach, upychamy w klatkach i wykorzystujemy je. Rośliny więdną, ponieważ wyrzucamy do ziemi chemikalia, które powodują, że jedzenie tego, co na niej rośnie, jest niebezpieczne dla naszego zdrowia.

Ale to wszystko można jeszcze naprawić. Karmią nas kłamstwami, ponieważ wiara w nie sprawia, że jesteśmy słabi, bezbronni, ulegli. Jesteśmy zależni od innych w kwestiach żywności, zdrowia, wartości odżywczych. To nas okalecza. Robi z ludzi tchórzy. A z ich dzieci niewolników. Pora zacząć walczyć. - Oczy mu błyszczą zapalem, ma zaciśnięte pięści.

Jego słowa mają w sobie moc, ciężar przekonań, są klarowne i sensowne. Nie mam wątpliwości, że jego niecodzienne idee wpływają na wielu ludzi. Budzi nadzieję, która wydawała się utracona. Niesie natchnienie w ponurym świecie, który nie ma nic do zaoferowania. Jest naturalnym przywódcą. Utalentowaną mówcą.

A jednak nie jest mi łatwo mu uwierzyć.

- Skąd to przekonanie, że wasze teorie są prawdziwe? Macie dowody?

Jego ręce się rozluźniają. W jego oczach gości spokój. Na ustach ma lekki uśmiech.

- Oczywiście - prawie się śmieje.

- Co w tym śmiesznego? Kręci głową. Nieznacznie.

- Bawi mnie pani sceptycyzm. Właściwie go podziwiam. Nigdy nie jest dobrze wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Wychwytyuję podwójne znaczenie jego słów. Godzę się z nim.

- *Touche* - mówię. Cisza.

- Jest pani Francuzką?

~~Być może moja matka.~~ Odwracam wzrok.

- Więc gdzie jest wasz dowód?

- Cały ten ruch jest wystarczającym dowodem. Udaje nam się przetrwać dzięki temu, że to wszystko jest prawdą. Zdobywamy żywność i zaopatrzenie z przeróżnych magazynów utrzymywanych przez Komitet Odnowy. Znaleźliśmy

ich pola uprawne, ich gospodarstwa, ich zwierzęta. Mają setki akrów przeznaczonych pod uprawy. Rolnicy są niewolnikami, pracują pod groźbą śmierci, swojej albo swoich bliskich. Reszta społeczeństwa jest mordowana lub umieszczana w ogrodzonych sektorach, sekcjach, które są monitorowane, dokładnie obserwowane.

Zachowuję niewzruszoną twarz, spokojną, obojętną. Jeszcze nie zdecydowałam, czy mu uwierzyć czy nie.

- A jaki to ma związek ze mną? Dlaczego was obchodzi to, czy tutaj jestem?

Przystaje przy szklanej ścianie. Wskazuje na pomieszczenie za nią. Nie odpowiada na moje pytanie.

- Pani Adam wraca do zdrowia dzięki naszym ludziom. Prawie się potykam, biegnąc go zobaczyć. Przyciskam rękę do szyby i zaglądam do jasno oświetlonego pokoju. Adam śpi, jego twarz jest nieskazitelna, pełna spokoju. To musi być skrzydło medyczne.

- Proszę się przyjrzeć - mówi Castle. - Nie ma igieł wbitych w jego ciało. Żadnej aparatury podtrzymującej go przy życiu. Trafił tu z trzema złamanymi żebrami. Płucami bliskimi zapaści. Kulą w udzie. Odbitymi nerkami, śladami pobicia na całym ciele. Liczne rany, zakrwawione nadgarstki. Noga skrzycona w kostce. Stracił więcej krwi, niż można uzupełnić w większości szpitali.

Serce omal nie wyskakuje mi z piersi. Chciałabym przebić się przez szybę i tulić go w ramionach.

- W Punkcie Omega przebywa prawie dwieście osób - mówi Castle. - Jedna czwarta z nich ma jakiś dar.

Odwracam się gwałtownie, oszołomiona.

- Sprowadziłem tu panią - mówi do mnie ostrożnie, cicho - ponieważ tutaj jest pani miejsce. Bo powinna pani wiedzieć, że nie jest sama.

Szczęka wypada mi z zawiasów.

- Byłaby pani bezcenna dla naszego ruchu oporu - ciągnie.

- Są inni... tacy jak ja? - Ledwie jestem w stanie oddychać.

Castle przygląda mi się pełnym zrozumienia wzrokiem.

- Ja pierwszy zdałem sobie sprawę, że ze swoim schorzeniem być może nie jestem odosobnionym przypadkiem. Odszukałem innych, podążając za plotkami, słuchając historii, poszukując w gazetach informacji o anomaljach w ludzkim zachowaniu. Z początku chodziło tylko o towarzystwo -urywa. - Byłem zmęczony tym szaleństwem. Myślę, że jestem inny, że jestem dziwolągiem. Ale potem zdałem sobie sprawę, że to, co uważam za słabość, w rzeczywistości jest moją siłą. A gdyby było nas więcej, razem moglibyśmy działać coś nadzwyczajnego. Coś dobrego.

Nie mogę złapać tchu. Nie mogę ustać na nogach. Nierealność tego wszystkiego utkwiała mi w gardle. Castle czeka na moją reakcję. Nagle czuję się taka zdenerwowana.

- Jaki jest pana... dar? - pytam.

Uśmiechem rozbraja moje poczucie zagrożenia. Wyciąga rękę. Przekrzywia głowę. Słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi. Poruszenie powietrza i szcęk metalu. Ruch. Odwracam się w stronę, z której dochodzi dźwięk, i widzę coś pędzącego w moim kierunku. Robię unik. Castle się śmieje. Chwyta coś ręką.

Wydaję zduszony okrzyk.

Pokazuje mi klucz, który złapał w palce.

- Porusza pan przedmioty siłą woli? - Nawet nie wiem, jak udaje mi się znaleźć słowa, żeby przemówić.

- Mam bardzo zaawansowaną odmianę psychokinezy.
-Rozciąga usta w uśmiechu. - Krótco mówiąc: tak.

- To ma nazwę? - chyba piszczę. Próbuję się opanować.

- Mój stan? Tak. A pani? - milknie. - Nie jestem pewien.

- A inni? Co oni...?

- Może pani ich poznać, jeśli ma pani ochotę.

- Ja... tak... chciałabym - jąkam się, podekscytowana, jak czterolatka, która wciąż wierzy w bajki.

Zastygam, słysząc jakiś nagły dźwięk. W korytarzu rozlega się odgłos kroków na kamiennej podłodze. I czyjś przyspieszony oddech.

- Proszę pana! - krzyczy ktoś.

Castle się odwraca. Nieruchomieje. Rusza w stronę biegnącego i znika za rogiem.

- Brendan?

- Proszę pana! - Tamten dyszy znowu. Gwałtownie chwyta powietrze.

- Masz wieści? Co widziałeś?

- Odbieramy dziwne informacje przez radio - zaczyna, a jego urywane słowa są nabrzmięte od brytyjskiego akcentu. - Nasze kamery rejestrują większą niż zwykle liczbę pojazdów opancerzonych patrolujących okolicę. Wydaje nam się, że się zbliżają...

Trzask wyładowania elektrostatycznego. Słysząc głosy zniekształcone przez złej jakości połączenie radiowe. Brendan klnie pod nosem.

- Przepraszam... zwykle nie ma tylu zakłóceń... ostatnio jakoś trudno mi powstrzymywać te ładunki...

- Nie ma się czym martwić. Musisz tylko ćwiczyć. Twoje szkolenie idzie dobrze?

- Bardzo dobrze, proszę pana. Mam już prawie całkowitą kontrolę. - Brendan milknie. - Na ogół.

- Doskonale. Dawaj mi znać, czy ich transportery się zbliżają. Nie dziwi mnie, że robią się bardziej czujni. Postaraj się wychwycić wszelkie wzmianki o ataku. Kierownictwo Komitetu Odnowy próbuje namierzyć nasze położenie od lat, ale teraz mamy kogoś szczególnie dla nich cennego i jestem pewien, że będą chcieli tego kogoś odzyskać. Mam przeczucie, że wypadki rozwiną się raczej szybko.

Chwila ciszy.

- Proszę pana?

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał. Cisza.

Brendan i Castle wyłaniają się zza rogu. Teraz ich widzę. Utrzymanie zamkniętych ust wymaga z mojej strony świadomego wysiłku. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

Towarzysz Castle'a jest biały od stóp do głów.

Nie tylko jego dziwny uniform, oślepiający kolorem połyskującej bieli. Jego skóra jest bledsza niż moja. Nawet jego włosy mają tak jasny kolor, że można go określić wyłącznie jako biały. Jego oczy hipnotyzują najjaśniejszym odcieniem błękitu, jaki w życiu widziałam. Przeszywającym. Praktycznie przezroczystym. Chyba jest w moim wieku.

Nie wydaje się realny.

- Brendan, to jest Julia - przedstawia nas sobie Castle.
-Przybyła wczoraj. Opowiadałem jej o Punkcie Omega.

Uśmiech Brendana jest tak promienny, że prawie się wzdrygam. Wyciąga rękę, a ja wpadam w panikę. W końcu on marszczy czoło. Zabiera rękę, mówiąc:

- Yyy, czekaj... przepraszam... - I porusza dłońmi. Wyłamuje palce.

Strzela z nich kilka iskier. Gapię się na niego.

Cofa się. Uśmiecha się trochę zakłopotany.

- Czasami niechcący porażam ludzi prądem.

Coś odpada z mojej ciężkiej zbroi. Topi się. Nagle czuję, że ktoś mnie rozumie. Nie boję się być sobą. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Nie martw się - mówię mu. - Gdybym uścisnęła ci dłoń, mogłabym cię zabić.

- Rety - mruga. Wpatruje się we mnie. Czeką, aż to odwołam.

- Poważnie?

- Bardzo. Śmieje się.

- No dobra. Bez dotykania. - Nachyla się. Zniża głos. - Sam mam z tym problem. Dziewczyny zawsze mówią, że powinno iskrzyć, ale jak przychodzi co do czego, żadna się nie cieszy, że ją poraziłem. Cholernie to wszystko zagmatwane. - Wzrusza ramionami.

Mój uśmiech jest szerszy niż Pacyfik. Moje serce jest przepełnione ulgą, otuchą, akceptacją. Adam miał rację. Wszystko może się ułożyć. Może nie muszę być potworem. Może mam wybór.

Myślę, że mi się tu spodoba. Brendan puszcza do mnie oko.

- Było mi bardzo miło poznać cię, Julio. Zobaczymy się jeszcze?

Kiwam głową.

- Chyba tak.

- Fantastycznie. I Brendan znika.

Odwracam się do szklanej ściany, która oddziela mnie od drugiej połowy mojego serca. Przyciskam rękę do chłodnej powierzchni. Wypowiadam życzenie, żeby się obudził.

- Chciałaby pani się przywitać?

Spoglądam na Castlea, który wciąż przygląda mi się badawczo. Cały czas mnie analizuje. Z jakiegoś powodu uwaga, którą mi poświęca, nie sprawia, że czuję się niezręcznie.

- Tak - odpowiadam. - Chciałabym się przywitać.

Castle otwiera kluczem szklane drzwi.

- Dlaczego skrzydło medyczne musi być zamknięte na klucz?
- pytam.

Odwraca się do mnie. Dopiero teraz zauważam, że nie jest bardzo wysoki.

- Gdyby pani wiedziała, gdzie go znaleźć, czekałaby pani cierpliwie za tymi drzwiami?

Spuszczam wzrok. Nie odpowiadam. Mam nadzieję, że się nie czerwienię.

Stara się mnie pokrzepić.

- Powrót do zdrowia to delikatny proces. Może zostać zakłócony, mogą na niego wpłynąć zmienne emocje. Mamy szczęście, bo są wśród nas dwie uzdrowicielki. Bliźniaczki. Najbardziej fascynujące jest to, że każda z nich skupia się na innym obszarze: jedna na niedomaganiach fizycznych, druga na sprawach umysłu. Obydwoma aspektami trzeba się zająć, w przeciwnym razie uzdrowienie będzie niekompletne, niedostateczne, niewystarczające.

Naciska kłamekę.

- Ale myślę, że teraz może bezpiecznie się z panią zobaczyć.

Wchodzę do środka i moje zmysły prawie natychmiast atakuje zapach jaśminu. Rozglądam się w poszukiwaniu kwiatów, ale żadnych nie dostrzegam. Zastanawiam się, czy to perfumy. Jestem odurzona.

- Będę tuż za drzwiami - mówi do mnie Castle.

Pomieszczenie wypełnia długi rząd prostych łóżek. Wszystkie, a jest ich około 20, są puste, poza łóżkiem Adama. Na końcu pokoju są drzwi, które prowadzą chyba do następnego pomieszczenia. Ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby odczuwać teraz ciekawość.

Przysuwam sobie dodatkowe krzesło i staram się zachowywać jak najciszej. Nie chcę go obudzić, chcę się tylko przekonać, że dobrze się czuje. Splatam i rozplatam dłonie. Słyszę bicie swojego serca. I wiem, że pewnie nie powinnam go dotykać, ale nie mogę się powstrzymać. Przykrywam dłonią jego dłoń. Jego palce są ciepłe.

Jego powieki przez chwilę się poruszają. Nie otwierają się. Bierze głęboki oddech, a ja zastygam.

Prawie wybucham płaczem.

- Co pani robi!?

Podskakuję na dźwięk paniki w głosie Castlea. Puszczam rękę Adama. Przejęta, odsuwam się od łóżka z szeroko otwartymi oczami.

- O co chodzi?

- Dlaczego... przecież właśnie... może go pani dotknąć...? - Nie sądziłam, że zobaczę Castlea tak zdezorientowanego, tak skonsternowanego. Odruchowo wyciągnął jedną rękę przed siebie, próbując mnie powstrzymać.

- Oczywiście, że mogę go dot... - urywam. Staram się być spokojna. - Kenji panu nie powiedział?

- Ten młody człowiek jest odporny na pani dotyk? -Słowa Castlea są pełnym zaskoczenia szeptem.

- Tak - patrzę to na niego, to na Adama, wciąż pogrążonego we śnie. i Wainci Leż.

- To... zdumiewające. -Tak?

- Zdecydowanie. - Oczy Castlea promienieją entuzjazmem. - To z pewnością nie jest zbieg okoliczności. W tego rodzaju sprawach nie ma mowy o zbiegu okoliczności - urywa. Chodzi po pokoju. - Fascynujące. Tak wiele możliwości... tak wiele teorii... - Teraz nie mówi już nawet do mnie. Jego umysł pracuje zbyt szybko, żebym mogła za nim nadążyć. Nabiera powietrza, jakby przypomniał sobie, że wciąż jestem w pokoju.

- Proszę mi wybaczyć. Nie przerywajcie sobie. Dziewczyny niedługo przyjdą... pomagają teraz Jamesowi. Muszę zgłosić tę nową informację tak szybko, jak to możliwe.

- Chwileczkę... Podnosi wzrok. -Tak?

- Co pan o tym sądzi? - pytam go. - Czy... czy wie pan, dlaczego to mi się przydarza?

- Ma pani na myśli nas?- Castle obdarza mnie łagodnym uśmiechem.

Staram się nie czerwienić. Udaje mi się kiwnąć głową.

- Od lat prowadzimy szeroko zakrojone badania - mówi. -Myślę, że mamy na ten temat całkiem niezłą teorię.

- I...? - Ledwie jestem w stanie oddychać.

- Jeśli zdecyduje się pani zostać w Punkcie Omega, wkrótce o tym porozmawiamy, obiecuję. Poza tym myślę, że teraz to nie jest najlepszy moment. - Kiwa głową w stronę Adama.

- Och - czuję, jak płoną mi policzki. - Oczywiście. Castle skręca w stronę drzwi.

- Ale czy myśli pan, że Adam... - słowa zbyt szybko padają z moich ust. Staram się wyznaczyć sobie rytm. - Sądzi pan, że on też jest... taki jak m y?

Castle odwraca się z powrotem. Badawczo patrzy mi w oczy.

- Myślę - mówi ostrożnie - że to całkiem prawdopodobne.

Wydaję stłumiony okrzyk.

- Przepraszam - mówi. - Ale naprawdę muszę już iść. I nie chciałbym wam przeszkadzać.

Chcę powiedzieć: tak, oczywiście, absolutnie. Chcę się uśmiechnąć i pomachać, powiedzieć mu, że to żaden problem. Ale mam tak wiele pytań. Czuję, że mogłabym wybuchnąć. Chcę, żeby powiedział mi wszystko, co wie.

- Wiem, że to sporo informacji jak na jeden raz. -Przystaje przy drzwiach. - Ale będziemy mieli mnóstwo okazji do pogadania. Musi pani być wyczerpana i jestem pewien, że chciałaby się pani przespać. Dziewczyny się panią zajmą. Czekają na panią. Będziecie dzieliły pokój w Punkcie Omega. Jestem pewien, że chętnie odpowiedzą na wszystkie pani pytania. - Chwyta mnie za ramiona. - Pani Ferrars, to zaszczyt mieć panią wśród nas. Mam nadzieję, że poważnie rozważy pani dołączenie do nas na stałe.

Kiwam głową odrętwiała. A on wychodzi.

„Od lat prowadzimy szeroko zakrojone badania”, powiedział. „Wydaje nam się, że mamy na ten temat całkiem niezłą teorię”, powiedział. „Porozmawiamy o tym już niedługo, obiecuję”.

Po raz pierwszy w życiu mam szansę zrozumieć, kim jestem. To nie wydaje się niemożliwe. I Adam. A d a m. Roztrzęsiona siadam obok niego. Ściskam jego palce. Castle może się mylić. Może to wszystko jest zbiegiem okoliczności.

Muszę się skupić.

Zastanawiam się, czy ktoś miał ostatnio wieści od Warnera.

- Julio?

Oczy Adama są na wpół otwarte. Wpatruje się we mnie, jakby nie był pewien, czy naprawdę istnieję.

- Adam! - Zmuszam się, żeby siedzieć spokojnie. Uśmiecha się i wygląda na to, że jest to dla niego wielki wysiłek.

- Boże, dobrze cię widzieć.

- Nic ci nie jest. - Chwytam go za rękę, powstrzymuję odruch pociągnięcia go w swoje ramiona. - Naprawdę nic ci nie jest.

Jego uśmiech staje się szerszy.

- Jestem taki zmęczony. Mógłbym spać przez kilka lat.

- Nie martw się, środek uspokajający wkrótce przestanie działać.

Odwracam się gwałtownie. Gapią się na nas dwie dziewczyny o identycznych zielonych oczach. Uśmiechają się jednocześnie. Ich długie brązowe włosy związane w końskie ogony są grube i proste jak druciki. Mają na sobie identyczne srebrne body. Złote baleriny.

- Jestem Sonia - mówi dziewczyna po lewej.

- Jestem Sara - dorzuca jej siostra. Nie mam pojęcia, jak je odróżnić.

- Bardzo nam miło cię poznać - mówią jednocześnie.

- Jestem Julia - udaje mi się powiedzieć. - Mnie również miło was poznać.

- Niedługo będzie można go wypisać - mówi jedna z nich.

- Sonia jest świetną uzdrowicielką - wtrąca druga.

- Nie tak dobrą jak Sara - mówi pierwsza.

- Powinien poczuć się wystarczająco dobrze, żeby opuścić skrzydło szpitalne, kiedy tylko środek uspokajający przestanie działać - mówią jednocześnie z uśmiechem.

- Ach... to wspaniale... dziękuję wam... - Nie wiem, na którą powinnam patrzeć. Której odpowiadać. Oglądam się na Adama. Wygląda, jakby nieźle się bawił.

- Gdzie jest James? - pyta.

- Bawi się z innymi dziećmi - odpowiada chyba Sara.

- Przed chwilą zabrałyśmy go do łazienki - mówi druga.

- Chciałbyś się z nim zobaczyć? - znowu Sonia.

- Są tu inne dzieci? - Moje oczy są wielkie jak cała moja twarz.

Dziewczyny jednocześnie kiwają głowami.

- Pójdziemy po niego - mówią chórem. I znikają.

- Wydają się miłe - mówi Adam po chwili.

- Tak. To prawda. Całe to miejsce wydaje się miłe.

Sonia i Sara wracają z Jamesem, który jest szczęśliwszy niż kiedykolwiek, kiedy go widziałam, może nawet szczęśliwszy niż wtedy, kiedy zobaczył Adama po raz pierwszy po jego półrocznej nieobecności. Jest podekscytowany tym, że tu jesteśmy, towarzystwem innych dzieci („A te ładne dziewczyny się mną zajmują i są takie miłe, i jest tyle jedzenia, i dały mi czekoladę, Adam, jadłeś kiedyś czekoladę?”), tym, że ma duże łóżko i jutro pójdzie na lekcje z innymi dziećmi, i już nie może się doczekać.

- Tak się cieszę, że się obudziłeś - mówi do Adama, prawie podskakując na łóżku. - Powiedzieli, że zachorowałeś i że odpoczywasz, a teraz się obudziłeś, więc to znaczy, że czujesz się lepiej, prawda? I że jesteśmy bezpieczni? Właściwie nie pamiętam, co się działo po drodze tutaj - przyznaje trochę zakłopotany. - Chyba zasnąłem.

Myślę, że Adam tylko czeka na sposobność skrócenia Kenjiemu karku.

- Tak, jesteśmy bezpieczni - mówi mu Adam, przeczesując ręką rozczochrane blond włosy. - Wszystko w porządku.

James biegnie z powrotem do pokoju zabaw. Sonia i Sara wymyślają jakąś wymówkę, żeby zostawić nas samych. Coraz bardziej je lubię.

- Czy ktoś opowiedział ci już o tym miejscu? - pyta mnie Adam. Udaje mu się usiąść. Zsuwa mu się prześcieradło, odsłaniając klatkę piersiową. Jego skóra jest idealnie zagojona. Wygląd Adama, który zachowałam w pamięci, zupełnie się nie zgadza z tym, który mam przed sobą. Zapominam odpowiedzieć mu na pytanie.

- Nie masz blizn. - Dotykam jego skóry, żeby się przekonać, jaka jest w dotyku.

Próbuje się uśmiechnąć.

- Stosują tu niezbyt tradycyjne metody leczenia. Podnoszę wzrok zaskoczona.

- Więc... wiesz?

- Poznałeś już Castlea? Kiwam głową oszołomiona. Wierci się. Wzdycha.

- Słyszałem plotki o tym miejscu już od dawna. Nauczyłem się słuchać szeptów głównie przez ostrożność. Ale w wojsku słyszy się różne rzeczy. O tym, co człowiekowi grozi ze strony wroga. O możliwych zasadzkach. Odkąd się zaciągnąłem, mówiło się o nietypowym podziemiu. Większość ludzi uważała, że to absurd. Że to jakieś bzdury wymyślone po to, żeby nas nastraszyć, że niemożliwe, żeby to była prawda. Ale ja zawsze miałem nadzieję, że jest w tym ziarnko prawdy, szczególnie po tym, jak dowiedziałem się o tobie. Miałem nadzieję, że uda nam się odnaleźć pozostałych z podobnymi zdolnościami. Ale nie wiedziałem, kogo o to pytać, jak dotrzeć do odpowiednich osób czy informacji. - Kręci głową. - I przez cały ten czas Kenji pracował jako tajniak.

- Powiedział, że mnie szukał. Adam kiwa głową. Śmieje się.
- Zupełnie jak ja. Zupełnie jak Warner.
- Nie rozumiem - mamroczę. - Zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że są inni podobni do mnie, a nawet silniejsi, dlaczego Warner upatrzył sobie mnie?
 - Dowiedział się o tobie wcześniej niż Castle - mówi Adam. - Rościł sobie do ciebie pretensje. - Adam odchyła się do tyłu. - Różne rzeczy można powiedzieć o Warnerze, ale nie to, że jest głupi. Musiał wiedzieć, że w tych plotkach jest ziarnko prawdy. I był zafascynowany. Ponieważ tak jak Castle chciał wykorzystać swoje zdolności dla dobrych celów, tak Warner chciał manipulować umiejętnościami innych dla swoich własnych. Chciał zyskać coś w rodzaju nadprzyrodzonej mocy.
 - Cisza. - Zainwestował mnóstwo czasu i energii w samo studiowanie twojego przypadku. Nie sądzę, żeby łatwo zgodził się spisać ten wysiłek na straty.
 - Adam - szepczę. Bierze mnie za rękę. -Tak?
 - Wydaje mi się, że on żyje.

- Zgadza się, żyje.

Adam się odwraca. Marszczy brwi na dźwięk tego głosu.

- Co tutaj robisz?

- Proszę, Kent, co za powitanie. Uważaj, żebyś nie nadwe-
rżył sobie ręki, dziękując mi za uratowanie ci tyłka.

- Okłamałeś nas wszystkich.

- Nie ma za co.

- Nafaszerowałeś środkami uspokajającymi mojego dzie-
sięcioletniego brata!

- Wciąż nie ma za co.

- Cześć, Kenji - mówię.

- Moje ubrania dobrze na tobie wyglądają. - Podchodzi
trochę bliżej, uśmiecha się.

Przewracam oczami. Adam po raz pierwszy przygląda się
temu, co mam na sobie.

- Nie miałam nic innego - wyjaśniam.

Adam kiwa głową trochę za wolno. Patrzy na Kenjiego.

- Przyszedłeś nam coś powiedzieć?

- Tak. Mam wam pokazać pokój.

- To znaczy? Kenji się śmieje.

- Ty i James będziecie moimi nowymi współlokatorami. Adam klnie pod nosem.

- Przykro mi, stary, ale nie ma tu tylu pokoi, żebyście ty i Gorące Ręce mogli być sami. - Mruga do mnie. - Bez obrazy.

- Muszę iść teraz?

- Tak, człowieku. Chcę iść wcześniej spać. Nie mam czasu czekać do rana, aż ruszysz swój leniwy tyłek.

- Leniwy...?

Przerywam im pośpiesznie, zanim Adam ma okazję się odciąć.

- Dlaczego chcesz iść spać? Która jest godzina?

- Dochodzi dziesiąta wieczorem - mówi Kenji. - Pod ziemią łatwo jest stracić poczucie czasu, ale wszyscy staramy się zachować świadomość, która jest godzina. Mamy monitory w korytarzach i większość z nas nosi zegarki. Zachwianie rytmu dnia i nocy może sprawić, że dość szybko będziemy mieli przerąbane. A to nie jest pora na relaks.

- Skąd wiesz, że Warner żyje? - pytam nerwowo.

- Właśnie namierzyła go jedna z naszych kamer - mówi Kenji. - On i jego ludzie dokładnie przeszukują teren. Udało mi się podsłuchać ich rozmowę. Okazuje się, że Warner został postrzelony.

Wstrzymuję oddech, staram się uciszyć bicie serca.

- To dlatego mieliśmy szczęście wczoraj wieczorem. Widocznie żołnierze zostali odwołani do bazy, bo myślano, że Warner nie żyje. Nastąpiło tymczasowe przekazanie władzy. Nikt nie wiedział, co robić. Które rozkazy wykonywać. Ale potem okazało się, że Warner nie zginął. Został tylko dość ciężko ranny. Rękę ma na temblaku, całą połataną - dodaje Kenji.

Adam odnajduje głos, zanim mnie się to udaje.

- Jak dobrze to miejsce jest chronione przed atakiem? Kenji się śmieje.

- Jest bezpieczne jak cholera. Nie wiem nawet, jak udało im się dostać tak blisko. Ale nigdy nie będą w stanie ustalić naszego dokładnego położenia. A nawet jeśli im się to uda, nigdy nie będą w stanie dostać się do środka. Nasza ochrona jest praktycznie nie do pokonania. No i wszędzie mamy kamery. Widzimy, co robią, zanim zdążą to zaplanować. To w sumie i tak nie ma znaczenia - ciągnie. - Bo oni chcą z nami walczyć, a my z nimi. Nie boimy się ataku. Poza tym oni nie mają pojęcia, jakie mamy możliwości. No i przygotowujemy się na to gównu od zawsze.

- Czy ty... - urywam. Czerwienię się. - Czy potrafisz... to znaczy... Czy ty też masz jakiś... dar?

Kenji się uśmiecha. I znika. Naprawdę go nie ma.

Wstaję. Próbuję dotknąć miejsca, w którym przed chwilą stał.

Pojawia się znowu, w samą porę, żeby odskoczyć, zanim go dosięgnę.

- Hola, hola, ostrożnie... to, że jestem niewidzialny, nie oznacza, że niczego nie czuję...

- Och! - Cofam się zażenowana. - Przepraszam...

- Możesz się stać niewidzialny? - Adam wygląda raczej na zirytowanego niż zainteresowanego.

- Jesteś pod wrażeniem?

- Jak długo już mnie szpiegujesz? - Oczy Adama się zwięzają.

- Tak długo, jak musiałem - mówi. Ale jego uśmiech jest podszyty czymś szelmowskim.

- Czy ty jesteś... materialny? - pytam.

- Popatrz, popatrz, używamy mądrych słów! - Kenji zakłada rękę. Opiera się o ścianę.

- Możesz na przykład przechodzić przez ściany i inne takie?
Parska.

- Eee. Nie jestem duchem. Potrafię się tylko... wtapiać, to chyba najlepsze określenie. Potrafię wtapiać się w każde tło. Zmieniam się, dopasowuję do otoczenia. Potrzebowałem mnóstwo czasu, żeby się zorientować, jak to działa.

- Ożeż.

- Śledziłem Adama do domu. Stąd wiedziałem, gdzie mieszka. I dzięki temu udało mi się uciec... bo nie mogli mnie zobaczyć. I tak próbowali mnie zastrzelić - dodaje kwaśno.
-Ale przynajmniej udało mi się nie umrzeć.

- Zaczekaj, dlaczego śledziłeś Adama, kiedy wracał do domu? Myślałam, że szukaliście mnie? - pytam.

- Tak. Cóż, zaciągnąłem się krótko po tym, jak zwietrzyliśmy wielki projekt Warnera. - Wskazuje głową na mnie.
-Szukaliśmy cię, ale Warner dysponował uprawnieniami, nie miał tylu problemów z dostępem do informacji co my. Ciężko nam było cię namierzyć. Castle uważał, że pójdzie łatwiej, jak umieścimy w armii swojego człowieka, który będzie miał na oku całe to popaprane gówno, które szykował Warner. Kiedy więc usłyszałem, że Adam jest tym głównym gościem od całego projektu i że kiedyś cię znał, dałem znać Castle'owi. Powiedział mi, żebym na Adama też uważał, wiecie, na wypadek gdyby się okazało, że Adam jest takim samym świrem jak Warner. Chcieliśmy się upewnić, że nie stwarza zagrożenia dla ciebie ani dla naszych planów. Ale nie miałem pojęcia, że spróbujecie razem uciec. Cholernie mi namieszaliście.

Na chwilę wszyscy milkniemy.

- To jak gorliwie mnie szpiegowałeś? - pyta go Adam.

- Jak by to powiedzieć... - Kenji przekrzywia głowę. -Czyżby pan Adam Kent nagle poczuł się trochę zastraszoney?

- Nie bądź osłem.

- Ukrywasz coś?

- Taaak. Pistolet...

- Hej! - Kenji składa ręce. - Więc! Gotowi do wyjścia czy nie?

- Potrzebuję jakichś spodni.

Kenji wygląda nagle na poirytowanego.

- Serio, Kent? Nie chcę tego słuchać.

- No cóż, jeżeli nie chcesz mnie oglądać nago, sugeruję, żebyś coś z tym zrobił.

Kenji rzuca Adamowi paskudne spojrzenie i odchodzi, burcząc coś o pożyczaniu ludziom wszystkich swoich ubrań.

- Tak naprawdę nie jestem nagi - mówi Adam.

- Och - wyrywa mi się. Podnoszę wzrok. Oczy mnie zdradzają.

Nie udaje mu się powstrzymać w porę uśmiechu. Muska palcami mój policzek.

- Chciałem tylko, żeby zostawił nas na sekundę samych. Czerwienię się do szpiku kości. Szukam odpowiednich słów.

- Tak się cieszę, że nic ci nie jest.

Mówi coś, czego nie udaje mi się dosłyszeć.

Bierze mnie za rękę. Przyciąga do siebie.

Przysuwa się do mnie, a ja do niego, aż prawie na nim leżę. Pociąga mnie w ramiona z jakąś nową desperacją, namiętnością, tęsknotą. Wplata ręce w moje włosy, jego miękkie usta pośpiesznie szukają moich. Czuję smak miodu i ognia. Całe moje ciało paruje.

Adam odsuwa się odrobinę. Całuje moją dolną wargę. Gryzie ją przez sekundę. Jego skóra jest o **100** stopni gorętsza niż przed chwilą. Jego usta są przyciśnięte do mojej szyi, a moje ręce zsuwają się w dół jego tułowia. Nie wiadomo, skąd nagle w moim sercu stukot pociągów towarowych, dlaczego jego pierś wydaje dźwięk podobny do zepsutej ustnej harmonijki. Przesuwam ręką po tatuażu - po ptaku na

zawsze pochwyconym w locie na jego skórze i po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że Adam podarował mi własne skrzydła. Pomógł mi odlecieć, a ja wpadłam w wir powietrzny i szybuję wprost do centrum wszechświata. Przysuwam jego usta z powrotem do swoich.

- Julio - mówi. i oddech, i pocałunek. **10** palców na mojej skórze. - Muszę się z tobą spotkać tej nocy.

Tak. Proszę.

2 głośne stuknięcia i odskakujemy od siebie. Kenji gwałtownie otwiera drzwi.

- Zdajecie sobie sprawę, że ta ściana jest ze szkła?- Ma minę, jakby przegryzł dżdżownicę. - Nikt nie ma ochoty tego oglądać.

Rzuca Adamowi parę spodni. Kiwa do mnie.

- Chodź, zabiorę cię do Soni i Sary. Pokażą ci pokój. Odwraca się do Adama.

-I nie waż się oddawać mi tych spodni.

- A co, jeśli nie chce mi się spać? - pyta Adam niezrażony. - Nie wolno mi wychodzić z pokoju?

Kenji zaciska usta. Jego oczy się zwężają.

- Nie będę używał tego słowa zbyt często, Kent, ale proszę cię, nie próbuj żadnych gównianych sztuczek z potajemnym wymykaniem się. W pewnych sprawach musimy tu przestrzegać regulaminów, bo mamy swoje powody. To jedyny sposób, żeby przeżyć. Więc zrobisz wszystkim przysługę, jeżeli zostaniesz w spodniach. Spotkacie się rano.

Mam wrażenie, że rano nadejdzie za milion lat.

Bliźniaczki jeszcze śpią, kiedy rozlega się pukanie. Sonia i Sara pokazały mi łazienki, więc mogłam się wczoraj wieczorem wykąpać, ale wciąż mam na sobie za duże ubranie Kenjiego. Czuję się w nim idiotycznie. Podchodzę do drzwi.

Otwieram.

Mrugam.

- Cześć, Winston. Mierzy mnie wzrokiem.

- Castle pomyślał, że może chciałabyś się przebrać.

- Masz dla mnie coś do ubrania?

- Tak, pamiętasz? Uszyliśmy ci coś na zamówienie.

- Och. Rety. Tak, brzmi świetnie.

Wychodzę cicho za Winstonem na ciemny korytarz. Podziemny świat jest spokojny, jego mieszkańcy wciąż śpią. Pytam Winstona, dlaczego wstaliśmy tak wcześnie.

- Pomyślałem, że będziesz chciała poznać wszystkich przy śniadaniu. W ten sposób możesz wskoczyć w nasz porządek dnia, a nawet zacząć szkolenie. Zerka za siebie. - Wszyscy się uczy my, jak okiełznać nasze umiejętności w najbardziej

skuteczny sposób, jak to możliwe. Źle jest nie mieć kontroli nad własnym ciałem.

- Zaczekaj... ty też masz jakąś umiejętność?

- Jest nas tutaj dokładnie pięćdziesięcioro sześcioro. Pozostali to członkowie naszych rodzin, dzieci albo bliscy przyjaciele, którzy we wszystkim pomagają. Tak, jestem jednym z tych pięćdziesięciu sześciu. Tak jak ty.

Prawie nadeptuję mu na stopę, próbując nadażyć za jego długimi nogami.

- Więc co potrafisz?

Nie odpowiada. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że się czerwieni.

- Przepraszam - wycofuję się. - Nie chcę być wścibska, nie moja sprawa...

- W porządku - przerywa mi. - Tylko uważam, że to jest trochę głupie. - Śmieje się nerwowo. - Z wszystkich możliwych umiejętności - wzdycha. - Ty przynajmniej potrafisz coś ciekawego.

Przystaję zszokowana. Przerazona.

- Uważasz, że to jakiś konkurs? Kto pokaże najbardziej porąbaną magiczną sztuczkę? Kto komuś zada najwięcej bólu?

- Nie o to mi chodziło...

- Nie uważam, że interesująco jest móc przez przypadek kogoś zabić. Nie sędzę, że interesująco jest bać się dotknąć żywej istoty.

Ma zaciśnięte zęby.

- Nie to chciałem powiedzieć. Ja tylko... Chciałbym po prostu być bardziej przydatny. To wszystko.

Zakładam rękę.

- Możesz nie mówić, jeżeli nie masz ochoty. Przewraca oczami. Przesuwa ręką po włosach.

- Ja tylko... jestem bardzo... elastyczny - mówi.

Potrzebuję czasu, żeby zrozumieć to wyznanie.

- Że niby możesz się zwinąć w precelek?

- Jasne. Albo się rozciągnąć, jeśli trzeba.

Gapię się tak bezczelnie, że chyba robię z siebie widowisko.

- Mogę zobaczyć?

Przygryza wargę. Poprawia okulary. Rozgląda się po pustym korytarzu. I okręca sobie jedną rękę wokół talii. Dwukrotnie.

Rozdziawiam usta jak zdechła ryba.

- Czad.

- To strasznie głupie - narzeka. - I bezużyteczne.

- Odbiło ci? - Odsuwam się, żeby na niego spojrzeć. - To niesamowite.

Ale jego ramię wraca już do stanu normalnego, a on idzie dalej. Muszę biec, żeby go dogonić.

- Nie bądź dla siebie taki surowy - próbuję mu powiedzieć. - Przecież nie masz się czego wstydzić.

Ale on nie słucha, a ja zastanawiam się, odkąd to jestem terapeutką. Kiedy przestałam nienawidzić siebie i nauczyłam się samoakceptacji. Odkąd to wolno mi lubić własne życie.

Winston prowadzi mnie do pokoju, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Te same białe ściany. To samo małe łóżko. Tylko że tym razem czekają tu Adam i Kenji. Moje serce przestawia się na tryb gotowości i nagle robię się nerwowa.

Adam już nie śpi. Stoi o własnych siłach i wygląda idealnie. Boski. Cały i zdrowy. Na jego ciele nie ma śladu ran. Chodzenie sprawia mu niewielką trudność, ale jego uśmiech jest naturalny. Jego skóra jest odrobinę bledsza niż zazwyczaj, jednak w porównaniu z wyglądem w noc naszego przyjazdu

zdecydowanie promienieje. Z naturalnym odcieniem jego skóry kontrastują oczy koloru nieba o północy.

- Julio - mówi.

Nie mogę przestać na niego patrzeć. Zachwycać się nim. Zdumiewać tym niezwykłym uczuciem, świadomością, że nic mu nie jest.

- Hej - udaje mi się uśmiechnąć.

- Ja też ci życzę miłego dnia - przerywa Kenji. Przestraszył mnie. Różowieję bardziej niż letni zachód słońca, jednocześnie się cofając.

- A, cześć - macham w jego kierunku bezwładną ręką. Prycha.

- No dobrze. Załatwmy to. - Winston podchodzi do jednej ze ścian. Okazuje się, że to szafa. Wystrzeliwuje z niej cała gama kolorów. Wyjmuje wieszak.

- Czy mogę... zostać z nią na chwilę sam? - prosi Adam. Winston zdejmuje okulary. Przeciera oczy.

- Muszę przestrzegać regulaminu. Muszę wszystko wyjaśnić...

- Wiem, w porządku, możesz to zrobić potem. Potrzebuję tylko minuty, obiecuję. Nie miałem okazji z nią porozmawiać, odkąd tu przyjechaliśmy.

Winston marszczy brwi. Patrzy na mnie. Patrzy na Adama. Wzdycha.

- W porządku. Ale zaraz wrócimy. Muszę się upewnić, że wszystko pasuje, i sprawdzić...

- Idealnie. Brzmi świetnie. Dzięki... - mówi Adam i wypycha ich za drzwi.

- Chwileczkę! - Winston z powrotem otwiera drzwi. - Niech się przynajmniej przebierze, kiedy my będziemy czekać.

Adam wpatruje się w materiał w wyciągniętej ręce Winstona. Winston pociera czoło i mamrocze coś o ludziach, którzy

ciągle marnują jego czas, a Adam powstrzymuje uśmiech. Zerka na mnie. Wzruszam ramionami.

- W porządku - mówi, zabierając strój. - Ale teraz musicie wyjść. - I wypycha ich obu z powrotem na korytarz.

- Będziemy zaraz za drzwiami! - krzyczy Kenji. - Pięć sekund stąd...

Adam zamyka za nimi drzwi. Odwraca się. Oczy mu płoną.

Nie wiem, jak uspokoić serce. Próba wydobywania głosu spełza na niczym.

Jemu pierwszemu udaje się przemówić.

- Nie miałem okazji, żeby ci podziękować - mówi. Spuszczam wzrok. Ignoruję gorąco, które wędruje w górę mojej twarzy. Szczypię się bez powodu.

Podchodzi do mnie. Nachyla się. Bierze mnie za rękę.

- Julio.

Podnoszę wzrok. - Uratowałaś mi życie.

Przygryzam wnętrze policzka. „Nie ma za co”, wydaje się nie na miejscu. Nie wiem, co powiedzieć.

- Tak się cieszę, że nic ci nie jest - mówię tylko.

Wpatruje się w moje usta, a ja cała zamieniam się w pragnienie. Jeżeli teraz mnie pocałuje, raczej nie pozwolę mu przestać. Bierze głęboki oddech. Jakby sobie przypomniał, że coś trzyma w ręce.

- Oj. Może powinnaś to włożyć? - Podaje mi jakiś seksowny purpurowy ciuszek. Wydaje się maleńki. Jak kombinezon dla małego dziecka. Właściwie nic nie waży.

Rzucam Adamowi skonsternowane spojrzenie. Śmieje się.

- Przymierz.

Patrzę bardziej znacząco.

- Och - odskakuje trochę wstydliwie. - Jasne... ja tylko... już się odwracam...

Czekam, aż stanie plecami do mnie, i wypuszczam powietrze. Rozglądam się. Chyba nie ma tu luster. Zrzucam za duże ubranie. Stoję tam zupełnie naga i tak zdrętwiała, że przez chwilę nie mogę się poruszyć. Adam się nie ogląda. Ani słowem się nie odzywa. Przyglądam się błyszczącej tkaninie. Pewnie ma się naciągnąć.

I tak się dzieje.

Zaskakuje mnie, jak łatwo ten strój się wkłada, jakby był przeznaczony specjalnie dla mojego ciała. Ma wszytą drugą warstwę tam, gdzie powinny być majtki, i ukryty biustonosz. Pod szyją mam golf, rękawy sięgają nadgarstków, nogawki kostek, całość zapina się na zamek błyskawiczny. Badam ultra cienki materiał. Czuję się tak, jakbym nic na sobie nie miała. Ma głęboki odcień purpury, przylega do skóry, nie opinając jej. Przepuszcza powietrze, jest dziwnie wygodny.

- No i jak? - pyta Adam. Wydaje się spięty.

- Pomożesz mi to zapiąć?

Odwraca się. Jego usta się otwierają, a potem drgają i rozciągają się w niezwykłym uśmiechu. Jego brwi prawie dotykają sufitu. Czerwienię się tak mocno, że nie wiem, gdzie podziąć wzrok. Podchodzi bliżej, a ja odwracam się, z ulgą ukrywając twarz, chociaż w mojej piersi wciąż szaleją motyle. Adam dotyka moich włosów i wtedy zauważam, że sięgają prawie do pasa. Może już pora je skrócić.

Jego palce są takie ostrożne. Odgarnia pasma włosów z moich ramion, żeby nie przyciąć ich zamkiem. Przesuwa palcem od karku aż do miejsca, gdzie zaczyna się szew, na wysokości zagłębienia w dolnej części pleców. Z trudem mogę się utrzymać na nogach. Prądem, który przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, można by zasilić całe miasto. Adam bez pośpiechu zapina suwak. Przesuwa palcami po moich plecach.

- Boże, wyglądasz oszałamiająco - mówi wreszcie.
Odwracam się. Przyciska pięść do ust, próbując ukryć
uśmiech, powstrzymać słowa cisnące się na usta.
Dotykam materiału. Dochodzę do wniosku, że chyba po-
winnam coś powiedzieć.
- To bardzo... wygodne.
- Seksowne. Podnoszę wzrok. Kręci głową.
- Seksowne jak cholera.
Podchodzi bliżej. Bierze mnie w ramiona.
- Wyglądam jak gimnastyczka - mamroczę.
- Nie - mówi szeptem, który parzy ~~parzy parzy~~ moje usta. -
Wyglądasz jak superbohaterka.

EPILOG

Wciąż jeszcze czuję mrowienie, kiedy Kenji i Winston znowu wpadają do pokoju.

- Więc jak ten strój ma mi ułatwić życie? - pytam.

Ale Kenji stoi jak wrośnięty w ziemię, gapiąc się bez skrępowania. Otwiera usta. Zamyka je. Wkłada ręce do kieszeni. Wchodzi Winston.

- Ma pomóc w kwestii dotykania - mówi. - Nie musisz już szukać ubrań, które zakryją cię od stóp do głów, i nosić ich ciągle przy tej nieprzewidywalnej pogodzie. Ten materiał jest tak zaprojektowany, żeby chłodził albo grzał w zależności od temperatury na zewnątrz. Jest lekki i przewiewny, więc skóra może oddychać. Zapobiega zrobieniu komuś niechcący krzywdy, ale umożliwia ci dotykanie innych... umyślnie. Jeśli zajdzie potrzeba.

- To fantastyczne. Uśmiecha się. Szeroko.

- Proszę bardzo.

Badam strój dokładniej. Coś mi przychodzi do głowy.

- Ale ręce i stopy mam zupełnie odsłonięte. Jak to ma...

- A niech to - przerywa mi Winston. - Prawie zapomniałem. - Pędzi do szafy i wyciąga z niej parę płaskich czarnych butów do kostek i parę czarnych rękawiczek, które kończą się zaraz przed łokciem. Podaje mi je. Przyglądam się miękkiej skórze rękawiczek i zachwycam się sprężystością butów. W takich butach mogłabym tańczyć w balecie albo przebiec pięć kilometrów. - Te powinny być dobre. To komplet.

Wkładam je i zaciskam pięści, staję na palcach, rozkoszuję się wygodą swojego nowego stroju. Czuję się niezwyciężona. Po raz pierwszy w życiu naprawdę chciałabym mieć lustro. Patrzę na Adama, na Kenjiego, na Winstona. - Jak sądzicie? Może być? Winston ma znudzoną minę. Adam nie przestaje się uśmiechać. On i ja wychodzimy z pokoju za Kenjim i Winstonem, ale Adam przystaje, żeby zdjąć moją lewą rękawiczkę. Bierze' mnie za rękę. Splata nasze dłonie. Jego uśmiech całuje mnie w serce.

Rozglądam się.

Dotykam materiału otulającego moją skórę.

Czuję się wspaniale. Moje ciało wydaje się odmłodzone, skóra zdrowa i pełna życia. Nabieram w płuca powietrza i delectuję się jego smakiem.

Wszystko się zmienia, ale tym razem się nie boję. Tym razem wiem, kim jestem. Dokonałam właściwego wyboru i gram we właściwej drużynie. Czuję się bezpieczna. Pewna siebie.

Wręcz podekscytowana.

Bo tym razem... .. jestem gotowa.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym serdecznie podziękować:

Mojemu mężowi - mojemu najlepszemu przyjacielowi, największemu fanowi i jedynemu mężczyźnie na świecie, który mnie rozumie. Jesteś najjaśniejszą gwiazdą w moim wszechświecie.

Moim rodzicom, którzy napełniali radością każdą minutę mojego życia, ani razu we mnie nie zwątpili, nigdy mnie nie zniechęcali. Inspirujecie mnie każdego dnia.

Moim braciom, którzy znają nasze historie jak nikt inny. Za to, że trzymamy się razem. Że zawsze we mnie wierzyliście. Ja zawsze będę wierzyła w was.

Tanie i Randzie - za wszystko. Za każdą wspólnie spędzoną chwilę, za każde słowo zachęty, za każdy śmiech, za wszystkie cenne wspomnienia. Za to, że jesteście ze mną od samego początku.

Sarah, która dała mi siłę, żeby być odważną. Trzymałaś mnie za rękę w chwilach, kiedy najbardziej tego potrzebowałam, i nigdy ci tego nie zapomnę.